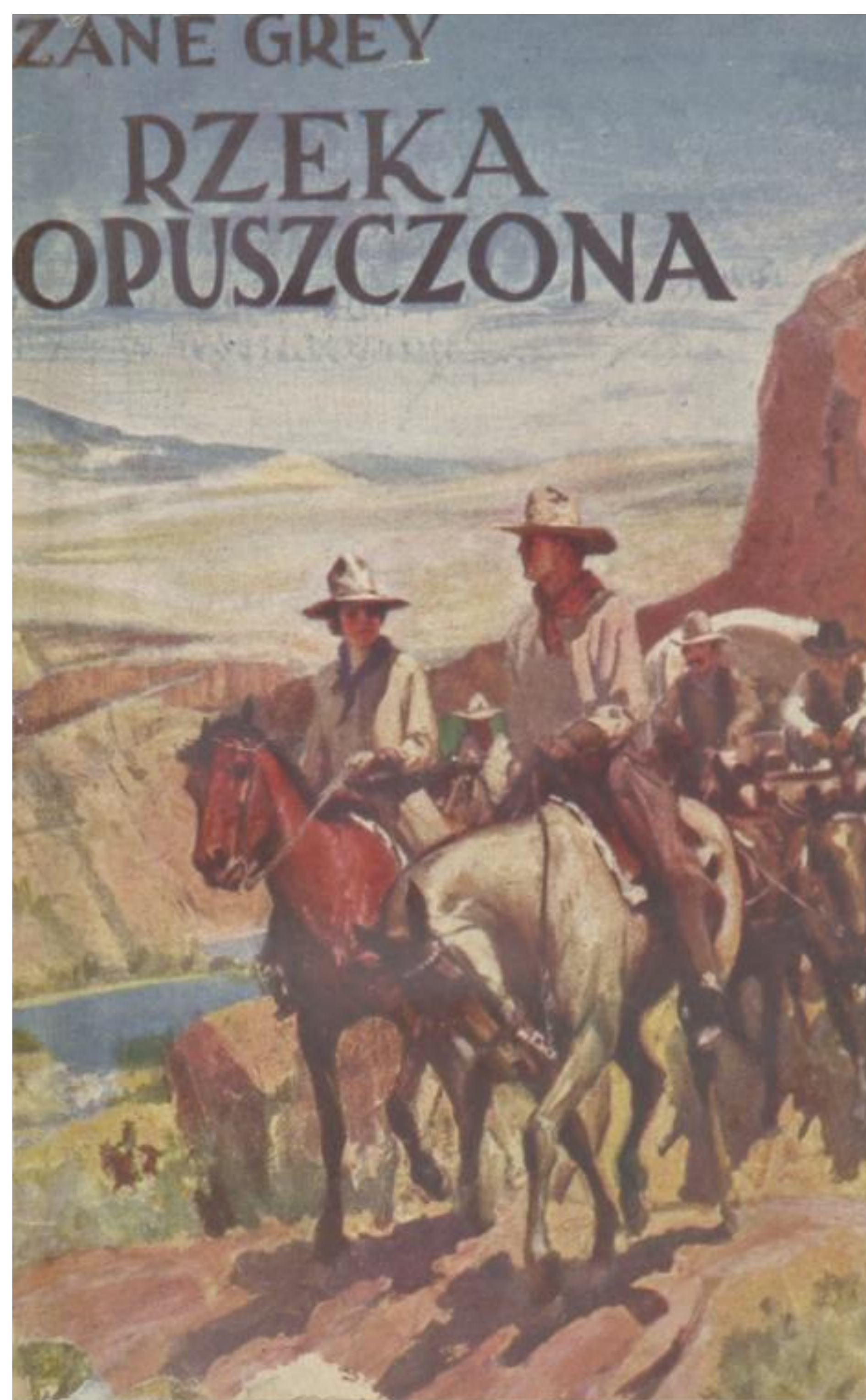

ZANE GREY
RZEKA
OPUSZCZONA

Zane Grey

Rzeka opuszczona

(Forlorn river)

Pierwsze wydanie: „Ladies Home Journal”, February 1926
Pierwsze wydanie książkowe: Harper & Brothers, New York, 1927

Tekst na podstawie wydania „Wydawnictwa M. Arcta”, Warszawa, 1929. Pozyskany z portalu polona.pl Biblioteki Narodowej
W tekście przeprowadzono redakcję, dostosowującą pisownię do współcześnie obowiązujących reguł.

Rozdział I

Samotny ten strumień nazwał Ben Ide „Opuszczoną Rzeką”, przypominał mu on bowiem własne jego życie.

Ben pochodził z dobrej rodziny i do szesnastego roku życia uczęszczał nawet do szkoły, lecz od czasu, gdy namiętność jego do otwartych przestrzeni się wzmogła, przybył tutaj. Tę samą mniej więcej drogę obrała sobie „Opuszczona Rzeka". Początek swój wywodziła od „Jasnego Jeziora”, które było jednocześnie jej źródłem, wytryskającym spośród „Szałwiowych Gór" północnozachodniej Kalifornii. O kilka mil dalej wątły strumyk przeobrażał się w szerszą nieco rzekę, której koryto pogłębiało się z każdym rokiem. Podobno i Indianie nazywali ją tak już przedtem.

Przepływała zwycięsko poprzez faliste pagórki, znacząc je srebrzystą wstęgą swych wód, i wpadała miejscami na samo dno poszarzałych dolin, pośród których pasły się stada dzikich koni; biegła poprzez dzikie, otwarte przestrzenie stepów, znajdując swą ucieczkę na skraju nieprzebytej pustyni Nevady; „Opuszczona Rzeka‟ była jedynym orzeźwieniem indiańskich łowców i cowboyów, zataczając korytem swym wielkie koło i podmywając w wielu punktach okoliczne farmy.

Mała chatka Bena, sklecona z surowych pni sosen, była jakoby wyrazem melancholii tego kraju, aczkolwiek położona na południowym brzegu wielkiego jeziora, zdawała się rozpalać niejednokrotnie w promieniach południowego słońca. Tuż pod drzwiami chatki przepływała „Opuszczona Rzeka”, która przecinała jakoby w tym miejscu jezioro i biegła zwycięsko na zachód. Stojąc przy swoim oknie, Ben swobodnie mógł obserwować serpentynowe zakręty koryta na przestrzeni kilku nawet mil. Nierówny brzeg wzdłuż strumienia znaczył długi szereg skarłowaciałych krzewów jałowca, które posadziła tu ręka przyrody. Tuż poza chatką stała zbudowana masywnie szopa i obszerny, przylegający do niej corral, w którym kilkadziesiąt koni wspominało dawne czasy stepowej swobody, podnosząc kształtne swe łby ku błękitnemu nieboskłonowi. Kontrast, jaki stanowiły szopa i corral z ponurą chatką, świadczył o tym, że Ben Ide ogromnie lubił konie, a o wygodach własnych zupełnie nie pamiętał.

Późno tego roku nastała wiosna, jedna z tych suchych wiosen, które pamiętano już od lat sześciu. „Jasne Jezioro” wyschło bardziej, niż kiedykolwiek, jak daleko sięgnąć zdołała pamięć Indian Modoców, którzy mieszkali tutaj zawsze. Połać nagiej ziemi ciągnęła się daleko, aż pod szałwiowe pola, wrzynające się w fale rzeki. Po spokojnych wodach jeziora pływały żółciutkie kaczki, a dzikie gęsi rozdzierały ciszę swym zawodzącym gęganiem. Był to jeden z najwyżej położonych zakątków Kalifornii; na dachu chatki połyskiwał szron jeszcze, a lód pokrywał lekką

powłoką brzegi „Opuszczonej Rzeki”. Na horyzoncie bieliły się ośnieżone szczyty pagórków Nevady. Powietrze było zimne i przejmujące, przeniknięte upojną wonią szałwii.

Ben Ide wyszedł z przedsionka, aby spojrzeć na rzekę i pola, biegnące do podnóża dalekich gór. Bystre jego oko objęło dalekie zakręty i wąską drogę, znikającą w wąwozie.

— Nie powinienem się martwić; mieli jednak wrócić wczoraj w nocy — mruknął, spoglądając znowu na pustą drogę.

Siłą przyzwyczajenia wzrok jego przeniósł się na szczyty pagórków, znaczących się aksamitem i purpurą w blasku porannego słońca. Twarz jego pojaśniała; na zakręcie górskiej ścieżki dostrzegł dziewięć dzikich koni; dwa z nich odznaczały się czystą bielą na tle jasnej przestrzeni, pozostałe zaś miały sierść kruczoczarną. Wolnym krokiem konie opuszczały się w dolinę; były tu one już od lat czterech, to jest od czasu, gdy Ben osiadł nad „Opuszczoną Rzeką”. W pierwszym roku swego pobytu uganiał się za nimi młody Ide, bardziej dla sportu, niż z chęci jakiegokolwiek zysku, lecz zwycięstwo zazwyczaj odnosiły dzikie konie, aż wreszcie Ben dał za wygraną i obserwował już tylko z daleka zręczne ich ruchy i piękne kształty. Gdy śnieg zasypywał doliny, konie pozostawały w górach, a podczas lata schodziły tylko nocą do wód jeziora; nie znały one uzdy i nie dopuściłyby obcego konia do swego stada.

Widok ulubieńców poprawił humor i dodał energii Benowi; powitał je wesołym gwizdem, jak gdyby były tuż przy nim, w szopie poza chatką. Ukochały nade wszystko swobodę, co doskonale pojmował Ben Ide; były jak orły, mogące doskonale widzieć z daleka przyjaciół swych i wrogów. Lata nauczyły je rozumu.

— O, wy dzikie rumaki, jak długo pozostaniecie tam jeszcze w górach? — zawołał Ben radośnie. — Jeszcze jeden rok suszy położy kres waszemu życiu! Nic do jedzenia, oprócz szałwii, a o napoju mowy nie ma, jezioro bowiem wyschnie zupełnie!

Przyszły mu na myśl w tej chwili własne, nieurzeczywistnione nadzieje. Gdyby mógł kiedykolwiek pojmać cennego, dzikiego rumaka i udowodnić ojcu, że oswajanie dzikich koni również przynosi pożytek; plan swój mógł zrealizować w tym jeszcze roku. W tym jeszcze roku musi schwytać Czerwonego Mustanga, najdzikszego konia w okolicy, zanim jeszcze trwająca susza uśmierci wszystkie konie, lub też wygna je daleko z kraju.

Piętnaście tysięcy koni grasuje na szałwiowych polach między szarymi górami Kalifornii i dzikimi stepami Nevady. Ogólnie uważany jest Ben Ide za najzdolniejszego spośród cowboyów. Na ogół konie były tak tanie w Oregonie i Kalifornii, że zysk jakiś można było mieć tylko przy sprzedaży wyjątkowego okazu. Zresztą, Ben Ide dziwnym był chłopcem, pojmanego dzikiego mustanga wolał raczej zachować dla siebie, niż sprzedać nawet sto zwykłych koni dla zarobku. I to właśnie doprowadziło go do ruiny. Niejednokrotnie powierzał sprzedawcom wielkie sumy, na czym, oczywiście, tracił zazwyczaj; pieniądze nie miały dla niego żadnej wartości i najtragiczniejszą dlań chwilą było rozstanie się z koniem, który miał iść na sprzedaż. Nie umiał być brutalem nawet względem zwierząt, a zabić nie potrafiłby i najmizerniejszej szkapiny.

Na zakręcie drogi, wiodącej od Szałwiowych Gór, ukazał się tuman żółtego kurzu.

— Nevada i Modoc. Doskonale! — wykrzyknął Ben, spoglądając na drogę bystrym wzrokiem. — Przybyli z małym opóźnieniem, to znaczy, że sprzedali konie... Ciekaw jestem, czy będą jakieś wiadomości z domu.

Ben Ide nigdy prawie nie oczekiwał takich wiadomości, nadchodziły one bowiem bardzo rzadko. Czasami tylko siostra jego, Hettie, która jedyna została mu wierna, przesyłała mu krótki liścik. Ostatni list od niej otrzymał przed pół rokiem. Z nadejściem wiosny tęsknota za domem odezwała się znowu w duszy Bena. Podczas długich dni zimowych żył w zamknięciu, jak uśpiony zimnem niedźwiedź. Dopiero gęganie dzikich gęsi, woń rozkwitającej szałwii i szare szczyty pagórków, wyłaniające się z pod śniegu, zbudziły w sercu jego dawne wspomnienia matki i siostry, groźnego ojca i szczęśliwych dni dzieciństwa.

Siedząc z odkrytą głową na ganku, obserwował tumany kurzu na drodze, które powoli przybierały kształty koni i jeźdźców. Zrodziła się w nim dawna, chłopięca emocja na widok wolnej przestrzeni i spokojnie stąpających rumaków, lecz nie był już teraz tak radosny, jak w owych dniach beztroskiego spokoju. Stanowczo myślał za wiele, stawał się coraz starszy i dochodził do wniosku, że powinien znaleźć coś bardziej doniosłego w życiu. Nie znaczyło to, że otwarta przestrzeń i swoboda przestawały go interesować! Po prostu nie czuł w duszy tego zadowolenia i sam nie wiedział dlaczego.

Jeźdźcy posuwali się naprzód wzdłuż koryta „Opuszczonej Rzeki” i po chwili stanęli na ocienionej płaszczyźnie, tuż przed drzwiami chatki.

Na czele karawany jechał Indianin o kwadratowej twarzy, w stroju cowboya, o krótko ściętych włosach. Drugi jeździec był typem niezwykle oryginalnym; siedział w swym siodle, jak gdyby przez całe życie z niego nie schodził; długie czarne jego włosy opadały miękkimi zwojami spod starego, spłaszczonego sombrero. Szczupłą miał twarz, o cerze oliwkowej, długi nos i przenikliwe, ciemne oczy, o wyrazie niezwykłej dobroci i energii. Ubrany był we wzorzysty kaftan z powiewającą, purpurową szarfą i nabijany srebrem pas, obciśnięty mocno na biodrach; z kieszeni sterczała mu ciemna rękojeść dużego rewolweru.

— Witaj, Ben! — zawołał, wyskakując z siodła. — Mieliśmy dużo kłopotu z końmi. Zapłaciliśmy wszystkie twe długi. I cóż ty na to, stary?

— Nadzwyczajne! oczywiście, jeżeli nie kłamiesz, Nevado — odparł Ben serdecznie.

— Szczera prawda, Ben. Jestem ogromnie szczęśliwy, że ci to mogę powiedzieć — rzekł Nevada. — A tu jest list od twojej siostry. Przejeżdżałem koło farmy, posłałem więc chłopca, aby powiedział Hettie, że czekam.

— Och, jesteś nadzwyczajny! — zawyrokował Ben, biorąc pośpiesznie grubą kopertę, którą mu podał Nevada. — Tęskniłem już.

— Wieczerzaliśmy w mieście i od tego czasu jedziemy bez odpoczynku — szepnął Nevada zmęczonym głosem.

— Powiedz, musisz być zmęczony i głodny... a jak ty się masz, Modoc?

— Źle. Miasto nie jest dla Indian — odparł Modoc z uśmiechem.

— Ben, nigdy bym nie zamienił tego obozu na żadne miasto na ziemi — oznajmił Nevada.

— Ani ja, dopóki ty i Modoc będziecie tutaj. Samemu smutno — rzekł Ben, zabierając się do rozsiodłania koni. Po chwili Modoc odprowadził do szopy zmęczone zwierzęta.

— Nevada, ależ przywiozłeś moc towaru — mówił dalej Ben, oglądając pudełka, woreczki i beczułki.

— Kupiłem wszystko, o czym tylko pamiętałem — odparł Nevada bezdźwięcznie.

— Po raz pierwszy od wielu lat czuję się bogaty. Ułożę zapasy i zajmę się śniadaniem.

Prowianty zajęły małą komorę, część kuchni i połowę izby Bena. Gdy Ben zajęty był rozpakowywaniem, Nevada legł na wąskiej pryczy, przykrytej czerwoną derą.

— Przywiozłem dużo nowości, — rzekł w zamyśleniu — gdybym mógł tylko spamiętać. Wszystko jedno chyba, w jakim porządku ci to opowiem... Ben, ojciec twój zdobył ogromny majątek; sprzedał dwa tysiące akrów, które zwykle były pod wodą. Drenowanie „Tule Lake" wzbogaciło ojca. Lecz nie on tylko jeden stał się bogaty, Hart Blaine jest również posiadaczem większej części nizinnych obszarów. Czekałem w pobliżu Hammell na zmierzch, miałem więc możność dowiedzieć się wszystkiego o farmie twojego ojca. Wszyscy farmerzy w okolicy „Tule Lake" narzekają na suszę, ojciec zaś twój i Blaine są z tego niezwykle zadowoleni. Spotkałem McAdama, który pytał o ciebie. Jeden z szynkarzy opowiadał mi, że ma on oko na córkę Blaine'a — zapomniałem, jak jej na imię — ta, która była tak długo w szkole.

— Czyżby Ina? — przerwał Ben pośpiesznie.

— Tak, zdaje się, że ona. Dla starego Blaine'a byłby to doskonały interes.

— Ina Blaine — rzekł Ben rozmarzony, porzucając na chwilę układanie prowiantów. — Ma teraz prawdopodobnie dziewiętnaście lat.

— Ben, czy to Ina Blaine była tą twoją ukochaną? — zapytał Nevada z wielkim zainteresowaniem, nie otrzymawszy jednak odpowiedzi, ciągnął dalej: — Musiała być jeszcze dzieckiem, gdyś ty dom opuścił... A zatem wynająłem chłopca, ażeby mnie prowadził do domu twego ojca, gdy tymczasem Modoc czekał na mnie obładowany prowiantami. Stanęliśmy przed farmą o zmierzchu. Kazałem wejść chłopcu do wnętrza, sam zaś ukryłem się w gęstwinie drzew. Wyszła do mnie Hettie i dała mi ten list dla ciebie... Ben, jakaż ona dorosła. Nie mogłem zobaczyć jej tak dobrze, jakbym chciał, ale i to mi wystarczyło. Jest bardzo piękna, Ben, ma miękkie, falujące włosy i słodką twarzyczkę — podbiła me serce. Wolałbym nie widzieć jej więcej, lecz prosiła, abym przybył znowu... a ja, głupi, przyrzekłem... Zabrałem chłopca z powrotem do Hammell, a sam połączyłem się z Modocem... Ben, podobno nowa banda łowców dzikich koni grasuje między „Srebrną Łąką" i drogą do Nevady, zajmują się kradzieżą stad.

— Kto ci mówił o tym? — zapytał Ben podejrzliwie.

— Plotka ta krąży w okolicach Hammell — odparł Nevada. — Gdy kupiłem już trochę wódki dla cowboyów, starałem się z nich wydobyć, kto nazwał łowców dzikich koni koniokradami. Oczywiście, nikt inny, tylko Less Setter. Zepsuliśmy mu kilka interesów ostatniego lata, a pewnego razu był nawet tutaj podczas twojej nieobecności. Ben, powiadam ci, że Less Setter to niebezpieczny człowiek.

— Skąd wiesz o tym? — indagował Ben ostro.

— Każdy ci to powie. Dla mnie jest tym ciekawsze, że znałem Less Settera, zanim on jeszcze pojawił się w Kalifornii.

— Ach! — wykrzyknął Ben, obrzucając twarz przyjaciela wymownym spojrzeniem.

Wyjaśnienie Nevady było pierwszym od czasu, jak się znali. Pewnej nocy, przed laty, Nevada zjawił się w samotnym obozie Bena, był ranny i wygłodzony, koń jego chwiał się na nogach. Ben przyjął wędrowca gościnnie. „Zsiądź z konia i wejdź do chaty, wędrowcze”, rzekł, „skąd jesteś?” „Nevada”, brzmiała lakoniczna odpowiedź. Ben ugościł nieznajomego i nigdy już od tego czasu nie zadawał mu żadnych pytań. Nevada przywiązał się do Bena, nie wspominając mu jednak o swej przeszłości.

— Najważniejszą rzeczą jest to, — ciągnął dalej Nevada ze spokojem — że Less Setter zna mnie również. Zdaniem jego nie jestem odpowiednim dla ciebie przyjacielem.

— Cha, cha! — zaśmiał się Ben z goryczą. — Nie gadaj głupstw, Nevada. Możesz mi nie mówić o sobie, jeżeli nie chcesz. Kocham cię takim, jakim jesteś i nie wnikam w to, jakim byłeś kiedyś.

— Ben, mówisz rozumnie — rzekł Nevada, a oczy jego zwilgotniały nagle. — Zdaje się, że nikt dotychczas nie kochał mnie tak w życiu, jak ty. Nie chciałbym przywiązywać wagi do tego rodzaju plotek.

— Ja również — oznajmił Ben stanowczo.

— All right, pard — odparł Nevada, a serdeczny płomyk błysnął w jego spojrzeniu, gdy pochylił się nad Benem. — Łatwo przywiązuję się do ludzi i szczęśliwy jestem, że los twój odmienił się na dobre. Myślałem o tym w chwili, gdy Hettie wręczała mi list do ciebie. Radosne uczucie, Ben... Myśl ta przyszła do mnie całkiem niespodzianie.

W tej samej chwili wszedł cicho Indianin i wziąwszy stągwie spod pieca, wyszedł znowu. Ben zajął się rozpalaniem ognia na dużym kominie, poczerń przygotowywać począł kawę, słoninę i grzanki. Umysł jego pracował równie szybko, jak ręce.

— Z radością myślę, że zaczyna uśmiechać się do mnie fortuna — rzekł poważnie. — Szczęśliwy miałem pomysł, że cię wysłałem. Sam nie jestem zdolny ani do sprzedaży, ani do kupna; nie potrafię się zająć tymi rzeczami. Ty, Nevada, stworzony jesteś do tego i zawsze przeprowadzisz korzystną jakąś transakcję.

— Ben, czyś zauważył coś szczególnego we mnie? — zagadnął Nevada.

— Jeżeli mam być szczery, to tak — odrzekł Ben, odwracając się ku niemu. — Widzę, żeś się pięknie ogolił i masz nową szarfę.

— Niedobry jesteś, żartujesz. Ani jednej kolejki nie wypiłem w Hammell. Wiedziałem, że zobaczę się z siostrą twoją, Hettie, nie chciałem więc, aby poczuła ode mnie zapach whisky.

— Całe twoje szczęście, Nevada; jestem pewien, że ucieszyłoby to ogromnie Hettie... Jak się czujesz?

— O wiele lepiej, zamierzam skończyć z pijaństwem — rozumował Nevada w zamyśleniu. — Ben, gdybym mógł pojmać dla ciebie Czerwonego Mustanga.

— Co takiego? — wykrzyknął Ben, zrywając się na równe nogi.

— Wybacz mi, pard. Chciałem powiedzieć, że pragnąłbym ci pomóc w upolowaniu tego dzikiego rumaka, który tak mało ma dla ciebie znaczenia; chciałbym opowiedzieć ci coś na ten temat.

— Dobrze, Nevada, posłucham chętnie. Ale czyś słyszał coś o Czerwonym Mustangu?

— Oczywiście, lecz radbym to zachować dla siebie. Gdy zjemy śniadanie, powiem ci, gdzie się ta dzika bestia znajduje.

Jasny płomyk w oczach Nevady zaciekawił niezwykle Bena, postanowił jednak nie pytać o nic, będąc pewny, że przyjaciel sam mu wszystko opowie.

— W pobliżu naszej zagrody — zaczął Nevada — ciągnie się pole szałwii na przestrzeni stu dwudziestu akrów. Trzy takie zagrody można by tam wybudować; jest to najurodzajniejsza część doliny „Opuszczonej Rzeki”, oprócz roślinności bowiem, bogata jest ona w stada dzikich koni. Należałoby się tym zająć, Ben... Nie patrz na mnie tak zdziwionym wzrokiem. Powiadam ci, że mam nosa. Teraz jest sama pora, gdyż susza panuje w całej okolicy; należałoby pomyśleć o tym, a pieniądze znajdą się później; gdy przyjdzie deszcz, całe Clear Lake stanie pod wodą; i dzikie konie znikną wówczas zupełnie. Pomyśl o tym, Ben. Można by pojmać Czerwonego Mustanga oraz tysiąc innych koni i zatrzymać je dla siebie, a potem sprzedać, gdy ceny wzrosną.

— Nevada, mówiłeś, żeś nie pił ani jednej kolejki.

— Przysięgam ci, że nie piłem.

— Cóż się więc z tobą dzieje?

— Po prostu mam nosa.

— Nevada, jak długo rozmawiałeś z moją siostrą? — indagował Ben z powagą.

— Zdawało mi się, że rozmowa ta trwała zaledwie kilka sekund, lecz sądzę, że musiała trwać dłużej.

Nevada zapłonił się przy tych słowach.

— I cóż Hettie mówiła? — ciągnął dalej Ben ciekawie.

— Przypomniała sobie mnie, a jednak zapytała: „Czy pan jesteś Nevada, przyjaciel Bena?” — odparłem, że tak. Wówczas zarzuciła mnie pytaniami, oczywiście na twój temat, a ja starałem się odpowiadać jak najszybciej. Potem spojrzała na mnie dziwnie jakoś i zapytała: — Nevada, jeżeli jesteś pan przyjacielem Bena, musisz być również i moim przyjacielem. Powiedz pan prawdę. Czy obydwaj z Benem żyjecie uczciwie? — Na co ja odpowiedziałem: — Miss Hettie, nie ośmieliłbym się nigdy kłamać przed panią. Obydwaj z Benem żyjemy uczciwie... —

Porwała mnie za rękę i wybuchła płaczem. Straszne to było dla mnie. Po chwili szepnęła znowu: — Czyż nie wstydzicie się obydwaj być takimi, jakimi jesteście? Wszakże młody ten kraj rozwinie się kiedyś, a wy jesteście młodzi i silni; jesteście doskonałymi jeźdźcami, dlaczego nie weźmiecie się do jakiejkolwiek pracy? Chociażbyście mieli nawet ujeżdżać dzikie konie, ale nie kraść całe stada. Zajmujcie się sprzedażą i kupnem, pracujcie, a wszyscy szanować was będą... — Pard Ben, nie umiałem jej na to odpowiedzieć ani słowa. Prosiła, abym powtórzył ci to wszystko i uciekła.

— Hettie! Niech Pan Bóg czuwa nad nią! — zawołał Ben gorąco. — Wcale się nie dziwię. Nawet jako dziecko miała bardzo dobre serduszko. Teraz urosła, ma już szesnaście lat. I pomyśleć, że od dwóch lat jej nie widziałem!

Modoc wrócił ze stągwiami, napełnionymi wodą. Ben szybko przygotował śniadanie i gdy towarzysze jego zasiedli do stołu, wyszedł z izby, aby przeczytać list Hettie. W cieniu małego ganeczka rozrywał drżącymi palcami zalepioną mocno kopertę.

„Najdroższy Benie.

Szalenie się śpieszę i chciałabym napisać choćby połowę tego, co mam ci do powiedzenia; chłopiec, który przyszedł przed chwilą, twierdzi, że Nevada czeka na mnie przed domem. O, jakżebym chciała, żebyś to ty był!

Ojciec wyjechał. Udał się do Klamath Falls z mr Setterem. Mają tam zakupić wielkie jakieś stada. Bardzo wielu biednych farmerów straciło wiele ze względu na suszę. Obawiam się, aby ojciec również nie stracił. Nie lubię mr Settera, a gdy się zobaczymy, opowiem ci dlaczego.

Ben, dużo czasu upłynęło od ostatniego mego listu do ciebie — rok prawie. Szkołę już ukończyłam. Ojciec pragnął mnie oddać do kolegium, lecz matka woli, abym została w domu. Ojciec, mr Blaine i wielu starych farmerów wzbogaciło się ogromnie od czasu, gdy rząd zajął się drenowaniem Tule Lake. Nie wiem sama, czy to dobrze, czy źle. Właściwie powinnam być z tego zadowolona, ale dzięki temu wiele rzeczy się zmieniło. Ojciec zawsze był surowy, a teraz stał się wprost niemożliwy i muszę ci powiedzieć z przykrością, że bracia twoi i siostry, oprócz mnie, stali się również złymi ludźmi. Napisałabym ci chętnie o wszystkim, ale wolę poczekać, aż się zobaczymy. Teraz przejdę do rzeczy najważniejszej.

Matka się źle czuje, Ben; uważam, że nie powinnam przed tobą ukrywać całej, prawdy. Choruje ciągle, co oczywiście szalenie mnie martwi. Tyś był jedyną jej pociechą, Ben, a teraz cierpi, gdy ciebie nie ma. Jestem pewna, że surowość ojca w stosunku do ciebie i jego niesprawiedliwość złamały zupełnie matkę. Cierpi ciągle i tęskni za twoim widokiem, choć, oczywiście, będąc posłuszna ojcu, nie prosi, abyś przyjechał. Mógłbyś jej jednak zrobić niespodziankę. Ben, najdroższy, gdybyś mógł przekonać matkę, że prowadzisz życie uczciwe, że wszystkie opowiadania mr Settera są wierutnym kłamstwem — sądzę, że wówczas

powróciłaby do zdrowia. Postaraj się znaleźć chwilkę czasu i przybądź do nas. Oczekiwać cię będę codziennie o zmierzchu na wąskiej ścieżce. Zobaczysz się z matką, a potem wyjdziemy razem i będziemy z sobą mówić długo, długo.

Mam ci szalenie dużo do opowiadania, Ben, o tym wszystkim, co się tutaj dzieje; pragnęłabym ci również zadać kilka prostych pytań. Bardzo być może, że przed twoim jeszcze przybyciem wręczę te pytania Nevadzie, jeżeli się znowu u nas pokaże.

Ben, nie mogę zakończyć listu tego bez słowa o Inie Blaine; wróciła już ze szkoły do domu. Lękałam się spotkania z nią, lecz Ben, ona jest taka słodka i śliczna, jak była zawsze, w owym czasie, gdyście się tak bardzo kochali. Ogromnie jest miła. W szkole wydoroślała nieco oczywiście; chętnie bym tam sama pojechała, gdyby nie matka.

Widziałam Inę trzy razy i zdaje się, że prędko zaprzyjaźnimy się z sobą; mamy mniej więcej te same poglądy. Pieniądze nie są bożyszczem Iny i nie tęskni ona za przyjemnościami wielkomiejskimi, jak cała jej rodzina.

Ben, Ina pamięta cię doskonale. Nie zwierzała mi się jeszcze dotychczas, lecz domyślam się, co się dzieje w jej duszy. Ona cię lubi, Ben, i przypuszczam, że długie lata, spędzone w szkole, nie zmieniły jej absolutnie na niekorzyść. Do uszu jej doszły już plotki o tobie, krążące po okolicy. Pytała mnie szczerze. Odpowiedziałam, żeś poszedł za swym powołaniem. Pragnęłaby dopomóc ci do spółki ze mną. Ogromnie zaciekawia ją ten straszny, dziki rumak, którego masz zamiar upolować.

Trudno mi skończyć teraz, lecz muszę. Postaraj się przybyć do nas jak najśpieszniej. Chętnie bym sama przyjechała w dolinę „Opuszczonej Rzeki”

Kochająca cię Hettie”.

Po przeczytaniu listu Ben uczuł dławiący ból w krtani; owładnęło nim dziwne jakieś uczucie. Siedział w milczeniu, z otwartym listem w ręku i ze spojrzeniem, utkwionym w szarych wodach melancholijnej rzeki. Właściwie, nie widział nic przed sobą. Oczyma wyobraźni zawisł na kochanych, rodzinnych epizodach swego dzieciństwa, na domu, matce i uśmiechniętej Hettie, o wielkich kochających, błękitnych oczach, na polnych ugorach Tule Lake, na wielkiej szkolnej sali w Hammell i na wąskiej dróżce, którą kroczył codziennie do pobliskiej farmy Blaine’ów. Widział czternastoletnią dziewczynę z długim kasztanowatym warkoczem, spływającym na plecy, o jasnej twarzyczce, której nawet promienie letniego słońca nie zdołały opalić i o ciemnych, aksamitnych oczach. A potem w wyobraźni jego ukazała się wysoka postać ojca, o stalowych muskułach i stalowej woli, o szarym wyrazie oczu, przypominającym odblask słońca na lodzie i o stanowczej, surowej twarzy, nieuśmiechającej się prawie nigdy.

Z całego listu Hettie najgłębiej w umyśle Bena utkwiła wiadomość o chorobie matki. Odezwało się to dotkliwym bólem w jego sercu.

Stanowczym ruchem podniósł się z miejsca. Była to gorzka chwila, lecz krótka, postanowienie bowiem jego było, jak zwykle, nieodwołalne. Wsunąwszy list Hettie do kieszeni, Ben wszedł do izby.

— Modoc, osiodłaj siwego — rzekł rozkazująco.

Indianin odstawił dzbanek i talerze, spoglądając na Bena ze zdziwieniem; również Nevada podniósł głowę znad stołu i z wyrazem zaciekawienia począł szukać wzroku przyjaciela.

— Złe wieści, pard? — zapytał.

— Tak. Hettie pisze, że matka zachorowała, muszę więc jechać, aby się z nią zobaczyć — odparł Ben, ubierając się pośpiesznie do drogi. — Najgorsza jest myśl, że przyczyniłem się do cierpień matki, Nevada...

Z opuszczoną na piersi głową zbliżył się do pryczy i usiadł na niej ociężale.

— Ben — rzekł Nevada, dotykając lekko ramienia przyjaciela. — Złe to są wieści co prawda, lecz nie należy patrzeć na nie tak czarno. Wszakże matka twoja nie jest jeszcze stara, a gdy cię zobaczy, wyzdrowieje na pewno. Nie bądź przygnębiony, Ben. Przygnębienie jest twoim nałogiem tak, jak moim było pijaństwo; skończmy raz obydwaj z naszymi nałogami.

— Gdybym miał w sobie tyle siły i tyle uczciwości, w którą tak wierzysz ty i Hettie... — wymamrotał Ben pod nosem.

— Ben, czuję, że fortuna ci się uśmiecha — rzekł miękkim głosem Nevada, tuląc się do Bena, jak kobieta. — Los nasz się odmienił... możliwe, że zabiję Less Settera, lecz nie stanie się to ani tutaj, ani w Tule Lake... Musisz pojechać i zobaczyć się z matką twoją i siostrą, niechaj nabiorą wiary w ciebie. Przez czas twojej nieobecności pomyślę o wszystkim dokładnie; ale wracaj jutro wieczorem.

— O czym będziesz myśleć? — zapytał Ben ciekawie.

— Przede wszystkim o „Czerwonym Mustangu” — odparł Nevada z niezwykłą powagą. — Ben, ten czerwony rumak zimował tutaj, w pobliżu, przy Mule Deer Lake.

— Nevada! — wykrzyknął Ben oniemiały.

— Jest to fakt, chyba, że cowboye mi skłamali, a nie wiem, dlaczego mieliby mi kłamać. Czerwony Mustang jest niezwykłym okazem. Widziano go niedaleko zagrody Modoca, gdzie grasuje tyle dzikich koni, zjawiał się również ma wschód od Jeziora Dzikich Gęsi. Przez całą zimę ukazywał się w odległości jednej mili od tutejszych zagród. Nikt go nie zaczepiał, nikt bowiem nie zdawał sobie sprawy, jak ą posiada on wartość. Zima jest najlepszą porą roku do polowania na dzikie konie. Spróbuję teraz jeszcze.

— Za późno. Wiosna i lato nadchodzą szybko. Obydwaj z Modocem pojedziecie jutro do Mule Deer Lake.

— Dobrze, lecz ani na chwilę nie przestanę myśleć o „Czerwonym Mustangu” — szepnął Nevada. Jeden ze świeżo wzbogaconych farmerów, niejaki Blaine, ofiarował podobno za niego trzy tysiące dolarów.

— Blaine! — wykrzyknął Ben z podziwem. — Prawdopodobnie Hart Blaine, jest on jedynym farmerem tego nazwiska. To sąsiad mego ojca... Trzy tysiące dolarów! Przecież to majątek! Zawsze był taki skąpy, że nie dał nikomu nawet jabłka ze swego ogrodu.

— Powinieneś być dumny — oznajmił Nevada. — Bo przecież tylko ty upolujesz Czerwonego Mustanga.

— Nie myślę o pieniądzach. Ale po co Blaine'owi ten dziki rumak? Przecież może go to zrujnować!

— Powiadają, że niejeden z farmerów północnej Kalifornii ofiarowałby więcej jeszcze za tego konia — rezonował Nevada. — Któryś z cowboyów powiedział mi, że Less Setter chce dać za niego około czterech tysięcy. Nic dziwnego, pieniądze bowiem przychodzą wyjątkowo łatwo temu łotrowi. Słyszałem w Hammell, że Blaine pragnie kupić Czerwonego Mustanga dla swej córki.

Myśl ta tak oszołomiła Bena, że z trudem stłumił głośny okrzyk. Czerwony Mustang, ta dzika bestia, dla słodkiej, małej Iny Blaine! Wydało mu się to niezwykle oryginalne, chociaż Ina Blaine była jedyną osobą, dla której Ben nie pożałowałby nawet większych jeszcze trudów. Czerwony Mustang musiał być jego, Ben Ide bowiem uchodził w okolicy za najzręczniejszego łowcę dzikich koni.



Rozdział II

Klang, klang, klang! Dziki krzyk wtargnął do pokoju Iny Blaine. Otworzyła oczy i w mrocznej sypialni, przepojonej chłodną szarością świtu, nie rozpoznała, gdzie się znajduje. Klang, klang, klang!

— O, dzikie gęsi! — zawołała nagle z radością. — Jestem w domu, w domu!

Przez cały czas pobytu w szkole Ina nie słyszała ani razu krzyku dzikich gęsi. Z pamięci jej wyszło już zupełnie rodzinne życie w Tule Lake i teraz dopiero wyobraźnią powróciła znowu do dawnych lat beztroskiego dzieciństwa! Rodzinne strony witały ją w ten sposób. Rozradowanym spojrzeniem otaczała zielone, przestronne łąki, żółto-brunatne pola i szumiące fale strumieni, które uśmiechały się do niej połyskującym owalem mieniącego się koryta, ciągnącego się wzdłuż szałwiowych pagórków i srebrzystych, głębokich dolin. Właściwie dawne Tule Lake już nie istniało; nawet wysoki szczyt Mount Shasta zmienił się nie do poznania.

Ina leżała bez ruchu, obserwując przedzierający się przez zasłony świt. Ten wielki, luksusowy pokój nie był tym, w którym spędziła swe dzieciństwo i najwcześniejszą młodość. Dawna jej sypialnia była maleńka, o bielonych ścianach, niskim suficie i jedynym małym okienku.

— Dni, które nie wrócą — wyszeptała Ina.

Ten mały, kochany pokoik, miejsce dziewczęcych jej marzeń, zniknął wraz z dawniejszym Tule Lake. Słodkie dni dzieciństwa, istniejące obecnie tylko w pamięci, minęły bezpowrotnie na zawsze. Stary dom przestał być tym, czym był dawniej; zmienili się również ojciec, matka i rodzeństwo. Ina przekonywała się o tym ze smutkiem. Podczas gdy ona tam w szkole przeobrażała się w dorosłą kobietę, oni, tu w domu, również nie pozostawali na jednym miejscu.

Słońce wschodziło krwawą purpurą nad porośniętymi szałwią pagórkami i zaglądało do okna, złocąc swymi promieniami nowiutkie meble w pokoju. Chłodne tchnienie poranka, pomieszane z ostatnim powiewem przymrozka, zmusiło ją do wsunięcia się z powrotem pod ciepłą kołdrę. Zbudziła się tak radośnie, a teraz, wspomnienia dawnych chwil zatamowały w niej całą wesołość. Nienawidziła zmian, a jednak zmieniło się wszystko, nawet ona sama. Krzyk dzikich gęsi znalazł w jej sercu oddźwięk przywiązania do dawnego życia i dawnych, panujących w domu porządków.

Ina Blaine była trzecim dzieckiem; w rodzinie składającej się z czterech chłopców i trzech dziewcząt, jednocześnie była faworytką swego ojca, farmera z Kansas, który wyemigrował do północnej Kalifornii i osiadł na wielkich obszarach, nad brzegiem Tule Lake. Podczas pory deszczowej

posiadłość Blaine'a stawała zwykle pod wodą, niezrażony jednak tym, pracował usilnie do spółki z kilku sąsiadującymi z nim farmerami. A gdy rząd począł drenować Tule Lake, zdawało się, że fortuna uśmiechnęła się do Blaine'a pod wpływem magicznej lampy Aladyna.

Na rok przed zdobyciem majątku Blaine wysłał Inę do kolegium w Kansas, gdzie mieszkał jego brat, u którego Ina pozostać miała przez cały czas uczęszczania do szkoły. W ciągu lat czterech Ina ani razu nie spędzała wakacji w domu, a przez ten czas ojciec jej stał się niezwykle bogatym człowiekiem. Teraz, po powrocie do domu, Ina postanowiła użyć swobody i nie myśleć o niczym przykrym.

— Muszę patrzeć na to wszystko z humorystycznej strony — obiecywała sobie z cichym śmiechem. — Będzie to ogromnie zabawne. Ojciec, kroczący z powagą i przemawiający pompatycznie — matka, myśląca tylko o strojach — Archie, jako reprezentant rodziny i najstarszy syn króla tutejszych „rancherów" — Fred i Bob, uwijający się w towarzystwie miejskich dziewcząt, a Kate, zaręczona z adwokatem z Klamath! Doprawdy, nie rozumiem jej. Ciekawam, jak się zapatrują na to młodsze dzieciaki? Należy rozpocząć obserwację — dodała rezolutnie, wyskakując z łóżka.

Była przecież w domu, a chociaż zastała tyle zmian, to jednak przez te cztery lata tęskniła ogromnie za rodziną i teraz zadowolona była, że się wśród swoich znajduje. Podczas pobytu w szkole odwiedziła St. Louis, Kansas City, Denver i San Francisco, lecz nigdzie nie czuła się szczęśliwa. Kochała nade wszystko północną Kalifornię, jej niezmierzone przestrzenie, wysokie, bielejące szczyty górskie, obszary szałwiowych pól, jeziora, rzeki i strumienie i małe wioski, porozrzucane tam i owdzie, jakby przytulone do krawędzi głębokich dolin.

— Gdy wspomniałam wczoraj wieczorem, że pragnęłabym być nauczycielką w tutejszej szkole, ojciec krzyknął na mnie — dumała — a matka była strasznie obrażona. Co się stało moim drogim rodzicom? Obawiam się, że martwi ich moje wykształcenie. Nie wiem, co mają na myśli. Czuję się zupełnie dorosła i uczona... nie znaczy to jednak, że przestałam być dawną Iną! Chętnie ślizgać się będę z Dall i pojadę na połów ryb z Marviem. Jakże ślicznie mnie o to prosił!... A Ben Ide?... ani słowa od niego przez cały czas. Kochany Ben! Zdawać by się mogło, że zapomniałam o nim zupełnie. Czas tak prędko ucieka! Pisano mi, że Ben stał się złym chłopcem; nigdy nie wierzyłam w to i nie wierzę. Ben różnił się od wszystkich, lecz był dobry... Czyżby zapomniał o mnie? Był o rok młodszy od Archiego, to znaczy, że ma teraz dwadzieścia cztery lata. Dorosły mężczyzna! Pięć lat nie uczyniło chyba tak wielkiej różnicy.

Ina wyjrzała przez okno. Wschodzące ponad zabudowaniami farmy słońce błyszczało szczerym złotem, a blask wiosennego poranku rozjaśniał nizinne wybrzeże Tule Lake. Stada kaczek rysowały się na różowym nieboskłonie, a dzikie gęsi uwijały się z głośnym krzykiem tuż nad moczarami łąki. Stary szczyt Mount Shasta patrzał ku górze majestatycznie, uwieńczony koroną śnieżną i złocistymi promieniami słońca. Świeże powietrze wiosennego dnia drżało odgłosem gęgania gęsi,

śpiewem wiosennych ptaków i ryczeniem krów, wychodzących na pastwiska.

Ina zeszła na dół, przebiegła obszerny hall, który był jedynym wspomnieniem starego domu i wsunęła się do jadalni, gdzie nie zastała nikogo. Dobiegł ją z kuchni głos matki. Zdziwiła się niezmiernie, że pani Blaine pomaga kucharzowi.

— Dzień dobry, mateczko, gdzie są wszyscy? — zawołała Ina wesoło.

— Niech cię Pan Bóg kocha, jakżeś mnie przeraziła — wykrzyknęła matka, dziwnie zmieszana. Była to wysoka, potężna kobieta o siwych włosach i ostrych rysach twarzy. — Nikt jeszcze nie wstał oprócz mnie i ojca.

— Dlaczego, mateczko? — zaśmiała się znów Ina — wszakże Archie zwykł był czyścić konie w stajni, a Kate doiła zazwyczaj krowy!

— Nie zajmują się już tym teraz — odparła pani Blaine krótko.

— Pragnęłabym nauczyć się dojenia krów.

— Ino, ojciec twój nie po to posyłał cię do kolegium — zaprotestowała zgorszona matka.

— Ale przecież i ty, mateczko, doiłaś zawsze krowy — szepnęła słodko Ina, co wywołało większe jeszcze zmieszanie na twarzy jej matki.

— Ojciec twój pokłada w tobie wielkie nadzieje, Ino — rzekła pani Blaine tajemniczo. Nie mogła dziwnie przywyknąć do obecnej Iny.

— Parobcy i dziewczęta przyjdą lada chwila na śniadanie — zauważyła znowu. — Byłoby lepiej, gdybyś poszła stąd.

— Dlaczego? Bardzo chętnie się z nim i zobaczę.

— Ojciec twój nie życzy sobie, abyś przebywała w towarzystwie cowboyów.

— Istotnie? Lecz ja ich lubię ogromnie — upierała się wesoło Ina. — Przecież i ty, mateczko, wyszłaś za ojca wówczas, gdy był cowboyem.

— To zupełnie co innego, Ino.

— Pragnęłabym wiedzieć dlaczego?

— Widzisz, moje dziecko, byłam wówczas dójką w farmie Kansas, a Hart Blaine był tam parobkiem, ty zaś jesteś córką farmera, który w najbliższym czasie zostanie milionerem.

— Pięknie to brzmi, mateczko, lecz nie przemawia mi do serca — odparła Ina z powagą. — Będę miała z ojcem jeszcze niejeden spór na ten temat.

— Ino, przecież byłaś najposłuszniejszym dzieckiem — zauważyła pani Blaine ze zgorszeniem.

— I teraz jestem, mateczko. Zastosuję się do życzenia ojca i pójdę stąd, aby parobcy mnie nie widzieli.

Przeszła do dalszej części domu, zajęta niewesołymi myślami: dziwne jakieś poglądy miała ostatnio jej matka. Dawne miłe obyczaje, panujące na farmie, zniknęły bez śladu. Ina weszła do pokoju bawialnego, który wydał jej się najsympatyczniejszym z całego nowoczesnego mieszkania. Palący się wesoło ogień na kominku usposabiał ją marzycielsko i stwarzał bardziej swojską atmosferę rodzinnego domu. Wróciły na myśl dawne dni dziewczęcej beztroski, długie wycieczki konno i miłe pogawędki przy obozowym ognisku.

Zagłębiona w miękkim fotelu, obserwowała sennym wzrokiem rozpalone głownie, uczuwając dziwną przyjemność w tej samotności. Dall i Marvie wbiegli do pokoju i na widok Iny przerwali wesołą jakąś rozmowę.

Dall była wysoką, dorosłą prawie dziewczyną lat dwunastu, Marvie zaś pięknym, czternastoletnim chłopcem o wysokim myślącym czole i błękitnych, rozumnych oczach. Poczęli opowiadać starszej siostrze o swych troskach i radościach: Dall nie przestawała zapytywać o epizody życia w kolegium, gdy Marvie wychwalał swego pięknego wierzchowca i zapraszał Inę, aby pojechała z nim w sobotę na połów ryb.

W chwilę potem ukazała się na progu najstarsza siostra, Kate. Była to dwudziestodwuletnia panna, przypominająca zewnętrznym wyglądem matkę, nieco tylko szczuplejsza i o bardziej jeszcze ostrych rysach twarzy. Zdawała się nie być zadowolona z powrotu Iny.

— Marvie, zamęczycie Inę zupełnie — rzekła z przekąsem. — Przyjechała tu, aby odpocząć. Mama kazała, abyście szybko zjedli śniadanie, bo możecie spóźnić się do szkoły.

Ina przeszła wraz z rodzeństwem do jadalni, gdzie oczekiwała ich już pani Blaine.

— Gdzie ojciec i chłopcy? — zapytała Ina, zajmując miejsce przy stole.

— Bob i Fred jedzą śniadanie wcześniej z parobkami — odparła pani Blaine, po czym dodała znacząco: — Czasami i ojciec również z nimi jada.

Dall i Marvie siedzieli po obydwóch stronach Iny, jak gdyby chcąc zaskarbić sobie jej przyjaźń. Byli oni jeszcze zbyt młodzi, aby mogli odczuć niezwykłą zmianę w poglądach starszych Blaine'ów; Ina zadowolona była niezwykle, że znalazła sojuszników w młodszym rodzeństwie. Ignorując zupełnie obecność matki i Kate, malcy opowiadać zaczęli z humorem o swych ostatnich przygodach.

— Wiesz, Ino, codziennie jeździmy do szkoły wózkiem — oznajmiła Dali, jak gdyby szło o rzecz nader ważną.

— Ja zwykle chodziłam piechotą — odparła Ina. — Przypominam sobie doskonale tę długą, błotnistą drogę w zimie, a piaszczystą w lecie.

— O, ogromnie lubię jeździć wierzchem — zawołał Marvie. — Na sobotę ojciec obiecał mi konia. A wiesz, że sobota to już pojutrze?

— Chętnie pojadę z tobą — rzekła Ina. — I ja również lubię ogromnie jeździć konno. Czy ojciec ma jakieś konie pod wierzch?

— Jak to, nie widziałaś? — zaśmiał się chłopak. — Pastwisko roi się od wierzchowców, a cowboye mówili mi, że ojciec ima zamiar sprowadzić jeszcze więcej; uchodzi on w okolicy za największego handlarza końmi, oczywiście do spółki z Lessem Setterem, który zasila kraj cały. Ja sam dostałem dwa wierzchowce, Dall ma kuca, Bób i Fred również mają konie do rozporządzenia. Powiedz papie, że chcesz Czerwonego Mustanga, a zobaczysz, co się stanie.

— Któż to jest Czerwony Mustang? — zapytała Ina zaciekawiona. — Czy to cowboy, czy koń?

— To najdzikszy rumak i najpiękniejszy na święcie. Czerwony, jak płomień! Zbyt zręczny, aby go ktośkolwiek złowić zdołał... Ach, Ino, jakżebym chciał, abyś dostała Czerwonego Mustanga.

— Zachęcasz mnie Marvie, ale wolałabym mieć spokojniejszego konia, którego mogłabym sama osiodłać i jechać na nim bez lęku.

— Dzikie mustangi ujeździć bardzo łatwo, a chodzą pod wierzchem cudownie.

— Doskonale, Wobec tego powiem ojcu, że chcę Czerwonego Mustanga, zobaczymy, jak na to zareaguje.

Kate przerwała rozmowę, przypominając Marvie i Dall o szkole. Ina wyszła razem z nimi i pomogła im wsiąść do bryczuszki. Droga prowadząca do szkoły nie zmieniła się w ciągu czterech lat zupełnie. Ina pamiętała doskonale rozłożyste drzewa po obu stronach traktu i małe krzaczki, które rozkwitały pięknie na wiosnę.

Przezroczyste powietrze poranku dzisiejszego tchnęło zbliżającą się zapowiedzią wiosny. Stada rozgwizdanych kosów unosiły się nad ziemią, to znów wzbijały się aż hen, ponad szczyty drzew. Z oddali dobiegał stłumiony krzyk dzikich gęsi. Ponad rozległą doliną poczęły się unosić obłoki lawy, a dotarłszy do szczytów widniejących na horyzoncie pagórków, oblekły je barw ą zaśniedziałego brązu. Biała sylwetka Shasty przerastała okoliczne szczyty i zdawała się wżerać w błękit nieba niby szara złowroga chmura. Ina wdychała teraz z rozkoszą świeżą woń szałwii, idącą od wysokich okolicznych pagórków i czuła w duszy dziwne rozrzewnienie. Tutaj przecież się urodziła. Doszła teraz do wniosku, że ona sama nie uległa absolutnie żadnej zmianie. To, czego jej nauczono w szkole, umocniło tylko dawne, dziecięce jej zasady i wyrobiło własne, niezłomne zdanie.

Nagle przed oczami wyobraźni zamajaczyło inne wspomnienie. Raz jeden tylko posprzeczała się z Benem Idem i to na temat odmiennych, młodocianych poglądów. Jakaż to była przyczyna? Zarumieniona mimo woli, przystanęła między grubymi pniami drzew. Po prostu Ben chciał zmienić dawną ich platoniczną przyjaźń. Myśl o tym teraz zdała jej się dziwnie słodka i pełna mglistej melancholii. Pragnęła ogromnie zobaczyć Bena, jak zresztą wszystkich swych dawnych, szkolnych kolegów; a jednak pewna była, że nie zobaczy go tak prędko. Stare pnie sosen były niemymi świadkami dawnych jej spotkań z Benem.

W pewnej chwili znalazła się w pobliżu szop i corralu, które wyglądu swego nie zmieniły absolutnie od dnia jej wyjazdu i nie nosiły na sobie ani odrobiny tego piętna nowoczesności. Widocznie Hart Blaine specjalnym kultem otaczał wszystko, co mu przypominało dawne Tule Lake.

W oddali ujrzała ojca dziwnie sztywnego i obcego jej w czarnym, eleganckim ubraniu; pamiętała go od dzieciństwa ubranego w szerokie szarawary i wysokie buty poza kolana. Stał w tej chwili bez kapelusza z siwą czupryną rozigraną na wietrze; rozmawiał z wysokim, nieznanym Inie mężczyzną. Cowboye zajęci robotą zdziwionym wzrokiem obrzucali zbliżającą się dziewczynę i witali ją grzecznym skinieniem głowy.

— ...Powiadam wam, Setter, że nie lubię tego rodzaju transakcji — mówił mr Blaine, gdy Ina zbliżyła się ku niemu.

Obcy mężczyzna poruszył się niespokojnie i wówczas dopiero ojciec odwrócił się w stronę Iny. Wyraz powagi znikł z jego twarzy, ustępując miejsca uśmiechowi pełnemu radości i dumy; Ina była jego ulubienicą.

— Hallo, ojcze! — zawołała wesoło dziewczyna. — Chodzę i oglądam te wszystkie zmiany, jakie poczyniłeś w Tule Lake.

— Trudno poznać dawną farmę, prawda? — ucieszył się, zataczając wielki krąg szerokim ruchem ręki.

W szarych jego oczach tail się wyraz niezwykłej energii, co harmonizowało z haczykowatym nosem i wyraźnie zarysowanymi ustami, wyłaniającymi się w uśmiechu spod gęsto zarośniętego wąsa.

— Ino, to jest jeden z moich wspólników, Less Setter z Nevady — przedstawiał Blaine. Zwrócił się potem do obcego mężczyzny, otaczając Inę ramieniem: — Najukochańsza moja córka, wróciła właśnie z kolegium.

— Bardzo mi miło poznać panią, miss Ino — rzekł Setter, uchylając grzecznie sombrero.

Ina spojrzała ciekawie na twarz mężczyzny, ocienioną jasnoblond zarostem i w przymknięte jego oczy, które wydały jej się dziwnie niesympatyczne. Setter nie sprawiał wrażenia człowieka młodego, a jednak tryskała zeń niezwykła werwa i energia życiowa, której Ina nie zauważyła nigdy dotychczas na twarzach znajomych sobie mężczyzn. Pod wpływem spojrzenia Settera opuściła Inę dotychczasowa wesołość; uczuła dziwną niechęć do wspólnika swego ojca i przyszły jej na myśl opowiadania Marvie o sławie jego w okolicy.

— Ojcze, pragnęłabym mieć wierzchowca rzekła, obrzucając twarz mr Blaine'a jasnym spojrzeniem.

— Dużo mamy wierzchowców — odparł mr Blaine. — Mogłabyś sobie wybrać; właśnie mr Setter sprzedał mi sto koni, wszystkie pochodzą z Nevady i są niezwykle piękne. Mam jednak zamówienie z Seattle, musisz więc pośpieszyć się z wyborem.

— Lecz, ojcze, marzyłam zawsze o prawdziwym, ognistym rumaku — szepnęła Ina.

— Nigdy nie byłaś dotychczas taką zapaloną sportsmanką — zauważył.

— Bo byliśmy bardzo biedni — rzekła miękkim głosem. — Przy tym, musisz przyznać, że latem i zimą zajęta byłam w szkole.

— Tak, tak, masz rację, Ino, należy pomyśleć o tym... Widzisz, córko moja, teraz nie jesteśmy już biedni i możesz dostać najlepszego rumaka w okolicy.

— Ojcze, pragnęłabym mieć Czerwonego Mustanga — oznajmiła stanowczo.

— Co takiego? — wykrzyknął Blaine zdziwiony. — Przecież to zupełnie dziki rumak.

— Ale musi być cudowny! — zawołała Ina.

— Miss Ino, Czerwony Mustang jest naprawdę pięknym koniem — wtrącił Setter. — Widziałem go raz jeden przed dwoma laty. Piękna rasa; czerwony, jak płomień i w ruchach również płomienny. Nie jest on przy tym tak niebezpieczny, jak większość dzikich wierzchowców; jeźdźcy twierdzą nawet, że bardzo łatwo byłoby go ujarzmić. Otrzymała pani obietnicę ojca... jestem świadkiem, Blaine, że daliście córce swej słowo.

— Czerwony Mustang należy do ciebie, Ino, jeżeli tylko zdoła się go schwytać — odparł mr Blaine.

— Sądzę, że nie będzie to tak trudne — rzekł Setter w zamyśleniu. — Należy tylko wyprzedzić koniokradów, których takie masy grasują w okolicach Srebrnej Łąki. Obawiam się, że na Czerwonego Mustanga mają już oko Ide i jego wspólnicy.

— Ide! — przerwała pośpiesznie Ina. — Czy ma pan na myśli Bena Ide'a?

— Tak, na imię mu jest Ben — odparł Setter.

— To kłamstwo! Ben Ide nie jest koniokradem — zapłonęła Ina.

— Nie oburzaj się — uspokajał ją ojciec. Od dłuższego czasu nie byłaś w domu. Wiele rzeczy się zmieniło tak u nas, jak i u sąsiadów. — Zwrócił się do Settera: — Widzicie Less, dla Iny jest to coś zupełnie nowego. Ben był jej szkolnym kolegą. Znali się od dzieci. Przykro jest dowiedzieć się...

— Ojcze, ja w to nie wierzę — szepnęła Ina złamanym głosem.

— Straszne to, miss Ino — rzekł Setter. — Przykro mi, że zraniłem pani uczucia. Prawdą jest jednak, że szkolny kolega pani stał się koniokradem.

Owładnięta nagłą złością, odwróciła się do Settera plecami.

— Ojcze, — rzekła błagalnie — czy wiesz o jakimś nieuczciwym czynie Bena Ide'a?

— Dużo by można mówić o tym — odparł mr Blaine. — Wkrótce po twoim wyjeździe Ben wyruszył w góry, oszalały na punkcie dzikich koni. Amos Ide, jeżeli przypominasz sobie, był człowiekiem religijnym i kochał Bena najbardziej ze wszystkich dzieci, jednakże nie zdołał przyzwyczaić chłopca do uczciwej pracy. Powstały między nimi spory, a potem kłótnie. Wreszcie Ben uciekł z domu; od tego czasu nie widziałem go. Podobno pani Ide wzięła to sobie ogromnie do serca; byłem u nich kilkakrotnie, lecz o Benie nie wspomina się tam ani słowem. Ostatniego roku, gdyśmy pognali stada do doliny, znaleźliśmy się w pobliżu „Opuszczonej Rzeki". Ben osiadł tam na stałe i cieszy się najgorszą opinią w okolicy. Powiadają, że kradnie zabłąkane stada. Ja osobiście naocznie nie przekonałem się o tym.

— Trudno upilnować stada na pastwisku — zimnym tonem wtrącił Setter, przyglądając się Inie szyderczo. — Stado ojca pani, jak również i stada innych farmerów zniknęły bez śladu. Zdarza się to często na trakcie do Nevady i niżej, w pobliżu Sierras.

— Najstraszniejsze to, że chłopak ten pochodzi z przyzwoitej rodziny, był naszym sąsiadem i przyjacielem wszystkich w domu...

Ina zawisła spojrzeniem na skamieniałej twarzy Settera, który otrząsnąwszy popiół z zapalonego cygara, zwrócił na dziewczynę bezbarwne swe, półprzymknięte oczy.

— Każdego człowieka łatwo poznać po towarzystwie, w jakim się obraca — dodał z przeświadczeniem. — Młody Ide przebywa stale w towarzystwie Indianina Modoca i pewnego cowboya, który uciekł z Nevady pod zarzutem kradzieży koni.

Pewność Settera podziałała dziwnie na Inę, choć w sercu czuła dalej dotkliwy ból. Spoglądała uparcie w twarz tego człowieka i dostrzegła nagle, że obojętna jego maska ożywia się z każdą chwilą pod wpływem jej wzroku. Aczkolwiek Setter wzbudzał w niej dziwną niechęć, to jednak

uczuła coś w rodzaju zaciekawienia tym niezwykłym wyrazem jego obojętności.

Nie czas jednak było na obserwację.

— Ojcze, to wszystko, co mówi mr Setter, nie przemawia mi do serca — oznajmiła szczerze. — Każe mi to częściej jeszcze wspominać Bena Ide'a z wszystkimi jego zaletami. Ojcze, nie wierzę, żeby Ben mógł kraść dla zarobku. Jakże mógłby się człowiek zmienić tak w ciągu krótkich czterech lat?

Odważnie teraz spojrzała w twarz wspólnika swego ojca.

— Mr Setter? — rzekła — O ile przypominam sobie Bena Ide'a, będzie pan odpowiedzialny za to, co pan mówi. Postaram się zobaczyć go i, oczywiście, powtórzę mu pańskie słowa.

— Ino, co ty wygadujesz? — zawołał Blaine niecierpliwie. — Setter nie ulęknie się niczego, a tobie nie wypada zadawać się z takim chłopcem, jak Ide. Zabraniam podobnych spotkań.

— Sądziłam, że sam mnie zabierzesz do niego, ojcze...

Dostrzegła purpurę na twarzy ojca i nagle przypomniała sobie jego usposobienie pasjonaty; pracujący w pobliżu cowboye przysłuchiwali się teraz z zajęciem głośnej ich rozmowie.

— Dziewczyno, z dziwnymi poglądami wróciłaś — oznajmił Blaine. — Jeżeli szkoła nauczyła cię tego, żałuję teraz mocno, żem cię tam posłał.

— Mam tylko własne zdanie, ojcze, umiem myśleć — odparła Ina z uczuciem.

— Dobrze, lecz nie wolno ci się widywać z Benem Idem, to wszystko, czego od ciebie wymagam.

— Ależ, ojcze drogi, po dzisiejszej rozmowie postaram się zobaczyć Bena jak najspieszniej — rzekła z niezwykłą stanowczością.

— Idź do domu — rozkazał Blaine twardo.

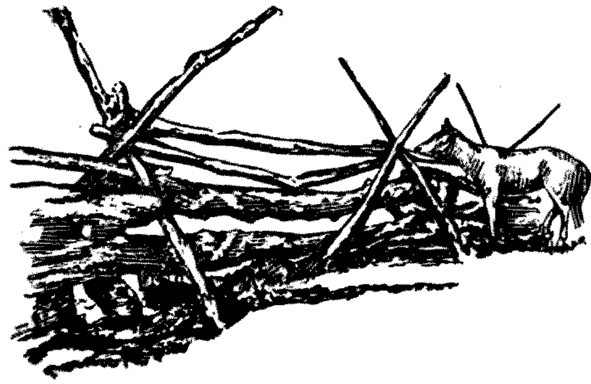
Ina oddalała się od rozmawiających z wysoko podniesioną głową i z twarzą, oblaną purpurowym rumieńcem. Słyszała jeszcze z daleka słowa Settera:

— Kapryśna dziewczyna, Hart, będziecie mieć z nią dużo kłopotu.

— To wszystko przez tego Ide'a — rzekł Blaine gniewnie. Wy to przywieźliście tę wiadomość z Hammell...

Ina nie słyszała już nic więcej, a zniknąwszy im z oczu, wśliznęła się niepostrzeżenie do ogrodu. Usiadłszy między dwiema sosnami, poczęła rozmyślać nad tym wszystkim, co słyszała przed chwilą. Bolała głęboko nad zbliżeniem się ojca z tym wzbudzającym w niej odrazę człowiekiem. Cała ta rozmowa nie sprawiła jej właściwie przykrości, a tylko w duszy jej zrodził się buntowniczy gniew.

— Jeżeliby to wszystko nawet miało być prawdą — szepnęła do siebie — muszę Bena skierować na dawną, uczciwą drogę.



Rozdział III

Resztę poranka przepędziła Ina w cieniu rozłożystych konarów sosny i po długich rozmyślaniach dotarła do kilku zagadnień, które były dla niej wielce ciekawe. Postanowiła nie palić za sobą mostów, nie będąc pewną, czy przez nie wrócić nie będzie musiała. Nie należało poddawać się rozczarowaniu, a po prostu zabrać się do jakiegokolwiek czynu.

Lunch jadła tylko w towarzystwie matki, Kate bowiem udała się z mr Blainem do Hammell. Nieobecność siostry uradowała niezmiernie Inę, pragnęła choć raz jeden być sama z matką. Pani Blaine sprawiała wrażenie kobiety zapracowanej, poświęcającej się z oddaniem obowiązkom żony farmera nawet wówczas, gdyby obowiązki te były ponad jej siły. Od trzydziestu lat była niewolnicą pracy, nie narzekając nigdy na nią i starając się spełniać wszystko bez słowa skargi. Teraz, od chwili, gdy interesy męża jej uległy zmianie na lepsze, pani Blaine czuła się jeszcze bardziej nieszczęśliwa, aczkolwiek z całej tej sytuacji nie zdawała sobie dobrze sprawy. Zasadniczo zupełnie naturalne byłoby, gdyby opowiedziała Inie o wszystkich swoich troskach i radościach, jak również o życiu najbliższych sąsiadów, gdyby powtórzyła jej dokładnie plotki, krążące w okolicy i scharakteryzowała okolicznych, młodych rancherów, którzy prawdopodobnie wkrótce zechcą poznać Inę. Gdy zaczynała mówić w sprawach tyczących się obecnego nowego ich życia znowu przestawała być naturalna. Ina uważała teraz matkę za osobę obdarzoną niezwykłym patosem, miała jednak nadzieję, że wpływem swym potrafi wykorzenić z niej niemiłe naleciałości.

— Mateczko, opowiedz mi o Ide’ach — prosiła, otaczając ramieniem szyję matki.

— Muszę przyznać, że Blaine’owie nie są już teraz takimi przyjaciółmi Ide’ów, jakimi byli — odparła pani Blaine z godnością. — Przypuszczam, że jest to wina twego ojca. Amos Ide zrobił wielki majątek i sądzi, że zazdrościmy mu tego. Pani Ide ostatnimi czasy zamknęła się w sobie. Chodziła zwykle systematycznie do kościoła, lecz od czasu, jak pastor wspomniał w swym kazaniu o marnotrawnych synach, nie zjawia się w kościele zupełnie. Nie mówiłam z nią już od dawna, ale widziałam Hettie. Ogromnie wyrosła. Fred interesował się nią kiedyś, lecz potem spodobała mu się miejska dziewczyna.

— A cóż z Benem? — indagowała Ina.

— Jak twierdzą cowboye, został łowcą dzikich koni.

— Wyrzucili go podobno, nieprawdaż?

— Słyszałam, że Amos Ide dał Benowi do wyboru pracę w polu, lub też wyjście z domu na zawsze; Ben wybrał to drugie. Straszne to było dla jego matki.

Z zasobem nowych wiadomości Ina postanowiła złożyć wizytę pani Ide i Hettie; myśl ta nie dawała jej teraz spokoju. Resztę popołudnia przepędziła na rozpakowywaniu swych rzeczy i urządzaniu pokoju podług swego gustu. Książki i stare fotografie przypominały jej szczęśliwe lata i epizody w kolegium. Zajęta tym wszystkim; nie przestawała jednak myśleć o Ide'ach i, ukończywszy swą pracę, postanowiła złożyć im wizytę jeszcze tego samego dnia.

Za dawnych lat między Tule Lake i farmą Ide'ów biegła wąska ścieżka, wydeptana częstymi krokami odwiedzających się nawzajem sąsiadów; ścieżka ta obecnie zarośnięta była prawie zupełnie murawą. Ina wyszła przed dom i poczęła iść wolno naprzeciw wracającemu ze szkoły rodzeństwu.

Po skończonym podwieczorku, przebrawszy się w jedną z sukien, przywiezionych z Kansas, Ina wybrała się w odwiedziny do Ide'ów. W czasie przebierania się doszła do wniosku, że może zbyt dużo uwagi poświęcała ostatnio zewnętrznemu swemu wyglądowi. Dlaczego właściwie pragnęła pięknie wyglądać dla Ide'ów?

— Dla Ide'ów? Czy miałam naprawdę na myśli mrs Ide i Hettie? — zapytywało z powagą czarnookie dziewczę w lustrze.

Odpowiedzią był rumieniec, który wypłynął na jej smagłą twarzyczkę. Zdawała się mieć w tej chwili żal do samej siebie. Schodząc ze schodów spotkała Kate.

— Na litość Boską! — wykrzyknęła starsza siostra z podziwem. — Czyżbyś szła na bal?

Zawistnym wzrokiem obejrzała Inę od stóp do głowy i złośliwa zazdrość odmalowała się na jej drapieżnej twarzy. Niechętne spojrzenie siostry spłoszyło im puls szczerości, jakim Ina posługiwała się zawsze.

— Czy podoba ci się moja suknia, Kate? — zapytała chłodno. — Ciotka Eleonora kupiła mi ją w St. Louis. Jest to zwykła suknia wizytowa, uszyta podług ostatniej mody.

— Nie jestem nią zachwycona — syknęła Kate.

Ina zaśmiała się głośno. Starsza jej siostra patrzała na nią dziwnie niechętnie od dnia powrotu jej ze szkoły. Różniły się widocznie poglądami.

— Mam zawsze wrażenie, że Kate nie jest zadowolona z mego powrotu, a specjalnie nienawidzi mych toalet. Ciekawa jestem, co powie, gdy zobaczy moją suknię balową.

Skierowała się na ścieżkę, zarośniętą trawą, prowadzącą do domu mieszkalnego Ide'ów. Popołudniowe słońce rzucało złociste refleksy na szare dachy budynków, odbijając się tysiącem barw w przezroczystych szybach okiennych. W duszy Iny odezwało się dawne ukochanie rodzinnego gniazda, samotnych pagórków i szerokich, bezbrzeżnych pól. Ocienione purpurą skalne szczyty zdawały się przywoływać ją szeptem pełnym miłości. Przyszło jej na myśl, że poza górskim łańcuchem ciągnęła się dolina „Opuszczonej. Rzeki". Zatopiona w marzeniach dotarła do farmy Ide'ów. Te same stare, drewniane wrota, ten sam dziedziniec, ocieniony konarami stuletnich drzew. Miała wrażenie, że za chwilę wybiegnie jej na powitanie Rover, ukochany pies Bena. Lecz Rover się nie zjawił. Cicho otworzyła bramę i pomna tutejszych obyczajów, skierowała się ku

bocznemu wejściu do domu. Zarówno dziedziniec, jak i wnętrze sieni tchnęły atmosferą skromnego komfortu. Ina minęła przedsionek i zapukała do drzwi pierwszego pokoju.

Na progu ukazała się młoda dziewczyna o świeżej twarzyczce i pięknych, błękitnych oczach. Przez chwilę przyglądała się Inie ze zdziwieniem.

— Nie poznajesz mnie, Hettie? — zapytała Ina.

— T-tak, lecz nie jestem pewna — szepnęło dziewczę z rumieńcem na twarzy.

— Jestem Ina Blaine.

— Och, naturalnie, wiedziałam, że to ty, ale tak się zmieniłaś — odparła Hettie z czarującym uśmiechem. — Słyszeliśmy, żeś wróciła do domu. Strasznie się cieszę, że cię widzę. Wejdź, proszę, mama jest tutaj.

— Hettie, jakżeś ty urosła, jesteś już o wiele większa od Dall i Marviego — rzekła Ina, wchodząc do dużej, jasnej kuchni, która była dla niej również miłym wspomnieniem. — Poza tym muszę ci powiedzieć, żeś szalenie wyładniała.

— Dziękuję — odparła Hettie, płoniąc się znowu. — Zawsze umiałaś mówić przyjemne rzeczy, Ino; wejdź i przywitaj się z mamą.

Otworzyła drzwi do obszernej bawialni.

— Mamo — zameldowała Hettie smutnej, milczącej kobiecie, która wstawała właśnie od stołu — Ina Blaine przyszła nas odwiedzić zaraz po powrocie do domu.

— Mrs Ide, mam nadzieję, że pani mnie sobie przypomina — rzekła Ina, witając matkę Bena. W tej chwili poczuła dziwną sympatię do tej kobiety.

— Ina Blaine! — zawołała pani Ide słabym głosem, odkładając pośpiesznie binokle. — Oczywiście, że pamiętam. Imię to słyszy się tak często w naszej rodzinie, jak imię Hettie... Więc to ty jesteś, Ino? Nigdy bym cię nie poznała. Witaj kochanie w Tule Lake. Jakże ładnie z twej strony, żeś przyszła do nas zaraz po powrocie. Dopiero wczoraj mówiliśmy o tobie i ja twierdziłam, żeś na pewno nie zmieniła się zupełnie.

— O, urosłam ogromnie, mrs Ide — odparła Ina, całując dłoń gospodyni. — Strasznie się cieszę, że jestem znowu w domu, lecz nie mam zamiaru zmienić się tak, jak inni.

— Oczywiście — uśmiechnęła się pani Ide. — Stałaś się teraz zupełnie dorosłą kobietą. Usiądź tu i opowiedz nam coś o sobie.

Nigdy dotąd Ina nie miała tak cierpliwych słuchaczy; mówiła godzinę prawie o swym życiu w szkole, wspomniawszy przy końcu o wrażeniach swych po powrocie do domu.

— Przykro mi bardzo, Ino, — mruknęła pani Ide — lecz przypuszczam, że zmiany w twym domu nie wpłyną zupełnie na ciebie. Między swoimi będziesz się czuła szczęśliwa.

— Zawsze czuję się szczęśliwa — odparła Ina w zamyśleniu, — wolałabym jednak nie zastać tych zmian w domu.

— Czy często będziesz nas odwiedzać? — zagadnęła znowu matka Bena.

— Tak, jak to było dawniej — odrzekła Ina serdecznie.

— Ojciec twój niechętnie będzie patrzeć na to, Ino. Jest to człowiek surowy, tak surowy w wielu wypadkach, jak Amos Ide.

— Miałam już z nim spór — rzekła Ina naiwnie. — Oczywiście, zwyciężyłam.

— Ina jest ogromnie stanowcza, mamo, niejednokrotnie kłóciła się nawet z Benem — zawołała Hettie impulsywnie.

Aluzja ta była snadź bardzo niefortunna, pani Ide bowiem posmutniała nagle. Ina doszła do wniosku, że należało powiedzieć cośkolwiek o Benie, a sama nie wiedziała w tej chwili od czego zacząć.

— Tak, pamiętam Bena i nasze kłótnie — odparła z prostotą. — Ogromnie lubię wspominać dawne czasy, lecz pozostawmy to na następny raz. Do widzenia, mrs Ide, będę odwiedzać państwa częściej... Hettie, czy odprowadzisz mnie kawałek? Mam się spotkać z Marviem i Dall.

— Bardzo chętnie — zgodziła się Hettie.

Gdy wyszły z domu, Ina poczuła dziwną jakąś przepaść, która odgradzała ją od Hettie. Należało położyć temu koniec. Szły ciągle w milczeniu, gdy nagle Ina zwróciła się do Hettie z płonącym wzrokiem:

— Powiedz mi teraz coś o Benie.

Twarzyczka Hettie pobladła, a oczy jej napełniły się łzami.

— Więc słyszałaś? — zapytała pośpiesznie.

— Całe mnóstwo plotek — odparła Ina. — Nie wierzę w to wszystko. Powiedz mi, Hettie, prawdę.

— Och, Ino, jak to ładnie z twojej strony — wyszeptała Hettie, tłumiąc głuchy szloch. — Nie ma tu wiele do opowiadania. Ben ukochał nade wszystko wolną przestrzeń i dzikie konie. Cóż mógł na to poradzić? Ojciec wygnał go z domu — więc poszedł. Złamało to serce matce, a i mnie nie przyniosło radości. Najrozmaitsze kłamstwa krążą o Benie i od czasu przybycia Settera do Tule Lake wzrosły one jeszcze bardziej.

— Poznałam Settera. Nie lubię go dziwnie i nie mam do niego zaufania, Hettie. Mówił mi wiele przykrych rzeczy o przyjacielu Bena, cowboyu z Nevady.

— Nienawidzę go, Ino — twarz Hettie spłonęła purpurą rumieńca. — Opowiedziałabym ci przyczynę, dla której człowiek ten tak szkaluje Bena.

— Zupełnie zbyteczne. Poznałam dużo różnych ludzi podczas tych czterech lat nieobecności mojej w domu... Hettie, nie mogę w to uwierzyć, aby Ben mógł kraść... w żaden sposób nie mogę.

— Ino, wiem, że on nie robi tego — rozumowała Hettie. — Właściwie nie mam pojęcia, skąd wiem o tym, lecz tkwi to w moim sercu.

— Czy cała rodzina straciła już wiarę w Bena?

— Tak, z wyjątkiem matki. Tli w niej jeszcze raczej nadzieja, niż prawdziwa wiara. Ojciec ją do tego skłonił. Ben był jego dumą, o ile pamiętasz. Rozczarowanie to przyczyniło się do szybszej starości ojca... I ja czuję się chora, gdy myślę o tym.

— A zatem, Hettie, mamy jednakowe poglądy — zauważyła Ina. — Teraz nie należy myśleć co robić, lecz jak tę rzecz załatwić.

— Nie rozumiem cię, Ino — Hettie spojrzała z ciekawością na swą towarzyszkę.

— Należy uratować Bena, dopóki jeszcze nie jest za późno — oznajmiła Ina z przeświadczeniem, a rumieniec energii zabarwił jej policzki.

— Więc mamy to uczynić obydwie, ty i ja? — zapytała Hettie przyciszonym, radosnym głosem.

— Tak. Ty jesteś jego siostrą, a ja — dawną przyjaciółką. Prawdopodobnie jesteśmy jedynymi jego przyjaciółmi, oprócz owego cowboya z Nevady... Hettie, nie wierzę również słowom Settera, że ów cowboy był koniokradem. Sądzę, że jest on ogromnie przywiązany do Bena, stanął przy nim wówczas, gdy Ben był samotny, odepchnięty. Może i on też kocha dzikie konie. Hettie, ujrzymy ich obydwóch, a szczególnie Bena, gdy wybierzemy się w dolinę „Opuszczonej Rzeki".

— Ojciec zabiłby mnie, gdyby się dowiedział o tym — szepnęła Hettie lękliwie.

— Uczynimy to w ostateczności — zauważyła Ina. — Tymczasem musimy czekać. Coś się stać powinno. Możemy przesłać Benowi wiadomość. Powinien dowiedzieć się o moim powrocie i nabrać ochoty do zobaczenia mnie.

— Na pewno będzie miał ochotę, Ino, ale nie przyjedzie nigdy, choćbyś nawet ty do niego napisała rzekła Hettie ze smutkiem.

— Biedny Ben! Ile musiał przeżyć!... A więc, tu się ścieżka kończy, zdaje się, że Marvie idzie naprzeciw mnie. Zobaczymy się wkrótce, Hettie, w międzyczasie pamiętaj, że jesteśmy w zmowie.

— Och, Ino, czyż mogłabym o tym zapomnieć! — zawołała Hettie z wdzięcznością.

— Doskonale! Do zobaczenia.

Hettie odwróciła się szybko i poczęła biec w stronę domu.

Następną sobotę przepędziła Ina w towarzystwie Marviego na pięknej przejażdżce, pełnej śmiechu i komicznych przygód; podczas gdy Marvie zajęty był łowieniem: ryb, Ina siedziała zatopiona w marzeniach.

Dzięki zręcznym machinacjom Kate, która usiłowała występować przeciwko Inie, rodzice zabronili Dall towarzyszyć starszej siostrze i bratu. Ażeby nie robić przykrości Marviemu, Ina postanowiła pojechać z nim sama.

Ciemno już było zupełnie, gdy powrócili do Tule Lake. Ina wbiegła do kuchni, chcąc uniknąć niechętnego wzroku Kate, która zawsze w ten sposób witała każde pojawienie się młodszej siostry. Zresztą, Ina nie troszczyła się teraz o nią. Była zmęczona, lecz zadowolona niezwykle. Przykre wymówki ojca skierowane do Marviego, chwiejność, niezadowolenie Kate — wszystko to nie sprawiało na niej żadnego wrażenia. Po umyciu się i przebraniu, pośpieszyła na spóźnioną kolację, którą miała jeść tylko w towarzystwie Marviego. W pokoju jednak zebrani byli wszyscy, nie wyłączając Kate.

— I cóż? — zagadnął ojciec wchodzącą Inę — Przyjemnie ci było, nieprawdaż? Lecz jesteś już zbyt dorosła i Marvie mógłby znaleźć dla siebie coś lepszego, niż zaciągnięcie cię ze sobą do „Opuszczonej Rzeki".

— Ależ byliśmy tylko przy ujściu rzeki, opodal Hammell — zaprotestował chłopiec. — Nie przeszliśmy nawet pagórków.

— Nie wiem właściwie, dlaczego — dodała Ina pospiesznie — chciałabym pojechać wszędzie. Następnej soboty wybierzemy się do jeziora.

Mr Blaine rzucił żonie porozumiewawcze spojrzenie, jak gdyby chcąc przypomnieć jej niedawną jakąś rozmowę, potem chrząknął głośno. Ina wiedziała, co wróżyło to chrząknięcie.

— Chcesz przeistoczyć swą siostrę w dzikiego cowboya, Marvie — rzekł ojciec surowo. — Następnej soboty nie dostaniesz ani konia, ani bryczki.

— Ależ papo, przecież Ina nie może pójść wszędzie piechotą — zawołał Marvie z rumieńcem na twarzy.

— Ina pojedzie zupełnie w inną stronę i w innym towarzystwie — odparł mr Blaine.

— Acha! Prawdopodobnie z Sewellem McAdamem — wykrzyknął Marvie z niechęcią.

— Sewell McAdam? Któż to taki? — zapytała Ina, spoglądając kolejno to na Marviego, to na ojca.

— Wyjątkowo chłopak zgadł tym razem — zaśmiał się mr Blaine. — Zapomniałem ci opowiedzieć o Sewellu. To bardzo elegancki młodzieniec; mieszka w Klamath. Ojciec jego był moim przyjacielem, jest właścicielem kilku tamtejszych sklepów. Mam zamiar zaprosić Sewella na obiad w niedzielę.

— Bardzo się cieszę, oczywiście — rzekła Ina, porozumiewając się z Marviem wzrokiem. Chłopak nie zdawał się podzielać radości Iny. Gdy po kolacji zostali sami w bawialni w towarzystwie Dall, Ina poczęła wypytywać brata o młodzieńca, który miał być w niedzielę na obiedzie.

— To mieszczuch, Ino — odparł Marvie. — Należy do ludzi, którzy hołdują modzie.

— Czy nie lubisz go, Marvie?

— Właściwie nie mam absolutnie żadnych powodów, lecz zaręczam ci, że nie zabrałbym go z sobą na połów ryb.

— Zupełnie niezrozumiałe — szepnęła Ina w zamyśleniu. — Nie przypominam sobie, ażeby ojciec zapraszał kiedykolwiek młodych ludzi na obiad w niedzielę.

— Ino, słyszałem coś — jeżeli chcesz, to ci opowiem — szepnął Marvie, oglądając się lękliwie wokoło. — Dall wie o tym również, bo była wówczas ze mną.

— Możesz mi w zupełności zaufać — odparła Ina uroczyście.

— Słyszeliśmy rozmowę papy z mr McAdamem. Mają na myśli jakiś wielki interes. Mr McAdam jest ojcem Sewella, który ma być u nas w niedzielę. Szalenie bogaty człowiek, właściciel kilku sklepów. Mówił z papą o czymś i kilka razy powtórzyli twe imię.

— Marvie! Co ty wygadujesz? — zawołała Ina ze zdziwieniem.

— Zapytaj Dall — odparł chłopiec. — Ino, ojciec mówił, że gdyby Sewell przypadł ci do gustu, załatwiono by całą rzecz z ogromną łatwością — rzekła Dall, patrząc na siostrę szeroko otwartymi oczami.

— Czyście mówili o tym komuś? — spytała Ina.

— Mówiłam matce, a Kate była przy tym. Mama nic nam nie odpowiedziała, a Kate wyrzuciła nas do kuchni. Trzęsła, się cała ze złości. Narzeczony Kate, ten młodzieniec z miasta, jest przyjacielem Sewella McAdama.

— Nie mówcie o tym nikomu więcej, proszę — rzekła Ina poważnie.

— Przyrzekam — zawołał chłopak — spoglądając na nią z przywiązaniem. — Lecz Ino, jeżeli przyjmiesz tego idiotę, nigdy już nie zabiorę cię z sobą.

Ostatnie słowa wypowiedział z niezwykłą stanowczością i odrobiną lęku, że dziewczyna nie zwróci uwagi na braterskie jego przywiązanie. Ina pochyliła się nad chłopcem i ucałowała go serdecznie.

— Nie obawiaj się, Marvie, będziemy nadal chodzić razem na ryby.

Przeszkodzono im i Ina nie mogła znaleźć sposobności, ażeby pomyśleć o wszystkim, co słyszała od Marviego. Chwilę samotności znalazła dopiero wieczorem w swoim pokoju. Z początku pomysł ten wydał jej się ogromnie niedorzeczny i postanowiła nie zaprzątać sobie nim więcej głowy, lecz potem doszła do wniosku, że postępowanie ojca zgadzało się zupełnie z surowym jego usposobieniem. Należało czekać na rozwinięcie całego planu. Mimo wszystko, z wesołością i pewnym rodzajem zaciekawienia oczekiwała spotkania z mr Sewellem McAdamem.

Niedzielny ranek przekonał Inę, a było to dla niej miła niespodzianka, że nie wszystkie dawne obyczaje starego domu Blaine'ow przestały istnieć.

Rodzeństwo Iny dnia tego ubierało się niezwykle starannie, a specjalnie Kate, która sprawiała wrażenie dziewczyny wiejskiej, będącej pod wpływem miejskich zwyczajów i posiadającej ambicje nowoczesnej arystokratki. Chłopcy, jak się okazało, z wyjątkiem Marviego, pojechali do kościoła na własnych wierzchowcach. Mr Blaine z resztą rodziny usadowił się w dwuosobowym wehikule, który Ina zdawała się rozpoznawać z dawnych czasów. Ona i Dall siedziały na przednim siedzeniu, przy boku ojca. Kościółek wiejski o starych, porośniętych mchem ścianach, młodzi ludzie, uwijający się u wejścia i prezentujący nowe swe buty i ubrania, dziewczęta w jasnych sukniach z falbanami i konie, uwiązane pod drzewami w cieniu — wszystko to wydało się Inie czymś znajomym od dawna i bardzo kochanym.

Gdy weszli — ojciec z wysoko podniesioną głową, matka starająca się dostosować do męża i Kate, dumna jak indyk, Ina odniosła wrażenie, że wszyscy oni, nie wyłączając jej samej, byli pośmiewiskiem zebranego tłumu. Wrażenie to nie zmieszało jej jednak, a przeciwnie, zaostrzyło jeszcze dotychczasową jej ciekawość. Do chwili zajęcia miejsc w ławkach nie poznawała nikogo z obecnych. Siedziała między Marviem i Dall, obydwoje bowiem domagali się tego uparcie. Marvie ze swoją miłą twarzyczką i mądrym, zamyślonym spojrzeniem wskazywał jej co pewien czas nieznacznie różnych młodzieńców, uwijających się po głównej nawie kościoła. Przez cały czas nabożeństwa Ina czuła czyjś natarczywy wzrok zwrócony na siebie.

Nawet kaznodzieja był zupełnie obcy Inie; maleńki, w średnim wieku mężczyzna o poważnej twarzy i dźwięcznym głosie, przemawiający z

niezwykłą prostodusznością. Ina przyzwyczajona była ostatnio do słuchania kazań w wielkomiejskich kościołach. Po skończonym nabożeństwie, gdy wszyscy uklękli, Marvie pochylił się nad Iną w cichym szepcie:

— Tam, na prawo, obok narzeczonego Kate, siedzi Sewell McAdam.

Ina schwyciła braciszka za obie dłonie, zmuszając go do milczenia. Obawiała się, aby ktoś z rodziny nie dosłyszał jego cichej uwagi. Podczas następnych kilku chwil nie znalazła okazji, aby zaspokoić trawiącą ją ciekawość, po wyjściu bowiem z kościoła obstąpili ją dawni koledzy i znajomi, witając się z nią serdecznie po długich latach rozłąki. Kilka par oczu spoglądało na Inę z niemą wymówką, majątek bowiem mr Blaine'a wzbudzał zazdrość w duszach jego sąsiadów. Stare matrony patrzały na Inę z zainteresowaniem, jak gdyby chciały się przekonać, czy ona również uległa jakiejś zmianie. Kate nie omieszkała przedstawić jej swego narzeczonego, którego nazwiska Ina nie dosłyszała nawet. Towarzysz jego, wysoki, młody blondyn o falistym wąsie i dużych, niebieskich oczach, był owym zapowiedzianym mr Sewellem McAdamem. Ubrany z wytworną elegancją, olśniewał wieśniaków parą kanarkowych rękawiczek i giętką trzcinką o srebrnej gałce.

Tłum pobożnych rozpadł się na oddzielne grupki, z których pewna część młodzieży poczęła iść wolno wzdłuż szerokiej ulicy. Mr McAdam nie odstępował już Iny; z zadowoleniem dostrzegła Marviego przy swoim boku.

— Zaproszony zostałem do państwa na obiad — oznajmił mr McAdam. — Może zechciałaby pani pojechać moim powozem?

— Dziękuję panu, mr McAdam — odparła Ina uprzejmie — lękam się zbyt ognistych koni. Wrócę do domu ze swoimi.

Młodzieniec zdawał się być niemile zdziwiony tą odmową. Pożegnawszy go krótkim skinieniem głowy, Ina pobiegła wraz z Marviem do powozu ojca.

— Czy Sewell nie proponował ci wspólnego powrotu? — zapytał mr Blaine, ujmując za lejce.

— Owszem — odparła Ina z uśmiechem.

— Dlaczegoś więc odmówiła? — nalegał.

— Widzisz, ojcze, wolałam powrócić do domu w towarzystwie Marviego i Dall — odrzekła Ina.

Obecność rodziny powstrzymała mr Blaine'a od ostrej wymówki. Ina dostrzegła błysk złości w jego oczach i dosłyszała głuchy pomruk ojca, gdy zajmował swe miejsce w wehikule. Myśl o rozmowie z ojcem nie opuszczała jej ani na chwilę przez cały czas powrotnej drogi do domu.

Pierwszy niedzielny obiad w domu nie oszczędził Inie wielu przykrości. Ciągłe słowne utarczki młodszego rodzeństwa z ojcem i prowokacyjny wzrok Kate działał jej na nerwy.

— Musi pan mieć dużo przyjaciółek, mr McAdam? — zauważył w pewnej chwili naiwnie Marvie. — Ma pan bowiem piękne konie, a dziewczęta szalenie lubią jazdę wierzchem.

— Nie tak dużo, jak ci się zdaje, Marvie — odparł młodzieniec.

— Czy może pan prowadzić konia jedną ręką — zapytał znów chłopiec — wówczas miałby pan drugą zupełnie swobodną.

— Nawet małym palcem lewej ręki.

— Oho! — zawołał Marvie z podziwem.

Obiad był dnia tego raczej ucztą wspaniałą, której spożycie zajęło dość dużo czasu. Wreszcie pod koniec obiadu dzięki śmiałym swym uwagom, Marvie zmuszony był wstać od stołu, a Dall odesłana została do dziecinnego pokoju. Po deserze Kate wysunęła się z jadalni wraz ze swym narzeczonym pod pretekstem udania się na wycieczkę konno, państwo Blaine opuścili również pokój, pozostawiając Inę sam na sam z gościem, Inę uderzył ten manewr rodziców, wydał jej się bowiem ogromnie niezręczny. Jakże dziecinne było to ich postępowanie! Dziewczę dostrzegało teraz dokładnie, jaka przepaść odgradzała ją od rodziców. Wiedziała, że powinna chociażby z obowiązku gospodyni zabawić rozmową młodzieńca, opowiadała mu więc o swym życiu w szkole, aczkolwiek sama była zła na siebie za tę, jak jej się zdawało, gadatliwość. Pierwszy mr McAdam zaproponował, po ponownej chwili milczenia, przejażdżkę konno, zaznaczając przy tym, że przyzwyczajony był każdego niedzielnego popołudnia zabierać na spacer liczne swe przyjaciółki.

— Bardzo to ładnie z pańskiej strony — przyznała Ina. — Ale mógłby pan wyzyskać to poobiedzie w innym towarzystwie. Ja nie będę mieć do pana żadnej urazy.

Z każdą chwilą rosło w duszy jej pragnienie zrzucenia z siebie obowiązku zabawiania niesympatycznego gościa.

— Chciałem pojechać z panią w okolice Lake Ville. Przyrzekłem kilku przyjaciołom, że zobaczą panią dzisiaj, możemy to jednak odłożyć do następnej niedzieli.

Nie przypuszczał nawet, że i drugim razem Ina mu odmówić potrafi. Rozpoczęli znowu przerwaną pogawędkę, podczas której McAdam wypytywał z udanym zainteresowaniem o najrozmaitsze epizody z życia w kolegium. Ina zauważyła, że najbardziej zaciekawiał go jej stosunek do znajomych mężczyzn, na każdym bowiem kroku starał się zamanifestować również udaną swą zazdrość. Szanowałaby go o wiele więcej, gdyby zapytał ją po prostu czy jest zaręczona, lub też, czy jest na świecie ktoś drogi jej sercu. Zniechęcona przerwała swe opowiadanie o Kansas, pozwalając mu z kolei mówić o sobie. Nie dał się prosić zbyt długo, widocznie intuicję miał niezbyt rozwiniętą, ona zaś ze swej strony wolała słuchać, niż mówić.

Sewell McAdam był kupcem. Sprzedawał towary po to, ażeby otrzymać za nie pieniądze. Wolne chwile przepędzał zwykle na ujeżdżaniu koni w towarzystwie kolegów swych i powabnych przyjaciółek. Nie zachwycał się niczym i, jak sam twierdził, nigdy nie potrafiłby się poświęcić życiu na wolnych przestrzeniach. Polowanie było dlań pracą zbyt ciężką, a rybołówstwo nieprodukcyjną stratą czasu. Umysł jego obecnie

zaprzątnięty był dalszym drenowaniem Tule Lake, co finansować miał ojciec jego do spółki z mr Blainem. Poza granice rodzinnego miasta nie wydalał się nigdy prawie. Nigdy jeszcze nie widział dzikich koni ani też ognistych rumaków, zamieszkujących porosłe szałwią pagórki.

— Może byśmy się przeszli trochę po dziedzińcu? — zaproponowała Ina, podnosząc się z krzesła.

Musiał się zgodzić, choć zasadniczo ogromnie nie lubił oglądania życia gospodarskiego na farmie.

— Wyobrażam sobie, jakby się pani doskonale czuła w Klamath — zauważył, gdy wyszli przed dom.

— Istotnie! — mruknęła Ina, tłumiąc cichy śmiech. Ach, żeby Marvie wyswobodził ją z tego towarzystwa!

Ku rozpaczy Iny gadatliwy młodzieniec dostrzegł małą, ocienioną ławeczkę w odległym kącie ogrodu. Widocznie sentymentalny być musiał; Inę perspektywa tego sam na sam przejęła niechęcią. I gdy usiedli pod rozłożystą sosną, Sewell McAdam ujął dłoń dziewczyny, wpatrując się w jej twarz ogniście. Ina postanowiła położyć temu koniec.

— Mr McAdam, obawiam się, że rozumiem pana — rzekła. — Lecz pan absolutnie mnie nie pojmuje. Nie zwykłam pozwalać na tego rodzaju pieszczoty.

— Ach, miss Ino, wszakże nie uczyniłem nic złego — argumentował.

— Nie pożądam zupełnie dotyku pańskich rąk — przecięła stanowczo.

— Nie jestem takim głupcem, abym się chciał wkraść w pani łaski — odparł, marszcząc brwi. — Nie uwierzę również, aby była pani taka święta.

— Co takiego? — oburzyła się Ina.

— Po prostu, nie mogę w to uwierzyć, wiedząc, że była pani tyle lat w szkole i stykała się pani z różnymi chłopcami. Niesłuszne będzie, jeżeli na samym już początku będzie pani... będziemy...

Oburzone spojrzenie Iny nie pozwoliło mu skończyć rozpoczętego zdania.

— Jest pan w błędzie, mr McAdam — rzekła. — Obydwoje, to jest ja i pan, nie powinniśmy nic rozpoczynać. Najlepiej będzie, gdy wrócimy teraz do domu.

Poszedł za nią w milczeniu. Skorzystawszy z pierwszej okazji, Ina pożegnała młodzieńca, pozostawiając go pod opieką swych rodziców. Uwolniona od niemiłego towarzystwa, z westchnieniem ulgi wbiegła do swego pokoju.

Po dłuższym namyśle postanowiła nie przepędzać już niedziel w ten sposób, a przy pierwszej nadarzającej się sposobności wszczęła rozmowę z rodziną o wizycie McAdama.

— Ojcze, dlaczego zostawiliście mnie sam na sam z mr Sewellem? — rzekła tego samego wieczora.

— Co takiego? — wykrzyknął mr Blaine. — Przecież Sewell przybył do ciebie w odwiedziny.

— Ależ ja go nie znałam i nie prosiłam.

— Wystarczy, że ja go zaprosiłem.

Niejednokrotnie już Ina widziała pałającą gniewem twarz ojca, a teraz przyszło jej na myśl, że żądza pieniędzy zabiła w nim wszelkie inne ludzkie uczucia.

— Nie wiem właściwie dlaczego — mruknęła Ina, niemile dotknięta słowami ojca.

— Sewell jest bardzo porządnym chłopcem — rzekł po chwili mr Blaine. — Ojciec jego będzie prawdopodobnie moim wspólnikiem. Sądziłem, że pokochacie się.

— Dziękuję ci, ojcze. To jedno tłumaczy mr McAdama, był bowiem pewien, że olśnił mnie swoją niezwykłą elegancją.

— Ho, ho, ho! — Marvie wyraził głośno swój podziw.

— Uspokój się i odejdź od stołu — rozkazał ojciec, po czym zwrócił się do Iny z rumieńcem na twarzy. — Nie będę ukrywać, Ino, że zapewniłem Sewella o twojej dla niego sympatii.

— Bardzo mi przykro, ale tak nie jest.

— Sądzę jednak, że po bliższym poznaniu...

— Absolutnie niemożliwe, ojcze — przerwała Ina, oburzona narzuconą sobie wolą.

— Ojciec Sewella i ja zamierzajmy rozpocząć wielki interes rzekł mr Blaine, oddychając ciężko i odkładając na talerz nóż i widelec. — To bardzo ambitni ludzie. Jeżeli odmówisz Sewellowi, moje wpływy w tej rodzinie przestaną istnieć.

— Nie mam zamiaru obrażać nikogo z twych przyjaciół, czy wspólników — odparła Ina. — Jestem dla wszystkich jednakowo grzeczna i uprzejma, lecz nie życzę sobie, aby mnie zostawiano sam na sam z którymś z odwiedzających nas młodzieńców.

— Ina kocha jeszcze Bena Ide'a, papo — wtrąciła Kate szyderczo.

Twarz Iny zapłonęła rumieńcem. Imię Bena Ide'a, wymówione tak głośno, podziałało dziwnie jakoś na obecne jej rozgoryczenie. Słowa siostry były zwykłą prowokacją i wyprowadziły Inę z cierpliwości.

— Powinnaś być szczęśliwa, że Sewell McAdam zwrócił na ciebie uwagę — oznajmiła Kate po chwili.

— Słuchaj, Kate, nie oszalałam jeszcze, jak ty, na punkcie miejskich elegantów — odparła Ina ze spokojem. — Zresztą obawiam się, że mogą oni przyczynić się do zupełnej ruiny ojca.

Zanosiło się na rodzinną sprzeczkę, którą zapoczątkowała pani Blaine, wybuchając głośnym płaczem, i Marvie, pokazujący język najstarszej siostrze przez uchylone drzwi hallu. Ujrzawszy to, mr Blaine pobiegł za synem. Kate została milcząca przy stole, a Ina zajęła się uspokajaniem płaczącej matki.

Po chwili mr Blaine wrócił; oczy błyszczały mu gniewem.

— Ten przeklęty smarkacz kwalifikuje się na drugiego Bena Ide'a — mruknął.

Noc tę przepędziła Ina siedząc przy otwarłem oknie w swym pokoju. Z rozkoszą wdychała upojne tchnienie wiosny i marzyła o Benie Ide. Ach, gdyby mogła w tej chwili przebiec wysokie łańcuchy gór i zjawić się nieoczekiwanie w szarej chatce nad „Opuszczoną Rzeką".

Rozdział IV

Osiodławszy siwego, Ben obrzucił ostatnim spojrzeniem „Opuszczoną Rzekę” i wyruszył w kierunku północnym, mając umysł zajęty niewesołymi myślami. Chciał jechać stępa, aby dotrzeć do Hammell o zmierzchu, lecz siwy nie był koniem leniwym i Ben z trudnością zmuszał go do wolniejszego kroku.

Znalazłszy się około południa u podnóża Szałwiowych Gór, Ben objął tęsknym wzrokiem znikające w oddali „Jasne Jezioro”, które błyszczało odcieniem topazu na szaro-purpurowym tle kwiecia szałwii i przypominało mu widok ponurej jego chatki.

— Co za cudny kraj! Za nic na świecie nie wyzbyłbym się myśli o nim. Nadejdzie czas, gdy stanę się posiadaczem wszystkich okolic doliny „Opuszczonej Rzeki”.

Bardziej na północ ciągnęła się równina stepów Kalifornii i Oregonu; złotawa zieleń, przechodząca niekiedy w ciemny brąz, ciągnęła się po obu stronach rzecznego koryta, zabarwiając rdzawo spokojną taflę wód. Ponad tym wszystkim górowała ośnieżona Shasta, uroczyście wpatrzona w pokryty delikatnymi obłokami nieboskłon. Daleki horyzont zasłaniał łańcuch zwartych szczytów górskich.

Zwyczajem Bena było patrzeć i myśleć podczas długich podróży konnych, a tym bardziej teraz spostrzeżenia skracały mu drogę i koiły zbolałą duszę, przepełnioną smutkiem i wątłą nadzieją, spowitą w mgłę tajemniczych marzeń. List Hettie, w którym wspominała o Inie Blaine, wzbudził w sercu jego nieśmiałe uczucie. Ta wierząca ślepo Hettie, uwielbiająca swego brata, pozwalała się uwieść dziewczęcej imaginacji. Ben bardziej od siostry realny, nie przywiązywał wielkiej wagi do jej słów i wiary, a jednak słodka nadzieja owładnęła nim w tej chwili. Czyż powinien był marzyć o tym, o czym wspominała mu Hettie? Stanowczo Ina Blaine nie była odpowiednią żoną dla samotnego, zdziczałego już prawie stepowca.

Przybył do Hammell o godzinę przed zmierzchem, wstąpił więc do przydrożnej gospody, ażeby odpocząć nieco. Jakże cudne jest przeświadczenie, że wszystkie długi zostały spłacone! Właściciel gospody powitał Bena serdecznie, zapytując go o zdrowie i powodzenie. Po kilku chwilach ożywianej, rozmowy Ben opuścił gospodę w zamiarze odwiedzenia pobliskiego baru. I tu przyjęty został serdecznie przez gospodarza, Smatty’ego McGilla i jego gości, rekrutujących się z cowboyów i okolicznych graczy, których, oczywiście, znał od dawna.

— Napijecie się ze mną, chłopcy — rzekł Ben, zapraszając wszystkich do bufetu. — Przy sposobności opowiecie mi o wszystkim, co się stało tutaj podczas mej nieobecności.

W ciągu godziny, spędzonej w towarzystwie swych przyjaciół, dowiedział się tych samych plotek, o których wspominał mu już Nevada. Po pewnym czasie do baru wszedł również znajomy Bena, szeryf Strobel, którego Ben nie widział już od dawna, a z którym był niegdyś w ogromnej przyjaźni.

— Witaj, Ben! — zawołał oficer. — Nie widziałem cię już od roku, opowiedz mi coś o sobie.

Zasypany rojem pytań, Ben z trudnością, mógł na nie wszystkie odpowiedzieć. Podzielił się z przyjacielem planami swoimi na przyszłość, wspominając mu również o swej przyjaźni z Nevadą.

— Posłuchaj, Ben, uważam, że powinienem powtórzyć ci te wszystkie plotki, które krążą tutaj o tobie — szepnął Strobel, pochylając się nad uchem młodzieńca.

— Jest to wszystko wierutne kłamstwo, Charlie — odparł Ben z oburzeniem. — Znasz mnie przecież od dziecka, nie powinienem więc ci przysięgać, że nie jestem koniokradem.

— I tak nie wierzyłem w to wszystko — uśmiechnął się Strobel. — Lecz cóż to za twoi przyjaciele? Ten Modoc cieszył się bardzo złą opinią, zanim jeszcze począł pracować z tobą, a Setter przysięga, że Nevada był najzwyklejszym w świecie koniokradem.

— O Modocu wiem wszystko, — odparł Ben poważnie — przeszłości zaś Nevady nie znam zupełnie. Od czasu, gdy są ze mną, prowadzą się bez zarzutu, Charlie. Nie wolno im uczynić nic bez mojej wiedzy. Zresztą staram się nie zwracać uwagi na czczą gadaninę.

— Ogromnie się cieszę z tych twoich poglądów — odezwał się szeryf. — Wiesz dobrze, jak zaprzyjaźniony byłem z twoim ojcem i ile dlań uczyniłem podczas nieszczęśliwego wypadku w kopalni. Wiem o tym, że postąpił z tobą niesprawiedliwie. Na Charliego Strobela możesz zawsze liczyć.

— Dziękuję ci, przyjacielu — szepnął Ben serdecznie.

— Zachowaj to przy sobie, co ci powiem. Otóż jestem obecnie zajęty pewną aferą koniokradów, grasujących w Szałwiowych Górach. Przypuszczam, że niedługo się ona wyjaśni. Ojciec twój i Hart Blaine należą do Rady. Przyjdź do mnie kiedyś do biura, a opowiem ci resztę. W każdym razie miej oko na wszystkich tych, którzy kręcą się po stepie; na moją odpowiedzialność możesz każdego z nich aresztować na miejscu.

— Dzięki za zaufanie, Charlie, lecz nie wolno mi się wtrącać do tego rodzaju spraw. Chętnie zwrócę na nich uwagę i zawiadomię cię natychmiast.

— Doskonale. Będę ci ogromnie wdzięczny, Ben.

— Jeszcze słóweczko, Charlie — szepnął Ben, ściskając przyjacielowi dłoń n a pożegnanie. — Powiedz mi, któż to taki ten Less Setter?

— A żebym ja wiedział! — szepnął w zamyśleniu Strobel. — Pochodzi podobno ze Wschodu, dużo mówi, wydaje moc pieniędzy, sprzedaje, kupuje ustawicznie konie, bydło, ziemię. Ostatnio stał się serdecznym przyjacielem Harta Blaine'a.

— Wszystko to brzmi ogromnie tajemniczo — odparł Ben z powagą. — Pozwolę sobie zwrócić ci na coś uwagę: obserwuj uważnie tego Lessa

Settera, postaraj się wniknąć w jego interesy. Nie wyrządzisz tym nikomu krzywdy, a możesz mieć ogromną niespodziankę.

— Rozwiniętą masz intuicję, Ben — rzekł Strobel, spoglądając przymrużonymi oczami w zarumienioną w tej chwili twarz przyjaciela. — Pragnę ci powiedzieć, że już od dawna sam o tym myślałem.

Rozstali się przy drzwiach, po czym Strobel zdecydowanym krokiem pomaszerował ku najbliższej ulicy, Ben zaś skierował się w stronę przywiązanego do drzewa wierzchowca. Nagle tuż za sobą usłyszał wesołą jakąś rozmowę i dostrzegł zbliżającą się młodą parę.

Na widok błękitnookiej dziewczyny serce Bena mocniej bić poczęło. Intuicją wyczuł, że była to Ina Blaine, która spoglądała nań z zagadkowym uśmiechem. Tysiące sprzecznych myśli i postanowień obiegło teraz umysł Bena.

— Ben Ide! — zawołała Ina. — Czy nie poznajesz mnie?

— Ina — wyszeptał, dotykając delikatnej jej rączki.

— Ben, jakżeś ty wyrósł! — powtórzyła, oglądając go od stóp do głowy. — Jesteś już zupełnie dorosłym mężczyzną... Starzejemy się, nieprawdaż? — Obserwowała, jego twarz, a w oczach jej zamajaczył cień smutku. — Poznałam cię jednak od razu. Jak się czujesz? I jak ci się powodzi?

— Zdaje się, że i jedno, i drugie było w zupełnym porządku do tej chwili — odparł.

— Ten sam, dawny Ben — zawołała wesoło, rumieniąc się mimo woli.

Przypomnienie dawnych czasów zmieszało ich obydwoje, a Ben postanowił zmienić temat rozmowy.

— Doskonale wyglądasz, Ino — rzekł. — Przypuszczam, że zadowolona jesteś z powrotu do domu.

— I tak, i nie — uśmiechnęła się. — Mam ci bardzo dużo do opowiadania, lecz tutaj nie możemy mówić swobodnie. Kiedy moglibyśmy się zobaczyć?

— Zależy to od ciebie, Ino — odparł ze wzrokiem, utkwionym w jej twarzyczce.

Obejrzała się poza siebie z westchnieniem, po czym rzekła przyciszonym głosem:

— Mam się dziś spotkać z twoją siostrą o ósmej wieczorem na wąskiej ścieżce między domem i traktem. Czy zechciałbyś przyjść tam?

— Przybyłem tu specjalnie, aby zobaczyć matkę i Hettie, Ino. Obawiam się jednak, czy nie będzie zbyt ryzykowne dla ciebie spotkanie się ze mną?

— Ryzykowne? Dlaczego, Ben?

— Ludzie będą plotkować, gdy zobaczą mas razem. Przy tym, ojciec twój...

— Ogromnie lubię ryzykować, Ben. Przyrzeknij, że przyjdziesz wraz z Hettie, aby się ze mną zobaczyć.

— Jeżeli życzysz sobie tego, przyjdę na pewno — odparł, kładąc specjalny nacisk na ostatnich słowach.

— Dziękuję ci. Do zobaczenia o ósmej — szepnęła, oddalając się pośpiesznie.

Ben wszedł do sklepu, gdzie usiłował uprzytomnić sobie, co go tu właściwie sprowadza. Nie mógł zebrać chaotycznie rozproszonych myśli.

— To młody McAdam towarzyszył pannie Blaine — uświadomił go właściciel sklepu.

— Nie zauważyłem. McAdam? Któż to taki? — odparł Ben z udaną obojętnością.

— Ojciec jego jest znanym kupcem w Klamath. Sewell też uchodzi za ogromnie zdolnego. Od dłuższego już czasu ugania się za miss Iną, a sąsiedzi twierdzą, że Hart Blaine chętnie by go przyjął za zięcia.

Z ciężkim sercem Ben wyszedł ze sklepu. Dotkliwy ból sprawiało mu wysłuchiwanie tych wieści, przypomniał bowiem sobie, co mówił Nevada o McAdamie.

Umieściwszy wierzchowca swego w jednej z pobliskich stajen, skierował się w stronę farmy swego ojca, myślą jednak był wciąż przy Inie Blaine. Zbliżała się godzina zmierzchu; chłodny wiaterek wiał od strony okolicznych pagórków, a martwą ciszę wieczora przerywał co chwilę krzyk dzikich gęsi.

Zmierzch już zapadał zupełny, gdy Ben zbliżał się do zabudowań Tule Lake. Woń świeżo zoranej ziemi przenikała wilgotne powietrze. Cała okolica przesiąknięta była dziwnym jakimś smutkiem i monotonią.

W wyobraźni Bena pojawiać się poczęły obrazy lat jego chłopięcych. Zdawało mu się teraz, że wszystko to musiało być już bardzo dawno, a wiedział, że te dni beztroskie nigdy już nie powrócą. Był teraz biednym wygnańcem, który niepostrzeżenie zakradał się do rodzinnego domu, korzystając z nieobecności ojca, a przecież nie on tylko był temu wszystkiemu winien.

W cieniu ogrodowej bramy zamajaczyła wysoka dziewczęca postać.

— Ben? — zawołała gorącym szeptem.

— Tak, to ja — odparł.

Padła w jego ramiona z tłumionym jękiem radości. Bez wątpienia była to jego siostra, lecz jakże się zmieniła w ciągu ostatniego roku; gdyby nie słodki jej głosik, wziąłby ją za kogoś zupełnie obcego.

— Hettie — szepnął wzruszony.

— O, Ben, jakże się cieszę, że cię widzę — odparła, wysuwając się z jego objęć. — Jaki duży jesteś. Ładnie to z twojej strony, żeś przybył wreszcie. Zawdzięczać to mogę Nevadzie, bardzo miły człowiek... Musisz teraz wśliznąć się do domu, aby zobaczyć matkę, Ben. Jest teraz sama, lecz lada chwila może wpaść ktoś. Ja pogadam z tobą później. Sądzę, że uczynisz matce niezwykle miłą niespodziankę, tęskni za twym widokiem.

— Hettie, nie mogę wyjść z podziwu, żeś tak urosła — szeptał Ben, pozwalając się prowadzić poprzez ocieniony dziedziniec do oświetlonego okna kuchni.

Weszli do przedsionka, a Hettie prosiła go, aby stąpał jak najciszej. Jakże mocno ściskała jego rękę! Serce Bena biło jak młotem. Czas, który minął, zdawał się nie istnieć zupełnie, Ben miał w tej chwili wrażenie, że powraca cichaczem do domu z jednej ze swych długich wycieczek, przedsięwziętych wbrew woli ojca, po których zwykle matka stawała w jego obronie. Nogi ważyły mu ołowiem, a każde stąpnięcie zdawało się

huczeć mu w głowie. Hettie otworzyła drzwi; w kuchni nie było nikogo, Ben wsunął się za siostrą i z radością doszedł do wniosku, że nic się tu nie zmieniło. Wzbogacenie się ojca nie wywarło żadnego wpływu na wnętrze starej, przytulnej kuchni. Nawet odwieczny zegar cykaniem swym przypominał Benowi odległe chwile dzieciństwa. Jakże to już dawno było!

Hettie patrzała nań szeroko otwartymi, błyszczącymi radością oczami, twarzyczka jej blada była, a drobne usteczka drżały słowami cichej modlitwy.

— Mamo — zawołała, uchylając drzwi do bawialni — jest tu ktoś, kto chciałby się z tobą zobaczyć.

— Dobrze, dziecko, poproś do pokoju — odparła pani Ide apatycznym głosem.

— Nie, mamo, musisz wyjść tutaj — upierała się Hettie.

Nastała chwila ciszy. Rytm serca Bena połączył się z miarowym cykaniem zegara; Hettie podeszła bliżej do drzwi bawialni. Usłyszeli stuk odsuwanego krzesła i ciche stąpania, po czym wysoki cień ukazał się na przeciwległej ścianie pokoju. Ben ujrzał zmizerowaną twarz swej matki i cała krew spłynęła mu nagle do serca.

— Mamo! — zawołał, nie mogąc już dłużej powstrzymać swego okrzyku. Na twarz jego padało przyćmione światło lampy. Pani Ide poznała syna i cały smutek i apatia zniknęły, jak pod dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

— Ben! Synu mój — och, synu mój! — zawołała, porywając go w swe objęcia.

W chwilę potem Hettie prowadziła brata przez podwórze, oświetlone srebrnymi promieniami księżyca, na ocienioną ścieżkę, tuż pod bramą ogrodu.

— Zaczekaj tu. Obawiam się, aby cię nie dostrzegł ktoś niepowołany — szepnęła, pociągając go na małą, ukrytą w cieniu, ławeczkę. — Ach, Ben... wysłuchano snadź mej modlitwy. Wiedziałam, że głównym pragnieniem matki jest zobaczenie cię i przekonanie się z własnych twych ust, że to wszystko, co mówią o tobie, jest kłamstwem. Uratowałeś ją; stała się zupełnie inną kobietą. Teraz na pewno wszystko będzie dobrze, bo nawet ojciec nie zdoła zachwiać w niej wiary.

— Ojciec nawet za milion lat mi nie przebaczy — odparł Ben.

— Nie znasz go. Jeżeli zwyciężysz coś, czego on nienawidzi, wówczas uderzy w inną strunę. Uwielbia on przemysł, zysk i pieniądze. Stanowczo za dużo. Póki pamiętam, chciałam ci powiedzieć, że ojciec i mr Setter zamierzają zakupić tereny w dolinie „Opuszczonej Rzeki”. Zwróć na to uwagę, Ben. Wolałabym, aby do ciebie to należało.

— Nevada miał ten sam zamiar — odparł Ben w zamyśleniu. — Obydwaj jesteśmy właścicielami tamtejszych zagród i możemy dokupić jeszcze trochę ziemi. Ileż akrów zamierzają kupić?

— Oczywiście osiemset akrów.

— Ho, ho! Ależ to szmat ziemi. Wobec tego i ja zaryzykuję. Podpiszę umowę zaraz jutro na trzy najbliższe działki. Moore i Sims koniecznie chcą sprzedać swoje zagrody. Odstępują nawet za bezcen, byleby nabyć je

natychmiast. Niestety, mam jeszcze za mało pieniędzy i taka transakcja może mnie łatwo zrujnować.

— Będziesz miał jednak niezwykłą satysfakcję — oznajmiła Hettie w zapale. — Wyobraź sobie, że te wszystkie tereny należą do ciebie, gdy pewnego dnia przyjeżdża ojciec z mr Setterem, aby je nabyć. Dużo bym dała, aby ujrzeć wyraz ich twarzy... Pisałam ci, Ben, że nie lubię mr Settera. Chce on być zbyt... zbyt poufały ze mną.

— Wiele różnych rzeczy ma na sumieniu ten Less Setter — mruknął ponuro Ben.

— Przede wszystkim ośmiesza się tym, co mówi o tobie. Zupełnie nie pojmuję, jaką ma z tego korzyść. Ja osobiście czuję wstręt do tego człowieka, lecz ojciec uważa go za najtęższą głowę w całym Tule Lake i pokłada w nim wszystkie swoje nadzieje.

— Nie zaprzątaj sobie głowy Setterem, lecz trzymaj się od niego z daleka — zauważył Ben. — Mam wrażenie, że nadchodzące lato będzie pewnego rodzaju niespodzianką dla niektórych osób. Po dzisiejszym naszym widzeniu, Hettie, trudno mi będzie rozstać się z tobą znowu na czas dłuższy.

— Zobaczymy się wkrótce — oznajmiła stanowczo Hettie, ujmując go pod ramię. — Jestem przecież główną członkinią spisku, zorganizowanego w celu dopomożenia ci. Przyjedziemy, aby zobaczyć się z tobą i z Nevadą.

— A któż jeszcze do spisku należy?

— Ina Blaine — szepnęła Hettie.

— Mówisz tak, jak... jak... z książki — zauważył Ben nieśmiało. Dziwnego coś zadrgało w rozjaśnionej jego duszy. Wypadki ostatnich dwudziestu czterech godzin poruszyły w sercu jego twardą skorupę goryczy. Coś w nim stopniało. Nie pojmował ani Nevady, ani Hettie, ani Iny Blaine, jako też zorientować się nie mógł w tym wszystkim, co doń mówili.

— Zaczekaj chwilę, a zobaczysz się z Iną — odezwała się Hettie po dłuższym milczeniu.

— Widziałem ją już, Hettie. Spotkałem ją dzisiaj w Hammell; prosiła, abym był o ósmej wieczorem.

— Nie miałam pojęcia. Bardzo jestem zadowolona. Czyż nie jest to dowodem tego, co mówiłam?

— Hettie, jest to po prostu dowodem, że Ina jest tak samo słodka i dobra, jak była zawsze. Słyszała o zmianie mego losu i zaryzykowała dobrą swą opinię, ażeby udowodnić, że wierzy jeszcze w dawnego swego przyjaciela.

— Przyjaciela? — zaperzyła się Hettie. — Przecież kochaliście się z Iną i powiadam ci, że ona dziś jeszcze cię kocha, Ben. Nikt o tym nie wie, oprócz mnie jednej.

— Na miłość Boską, Hettie, nie powtarzaj niedorzeczności! — zawołał Ben namiętnym szeptem. — Przyprawić mnie to może o szaleństwo.

— Więc ty nie kochasz już Iny? — spytała naiwnie.

— Czy kocham ją? Nigdy nie myślałem o tym — odparł Ben z wahaniem. — Nie, prawdopodobnie nie. Jakżebym mógł zresztą?

Zapominasz, Hettie, że jestem tylko mizernym łowcą koni, wyklętym przez rodzinę i wyrzuconym z domu, jak ostatni złoczyńca.

— Cicho. Ina się zbliża — wyszeptała Hettie. — Jest z nią Marvie. On jeden pozostał jej wierny, a ciebie uwielbia, Ben. Z Iną możesz mówić tak, jak z matką.

Podniosła się z ławki i, pozostawiając Bena w cieniu, wybiegła na zalaną promieniami księżyca ścieżkę naprzeciw dwu zbliżającym się sylwetkom. Ben przez ten czas staczał zaciętą wewnętrzną walkę z samym sobą. Matka jego! Hettie! Jakże wierzą one w jego uczciwość. Zadrżał na myśl o zbliżającej się ku niemu Inie.

Hettie powitała Inę i Marviego na drodze i przeprowadziła ich przez bramę ogrodową. Ben mógł obserwować ich doskonale, aczkolwiek sam był zupełnie niewidzialny. Tuż przed nim, o parę kroków, stała z gołą głową Ina, a lekki wiaterek muskał rozwiane jej loki. Jakże piękną miała twarzyczkę! Usłyszał głos Hettie:

— Marvie, proszę cię, pospaceruj ze mną trochę.

Szybkim krokiem zbliżyła się Ina do ławeczki, szeroko rozpostarte jej ręce zdawały się szukać w ciemności kogoś, czy czegoś; wreszcie, kierowana siłą intuicji, usiadła na ławce tuż przy Benie.

— Ben — wyszeptała z zapartym oddechem.

— Ina — tym samym szeptem odparł.

— Lękałam się, że nie zechcesz czekać tu na mnie — rzekła. — Spóźniłam się nieco.

Pochyliła się nad nim ze spojrzeniem utkwionym w jego twarzy, którą z trudnością rozpoznać mogła wśród ciemności. Tylko Ben zupełnie dobrze widział jej oczy, tak dobrze i wyraźnie, że pod wpływem tych oczu począł drżeć na calem ciele. Jakże wymownie błyszczały teraz na tle bladej jej twarzyczki.

— Mówiła mi Hettie, żeś widział już matkę i że czuje się ona teraz o wiele lepiej. Ben, szczęśliwa jestem — obwołałabym to całemu światu... Czyś zaprzeczył wszystkim krążącym o tobie plotkom?

— Tak — wymamrotał Ben.

— Czyś przysiągł, że to wszystko kłamstwo? Czy uwierzyła ci? Byłeś uczciwy i takim zostaniesz. Będziesz pracować, uciułasz sobie sporo pieniędzy i w końcu przekonasz ojca, że powinien być tylko z ciebie dumny. Zobaczysz, że sam cię prosić będzie!

— Tak, Ino, lecz obawiam się, że przywykłem już do tego wszystkiego, o czym wspominałaś — odparł Ben chrapliwym głosem. — Stanowczo to zbyt wiele dla mnie. Ślepa wiara Hettie i miłość matki osłabiły silną moją wolę; lepiej byłoby, abym im nic nie przyrzekał.

— Właśnie, że uczyniłeś cudownie, Ben. Przysięga ta trzymać cię będzie przez cale życie; nawet Hettie i matka twoja nie ufają ci więcej, niż ja ci ufam.

— Ino, nie mów głupstw — wyjąkał Ben. — Cóż wiesz o mnie teraz — po tych wszystkich długich latach włóczęgi.

— Więc serce twoje się zmieniło? — spytała miękko.

— Nie, absolutnie — wymamrotał znowu, opuszczając głowę na piersi.

— Czyś uczynił coś złego od czasu, jak stałeś się łowcą dzikich koni?

— Nie — odparł, — oprócz tego, żem zmartwił matkę moją nieposłuszeństwem w stosunku do ojca, lecz, Ino, nie jestem stworzony do pracy w gospodarstwie, a ojciec kazał mi ciągle kopać ziemię i doić krowy, nie pozwalając mi przebywać w towarzystwie cowboyów. Pragnął zabić we mnie ukochanie przestrzeni i pogorszył jeszcze wszystko.

Po chwili milczenia Ben w krótkich słowach począł opowiadać jej o swobodzie i swoim samotnym życiu nad „Opuszczoną Rzeką", o przyjaciołach swych i wspólnikach, o zastępach dzikich koni, ukazujących się wśród pagórków, o sławie Czerwonego Mustanga, grasującego niby gorący płomień w okolicy, o świcie i zachodzie słońca nad „Jasnym Jeziorem", o dzikich gęsiach, jeleniach i wilkach i o wszystkim tym, co otaczało nowe jego domostwo, wtulone w samo serce szałwiowych rozległych pól i pagórków.

— Gdyby ojciec twój był bardziej wyrozumiały, Ben, zauważyłby również, jakie pokusy czyhają na ciebie w krainie, w której żyjesz — szepnęła Ina. — Z pewnością pomógłby ci. Lecz człowiek ten serce ma twarde, jak głaz; sam sobie radzić musisz Ben... I memu ojcu przewróciło się w głowie. Wszystkie jego myśli zaprząta teraz majątek i zazdrość, że inni są od niego bogatsi. Wzruszona byłam, gdy wracałam do domu, lecz okazał się on zupełnie niepodobny do tego, jaki zostawiłam przed laty. Nie jest on już więcej moim domem. Snuje się po mieszkaniu matka, która nic nie rozumie i nad niczym się nie zastanawia; przytłoczyły ją do ziemi rozmaite okoliczności, które zrodziły w niej ukochanie patosu. Kate również uległa wpływowi, stała się samolubna i zaręczyła się z mieszczuchem, który według mnie specjalnie interesuje się jej pieniędzmi. Starsi moi bracia nie są już cowboyami; wzrok ich zwrócony jest ku miastu, a farmę w Tule Lake rychło prawdopodobnie porzucą. Marvie i Dall są jeszcze dziećmi i oni jedyni posiadają moje zasady; będę stać przy nich i walczyć w ich obronie. Ustawicznie kłócę się z ojcem. Pierwszy nasz spór spowodowany był przez niejakiego Lessa Settera, jednego ze wspólników ojca. Ów Setter upiera się, że ty jesteś koniokradem; oczywiście, nie omieszkałam mu powiedzieć, że kłamie, zaznaczyłam przy tym, że, o ile pamiętam dawnego Bena Ide'a, z pewnością zechce on wyciągnąć z plotek tych pewne konsekwencje.

— Więc występujesz tak odważnie w mojej obronie, Ino? — szepnął wzruszony Ben.

— Oczywiście. Było to powodem pierwszej naszej kłótni; od tego czasu miałam z ojcem cały szereg sprzeczek, choć przedtem byłam najukochańszym jego dzieckiem, kochał mnie bardziej nawet, niż Kate. Starsza moja siostra nienawidzi mego wzroku, mych poglądów, a nawet moich strojów. Nigdy nie dojdziemy do porozumienia. Stosunkowo najlepiej czuję się z matką wówczas, gdy jesteśmy same. Postanowiłam pomóc matce, Ben, i walczyć będę w obronie jej i młodszego rodzeństwa.

— Nigdy nie przypuszczałem, że będziesz mieć przykrości w domu. Boże, jakiż to wstyd! Starzy farmerzy wzbogacili się tak nagle!... Przypuszczam, że Hart Blaine zechce cię wydać za któregoś ze swych wspólników, chociażby za Settera, albo też za tego idiotę McAdama, o którym tak wiele już słyszałem.

Uczucia Bena odezwały się na nowo, lecz zmilkły wraz z ostatnimi jego słowami, przyszło mu bowiem na myśl w tej chwili, że nie miał prawa wyjawiać tego, co czuł w głębi duszy.

— Pochlebiasz mi, Ben — odparła Ina, tonem niezwykle serdecznym. — Zapomniałeś już o mnie i o wielu rzeczach.

— Nie — nie... wybacz mi, Ino. To ty zapomniałaś. Żyłem samotnie od czasu, gdyś odeszła ode mnie. Przysięgam na Boga, że przez cały czas szedłem prawą drogą, lecz żaden głos nie przywołał mnie w tę stronę, gdzieś ty była... Nie wolno ci mówić, że o tobie zapomniałem.

— Rozumiem cię, Ben — rzekła ze słodką powagą. — Cierpiałeś. Sądziłeś, że pozostała ci tylko gorycz i zupełna beznadziejność. Och, Ben, jakiż ty byłeś ślepy! Dotknięty się czułeś niesprawiedliwym postępowaniem twej rodziny; byłeś wygnańcem z domu własnego ojca. Opatrzność chciała, abyś spotkał mnie, dawną towarzyszkę dziecięcych zabaw. Ambitny jesteś, lecz ja postanowiłam wyjaśnić nader zawiłą sytuację.

— Nie rozumiem cię. Nie mogę pojąć wszystkiego, co mówisz, Ino; coś dziwnego zaćmiło mi umysł. Nawet dobroć twa mnie zadziwia. Byliśmy szkolnymi kolegami — towarzyszami zabaw dziecięcych, a potem — po dziecięcemu kochaliśmy się; wszystko to minęło. Wszystko przeszło, zapaliło się i zgasło. Jestem teraz tylko biednym łowcą dzikich koni... A ty wróciłaś do domu jako piękna, wykształcona dziewczyna. Jesteś dumą bogatego ojca, który pragnąłby cię wydać za mieszczucha... W ten sposób widzę to wszystko i wolałbym raczej...

Powstała nagle z ławki i pochyliła się nad nim z twarzyczką, osrebrzoną promieniami księżyca; obydwie swe dłonie złożyła mu na ramionach. Ben, wiedziony instynktem, pragnął teraz porwać ją w swe objęcia i całować do utraty przytomności. Nim jednak zdążył uczynić cośkolwiek, podbiegła do nich Hettie, dysząc ze zmęczenia.

— Ben — ojciec wraca, jest już na ścieżce pod ogrodem — szeptała. — Muszę być przy matce, gdy wejdzie do mieszkania. Do zobaczenia. Przyślij Nevadę po listy. Dobranoc, Ino. Najlepiej byłoby, gdybyś wymknęła się z Marviem przez pola.

Po oddaleniu się Hettie Ben dostrzegł stojącego opodal wysokiego chłopca.

— Hallo, Marvie! Musisz uważać, aby ojciec mój nie dostrzegł tutaj Iny — szepnął Ben, ujmując chłopca za ramię. — Przyjedź kiedyś do „Opuszczonej Rzeki” na wspólny połów ryb.

— Przyjadę na pewno — odparł Marvie.

Wraz z tętentem kopyt końskich Ben dosłyszał dźwięk głosu ojca; zmroziło go to nagle. Ina stała spokojnie w poświacie księżyca, jak gdyby wszyscy okrutni ojcowie na świecie nie mieli z nią nic wspólnego. Gdy Ben pochylił się nad nią, dostrzegł łzy w ciemnych, błyszczących jej oczach.

— Nigdy nie będziesz miała przykrości z mego powodu — szepnął. — Będę się starał żyć uczciwie, będę się starał... Do widzenia, Ino.

— Do widzenia, Ben — odparła dziewczyna.

Dotknął drżącej jej dłoni, po czym zaczął oddalać się szybkim krokiem, aż zniknął na zakręcie polnej miedzy. Gdy zatrzymał się na chwilę wśród zbóż, dosłyszał tętent kopyt końskich tuż za bramą ojcowskiego ogrodu.

Niby złoczyńca przekradał się Ben Ide do miejsca, gdzie pozostawił swego wierzchowca i odjeżdżał z rodzinnego swego domu, jak gdyby uchodząc przed pościgiem.

Jasną tarczę księżyca zasnuły drobne obłoki, gdy Ben wspinać się począł na szczyt pierwszego pagórka; obejrzawszy się poza siebie ujrzał w dali oświetlone okna w okolicznych, niedalekich farmach i dosłyszał głośne szczekanie psów. Czuł się w tej chwili szczęśliwy, oddychał bowiem swobodnie i mógł spokojnie myśleć. Mknął poprzez ciemną, wilgotną noc wiosenną, zadowolony ze swej samotności i melancholijnej ciszy wokoło, w dychając z rozkoszą upojną woń szałwii i wspominając z tkliwością szarą swą chatkę, przytuloną do podnóża gór. Czyż tylko tyle potrzeba mu było do szczęścia? Wszakże szczęście nie jest niczym realnym, a marzeniem po prostu. Nie pragnął niczego więcej, poza swymi dzikimi końmi, maleńką, ponurą chatką i szemrzącym towarzystw em „Opuszczonej Rzeki", która wprowadzała w samotne jego życie zew dalekiego świata.

Z odległych wzgórz dochodziły zawodzące wycia szakali, dzikie gęsi trzepotały mu nad głową i rozdzierały nocną ciszę swym przeraźliwym krzykiem. Rytmiczny kłus wierzchowca zdawał się usypiać zmęczoną wyobraźnię. Ben jechał wzdłuż zachodniego wąwozu i poczuł wkrótce powiew lekkiego wiatru, który przyniósł mu wraz z sobą zapach z brzegów „Jasnego Jeziora".

Wkrótce po północy dotarł do swej zagrody i odstawiwszy konia do szopy, zmęczonym krokiem wszedł do chaty. Nevada i Modoc nie wrócili jeszcze ze swej wycieczki do Srebrnej Łąki. Ben usiadł na ganku. Sen zdawał mu się teraz czymś zupełnie niemożliwym.

Długie godziny natężonych myśli wywołały dziwną jakąś reakcję. Nie czuł już nienawiści do swego ojca i sam właściwie nie wiedział dlaczego. Gdy spojrzał po chwili ku czerniejącym w oddali pagórkom, doszedł do wniosku, że główną rolę w teraźniejszym jego życiu odgrywała obecnie Ina Blaine.

Uwielbiał ją. Nigdy by nie uciekł z domu, gdyby Ina nie wyjechała była do szkoły.

— Co miała na myśli? Co pragnęła mi jeszcze powiedzieć, gdy położyła dłonie na mych ramionach? — szeptał do siebie po raz już tysiączny dzisiejszej nocy. — Od dawna wiedziałem, że Ina ma dobre serce, nie zapomniała więc o dawnym swoim szkolnym koledze. Nigdy nie uwierzy w krążące po okolicy plotki... Ale to jej spojrzenie — te kochane jej oczy — drżenie głosu i — słowa! Czyżby to miała być tylko przyjaźń? Głupcem byłbym, gdybym tak sądził. Sama nie zdaje sobie jeszcze sprawy, że dawne uczucie wróciło i stało się uczuciem kobiety dojrzałej... Nie zdaje sobie sprawy, że mimo woli czekała, abym ją porwał w ramiona. Mój Boże! Gdybym to mógł wyczuć w owej chwili... lecz sam nie wiedziałem, co się ze mną działo... Ach, ta jej słodycz! Ina, maleńka moja dziewczynka stała się piękną kobietą o silnej woli... Ale nie powinienem poddawać się temu uczuciu, mogę bowiem zaszkodzić dobrej jej opinii. Serce jej zasmucę...

Nie, nie wolno mi. Ina Blaine jest nie dla mnie. Postaram się nie zobaczyć jej więcej. Lepiej, gdy zabiję w niej tę wiarę we mnie...



Rozdział V

Hałaśliwe kroki w przedsionku przerwały krótką drzemkę Bena. Nevada i Modoc wrócili.

— Na miłość Boską! — zawołał Nevada. — Nie położyłeś się nawet do łóżka!

Wsparty o balustradę ganeczka, Ben spoglądał na cowboya z niezadowoleniem.

— Mógłbyś zachowywać się nieco ciszej — zawołał.

— Cóż takiego uczyniłem, pard? — zapytał Nevada zdziwiony.

— Obudziłeś mnie — skrzywił się Ben.

— Oczywiście, ale czas już najwyższy. Czyś miał jakieś przyjemne sny? — uśmiechnął się cowboy.

— Sny? Nie! Lecz zapomniałem o całym świecie. Tymczasem tyś wszedł, obudziłeś mnie i przywróciłeś na pamięć całą rzeczywistość.

— Głupstwo, nie mów o tym — uspokajał Nevada.

— Zimną, twardą rzeczywistość — powtórzył Ben. — Jestem najnieszczęśliwszym, nędznym żebrakiem. Upiłbym się teraz chętnie, ale nie mogę.

Dobroduszna twarz Nevady pobladła nieco, po czym z jego piersi dobyło się westchnienie ulgi. Przez dłuższą chwilę przyglądał się Benowi z uwagą.

— Stanowczo nie powinieneś pić, głuptasie — oznajmił krótko. — I ty, i ja powinniśmy raz z tym skończyć. Coś robił w mieście?

— Och, żałuję, że się tam wybrałem, wróciłem z piekłem w duszy — wymamrotał Ben.

— Jakeś zastał swą matkę? — zapytał Nevada,

— Zupełnie nieźle. Lepiej, niż przypuszczałem. Ucieszyła się niezmiernie i musiałem jej złożyć przysięgę. Och, Nevada, żałuję, żem to uczynił, lecz teraz muszę przysięgi dotrzymać!

— Na pewno. A co z Hettie? — wtrącił nieśmiało cowboy.

— Szalenie wyrosła i wyładniała — odparł Ben. — Lecz najbardziej mnie zadziwiła radość jej i wiara we mnie. Była szczęśliwa, że mnie widzi.

— Zupełnie zrozumiałe — przyznał spokojnie Nevada. — A czyś nie wpadł przypadkiem na starego?

— Dzięki Bogu, nie.

— Lub też na kogokolwiek, kto uważa cię za koniokrada?

— Nie, poszczęściło mi się wyjątkowo, nawet w Hammell wszystko dobrze poszło. Spotkałem Strobela i musiałem mu przysiąc, że wierzę w to, iż jest on moim przyjacielem.

— Doskonale! I cóż mówią tam o nas? Nie powtarzasz mi jakoś krążących o sobie plotek.

Ben opuścił głowę na piersi. Niemiłe wspomnienie omotało go i przyćmiło blask nadziei w jego oczach. Nagłe przebudzenie powołało go znowu do rzeczywistości, do codziennych trosk i kłopotów; doszedł do wniosku, że poprzednia noc była dla niego tylko mirażem.

— Przypuszczam, żeś widział swoją ukochaną, Ben — szepnął Nevada, jak gdyby chcąc odegnać cień troski z czoła swego przyjaciela.

— Kogo? Kogo takiego? — wyjąkał Ben.

— Małą twoją przyjaciółkę, jak ją nazywa Hettie — ciągnął dalej Nevada. — Szkolną koleżankę, którą oceniają ogólnie na milion dolarów. Cowboye nazywają ją „brzoskwinią z farmy Tule Lake".

— Przestań, bo gotów byłbym rozbić ci głowę pierwszym napotkanym polanem — syknął Ben niecierpliwie.

— Boże, cóż ci się stało, chłopcze? — zawołał Nevada zdziwiony.— Powinieneś być szczęśliwy i wdzięczny mi, bowiem to ja przygotowałem ci w mieście odpowiedni grunt.

— Nevada, nienawidzę, gdy mówisz o takich rzeczach z zupełnie zimną krwią, jak gdybyś...

— Ależ, pard, niesprawiedliwie mnie sądzisz — oznajmił cowboy, wpatrzony przyjaźnie w twarz Bena. — Czyś widział Inę Blaine?

— Tak, i to mnie właśnie najbardziej boli — rezonował Ben w zamyśleniu.

— Ach, więc tak się zmieniła, więc poszła za przykładem całej rodziny Blaine'ów. Nie sądzę, aby Hettie miała się mylić — wyszeptał Nevada.

Ben podniósł się nagle z miejsca i zatrzepotał rękami, jak gdyby chcąc wytłumaczyć przyjacielowi coś, co trudne było do wytłumaczenia słowami.

— Dwa razy spotkałem Inę Blaine, Nevada. Raz w Hammell i raz przy domu, ostatniej nocy. Na ulicy w Hammell powitała mnie przyjaznym skinieniem głowy, nie bacząc na obecność obcych ludzi, przed którymi mogłaby się skompromitować; mówiła ze mną tak, jakby nigdy nic nie zaszło... A potem, ostatniej nocy, przyszła, gdy siedziałem sam na sam z Hettie w ogrodzie. Nie wiem, jak długo trwała ta rozmowa, wydała mi się bowiem snem. Nie jestem jednak aż tak szalony, aby nie przypominać sobie oddzielnych faktów... ach, jakaż ona była słodka i jaka niezwykła! Utwierdziła mnie w przekonaniu, że ufa mi bezgranicznie. Nie wiem, jak mam sobie tłumaczyć to dziwne jej uczucie, lecz pewien jestem, że Ina zawsze bronić mnie będzie, tak samo zresztą twierdzi Hettie. Kłóciła się już o mnie z ojcem swoim w obecności Lessa Settera, który utrzymuje, że jestem koniokradem... Tyle miłych rzeczy mi powiedziała. Przerwano nam, niestety, właśnie w chwili, gdy dowiedziałbym się od niej czegoś konkretnego. Ojciec mój powracał, więc musiałem uciekać... Czułem jednak dłonie jej na mych ramionach i widziałem blask jej oczu w srebrnej poświacie księżyca... Nevada, może jestem szalony, że wierzę dzisiaj jeszcze w miłość Iny do mnie.

— A ty, oczywiście, zakochałeś się w niej na nowo i to bardziej jeszcze, niż przedtem?

— Widocznie tak być musi — wyszeptał Ben z głębokim westchnieniem.

— Do góry głowa, chłopcze — zawołał Nevada, z wymownym spojrzeniem. — Jestem pewien twojej wygranej. Porzuć te ciągłe płacze i narzekania! Będziesz mógł kochać swą dziewczynę, a ona odwzajemni ci się równie gorącym uczuciem. Od kilku dni ponosi mnie energia i rad bym doczekać tej wielkiej chwili czynu. Należy ryzykować, Benie Ide, ryzykować wszystko, co posiadamy — nawet miłość i własne życie. Settera znam doskonale; plany jego nie są zbyt czyste, a między innymi postanowił oczernić i twoje imię. Setter nie daruje nikomu, kto jest mu przeszkodą na drodze do jego brudnych przedsięwzięć.

— Pamiętaj, Nevada, — zauważył Ben ponuro — że posiadam inne jeszcze powody, aby się zemścić na tym człowieku.

Ze spojrzeniem pełnym ciekawości pochylił się Nevada nad przyjacielem.

— A! Cóż to takiego?

— Lękam się powiedzieć ci o tym.

— Mów dalej, skoroś już zaczął.

— Widzisz, Nevada, siostra moja Hettie twierdzi, że Setter próbował być z nią zbyt intymny — odparł Ben.

Nagle młodzieniec poczuł objęcie żelaznych ramion i coś dziwnie ciężkiego rzuciło go z powrotem na łóżko. Nevada spoglądał nań szeroko rozwartymi oczami, w których majaczył ciemny płomień grozy.

— Powiedz, czy wiesz o tym na pewno? — wyszeptał chrapliwym głosem.

— Oczywiście. Hettie nie kłamałaby przecież, Nevada. Nie jest ona również zdolna do fantazji; nie pytałem o szczegóły, powiedziała mi tylko, że ten łotr próbował się do niej zbliżyć.

— Zabiję go! — porwał się Nevada na równe nogi.

— Nie jest to jeszcze powodem zabójstwa. Ochłoniesz za chwilę. Nie chciałbym, abyś został mordercą nawet w obronie mojej siostry.

— Zmieniłbyś na pewno zdanie, gdybyś tak dobrze znał Lessa Settera, jak ja go znam — odparł Nevada posępnie. — Należałoby jednak zjeść teraz coś niecoś, mamy bowiem dużo spraw do obgadania, pard.

Ujście niezwykłej swej emocji znalazł Ben w przypływie energii Nevady. Nigdy dotychczas nie był on stroną bierną, po większej bowiem części Nevada wykonywał tylko jego polecenia.

— Mówisz ciągle o zakupieniu zagrody Simsa i jego sąsiadów, wspominasz również o sprzedaży dzikich koni, a czemu nie poinformujesz mnie ani słowem o obserwacjach, jakie poczyniliście do spółki z Modocem? — odezwał się Ben po dłuższej chwili milczenia.

— Nie chciałbym, pard, pozbawiać cię najulubieńszego twego konia, jak również wolę nie absorbować myśli twych naszą dotychczasową robotą — odparł Nevada.

— Więc nie ufasz mi?

— Człowiek zakochany nie jest zdolny do realnego myślenia.

— Zdaje mi się, że i ty jesteś zakochany, Nevada, i to w mojej siostrze! Miłość ta uczyniła cię dzikim cowboyem i przywróciła ci dawną, nieznaną mi dotąd energię.

Twarz Nevady oblała się purpurowym rumieńcem, nieśmiałe spojrzenie skierował w stronę Bena. Ręka jego zatrzymała się nagle w powietrzu, w niezdecydowanym ruchu zaprzeczenia.

— Czy naprawdę sądzisz, że kocham się w Hettie? — zapytał półgłosem.

— Mam wrażenie, że tak! Proste to tak, jak twój nos, który jest za długi nieco. Cóż myślisz o tym?

— Pard, niegodny jestem otrzepać pyłu z maleńkich bucików Hettie. Pierwsze spotkanie z nią spowodowało we mnie ogromną zmianę.

— Nigdy nie wierzyłem w to, że jesteś zły, Nevada — zauważył Ben szczerze. — Chętnie bym ci oddał Hettie. I jej to już powiedziałem.

— Naprawdę? Mój Boże! — zawołał Nevada uszczęśliwiony. — I cóż ona na to?

— Hettie zapłoniła się, jak róża — zaśmiał się Ben. — Po czym odparła: „Ależ Ben, przecież mam dopiero szesnaście lat!...” Z mojej strony nie będziecie mieć żadnych przeszkód. Przypadłeś mej siostrze do gustu, jestem tego pewien. Na ogół Ide’owie są dziwakami, lecz jeżeli kocha któryś, to już na zawsze. Oczywiście, mój ojciec wygnałby cię z farmy, gdyby się o tym dowiedział.

— I ja tak sądzę. Wiesz, Ben, jesteś mi najdroższym człowiekiem na świecie, zawdzięczam ci wszystko.

— Nie ma o czym mówić, Nevada.

— Nigdy się na to nie zgodzę. Patrząc na wszystko obiektywnie, obydwaj jesteśmy wyklęci i wygnani, i obydwaj zapłonęliśmy szaleńczą miłością do córek najbogatszych rancherów w północnej Kalifornii. Czyż nie jest to niezwykle komiczne?

— Wydałoby się to komiczne innym ludziom, takim na przykład, jak mr Sewell McAdam, lecz dla nas jest to rzecz zupełnie poważna i straszna. Możliwe, że uczucie to uczyni z nas przyzwoitych ludzi.

— Przepojony jesteś sentymentami, Ben... ale teraz dosyć już o tym; podajmy sobie dłonie. Zwycięstwo, albo śmierć!

Twardy głos Nevady, blada jego twarz i błyszczące namiętnością oczy podziałały niezwykle na dotychczasową apatię Bena. Dłonie ich spotkały się w żelaznym uścisku.

— A teraz, Ben, rozpoczynajmy naszą grę — rzekł Nevada tonem ponurej stanowczości.

— Istotnie? — zapytał Ben z odcieniem ironii, która jednak szybko zniknęła.

— Ile masz koni na nadbrzeżnym pastwisku?

— Czterdzieści. Cóż z tego?

— Jaką przedstawiają one wartość?

— Nie sprzedałbym ich.

— Będziesz musiał i powinieneś. Ile dano by za nie w Klamath?

— Sto dolarów za sztukę, a może i więcej. Każdy handlarz końmi przekona się, że warte są po dwieście dolarów.

— Doskonale! I ja tak sądziłem, lecz nie byłem pewien. A teraz, Ben, ile sztuk mógłbyś sprzedać?

— Ani jednej! — mruknął Ben.

— Uspokój się, chłopcze. Posłuchaj. Pierwsza to będzie ofiara w grze twojej o zdobycie Iny Blaine.

Coś, niby raptowny strzał przemknęło przez głowę Bena, sprawiło mu to radość i przykrość zarazem. Nevada był zimny i nieugięty; był on przywódcą śmiałego przedsięwzięcia i prawdopodobnie wiedział czego żąda od przyjaciela.

— All right, Nevada. Ile potrzeba ci koni? — szepnął Ben, jak gdyby słowa te sprawiały m u dotkliwy ból.

— Trzydzieści sztuk. Będzie to trzy tysiące dolarów; wystarczająca suma, aby zakupić owe trzy zagrody. Widziałem wczoraj Simsa i pytałem go, czy chce sprzedać. Był pewien, że kpię sobie z niego. Odda chętnie sto sześćdziesiąt akrów, byleby pozbyć się tego jak najprędzej. Siedzi tu już od trzech lat, a od sześciu panuje taka susza. Zupełnie jest zrujnowany, jak również i jego sąsiedzi. Nie mogą związać końca z końcem, a my, mam nadzieję, damy sobie radę, Ben. W tym sęk, że Less Setter ma już oko na ich zagrody i zamierza kupić je do spółki z Hartem Blainem; oczywiście, chcą wyzyskać biedaków i zapłacić im zaledwie kilka setek. Słyszałem w Hammell, że Blaine nabył już z tuzin takich maleńkich zagród, które nie dają mu żadnego dochodu.

— Nie sądziłem, że Hart Blaine jest aż tak naiwny.

— Stracił zupełnie głowę, zawsze był bowiem ogromnie biedny i zbyt szybko stał się milionerem. Przypomina mi on pijanego cowboya z pieniędzmi w kieszeni. Nie przypuszczam, aby aż do tego stopnia był pod wpływem Lessa Settera.

— Różne dzieją się rzeczy — westchnął Ben. — Tę sprawę z końmi załatw jak najszybciej, nim jeszcze umrę ze zmartwienia. Trzydzieści ostatnich, najlepszych koni. Pozostaje mi tylko dziesięć. Dziesięć. Sam nie wiem, które mam zostawić.

— Pozwól mi wybrać — zaproponował z uśmiechem Nevada.

— Trudno mi przystać. Powiedz sam: Gray i Knockeye oczywiście, Jumper, Brushy, Modoc Black i Gander, są to moi faworyci. Umrę raczej, niż się z nimi rozstanę. A teraz wybieraj między Sandy i Bess, Simple Simon i Blue Boyem...

— Sądzę, Ben, że co do Sandy nie powinieneś się wahać ani przez chwilę. I ja ogromnie kocham tego konia. Pewien jestem, że nie podarowałbyś mi go nigdy.

— Na miłość Boską! Więc tak ci się Sandy podoba? Daruję ci ją chętnie — Ben biegał nerwowym krokiem po małej, ponurej izbie. — Widzisz sam, jak trudno się z nimi rozstać.

— Oczywiście, że trudno, lecz nie trzeba być zbyt przeczulonym. Zatrzymaj sobie konie, które najbardziej lubisz; ja to również uczynię. Ogółem będzie ze dwanaście sztuk, a to zupełnie wystarczy. Złowimy znowu potężne jakieś stado, a jeżeli uda nam się schwytać Czerwonego Mustanga, czy również zamierzasz go zachować dla siebie?

— Nie zatrzymam go nigdy. W tajemnicy oddam go Inie, a potem sprzedam go jej ojcu. Uraduje ją to niezwykle. Ogromnie rozsądna z niej dziewczyna.

— Lękałbym się spojrzeć na nią... Porzućmy teraz czcze rozmowy i pójdźmy na pastwisko, aby załatwić nareszcie sprawę z końmi.

Indianin Modoc oczekiwał przed chatką, trzymając za uzdy dwa robocze konie. Po chwili Ben i Nevada wskoczyli na siodła i pomknęli wzdłuż koryta rzeki, w kierunku odległego pastwiska. Była to obszerna równina, porosła szałwią i trawą, leżąca tuż nad brzegiem rzeki, która dostarczała koniom niezbędnego napoju.

Nigdy jeszcze nazwa „Opuszczonej Rzeki" nie zgadzała się tak z obecnym zewnętrznym jej wyglądem. Leniwe fale były teraz bledsze, pozbawione barwy i wszelakiej życiowej energii; pokrywał je zielony całun z opadłych liści, które chroniły je nieco od zupełnego wysuszenia przez palące promienie słoneczne. Poziom wody codziennie obniżał się o jeden lub dwa cale.

— Wysycha coraz bardziej — zauważył Nevada. — Jeszcze miesiąc takiej suszy, a rzeka stanie się błotnistą kałużą. Jakie to szczęście, Ben, żeś odkrył to źródełko.

Nevada w skazał przeciwległy brzeg i maleńkie wniesienie pokryte świeżą, zieloną trawą. Tu właśnie, w najbardziej nizinnym miejscu, po sześciu latach zabójczej suszy odkrył Ben maleńkie źródełko, tryskające bezustannie strumieniami zimnej wody. Nawet Indianie nie mieli pojęcia o istnieniu źródła, w latach bowiem, gdy „Opuszczona Rzeka" płynęła swym zwykłym szerokim korytem, źródełko znajdowało się pod wodą. Obecnie należało ono do Bena i przedstawiało niezwykle wysoką wartość, gdyż nawet w wypadku, gdyby rzeka i jezioro wyschły zupełnie, źródełko to mogło dostarczyć napoju ludziom i koniom.

— Dlatego widzisz, możemy rozpocząć grę, pard — odezwał się znowu Nevada. — Źródło nasze jest dla nas kopalnią złota.

— Szczęście zaczyna nam sprzyjać, Nevada — odparł Ben. — Przysięgam, że zapomniałem zupełnie o istnieniu źródełka.

— A teraz, Ben, musimy skończyć z końmi. Jedź naprzód i otwórz bramę pastwiska. Pozostawię ci twoich faworytów i parę najładniejszych koni dla siebie.

Strzemię przy strzemieniu pomknęli poprzez szałwiowe pola do doliny, zwanej Mule Deer Flat, która w okresie wiosny była najpiękniejszym miejscem w okolicy. Kilka stad pasło się tu i ówdzie. Zabrawszy wszystkie swoje konie, Ben i Nevada skierowali się w stronę pobliskich zagród i po kwadransie stanęli przed małą, drewnianą chatą, gdzie mieszkał Sims. Był on oryginalnym typem cowboya, który ostatnio przeobraził się w ranchera; wysoki, szczupły o jasnych, szczerych oczach i oliwkowej twarzy, sprawiał wrażanie człowieka zmęczonego, a otoczenie jego świadczyło, że przeżywał nader ciężkie czasy.

— Zsiądźcie z koni i wejdźcie — powitał gości szczerym zaproszeniem. — Dokąd wybieracie się z tym pięknem stadem? Jakim sposobem utrzymujecie tyle koni przy życiu?

— Pozwól mi mówić, Nevada — szepnął Ben, widząc, że przyjaciel jego zbiera się na odpowiedź pełną patosu. — Przybyliśmy tu, Sims, aby kupić od was ziemię. Gzy wy i wasi wspólnicy chcecie ją sprzedać?

— Człowieku! Czy chcemy? — wykrzyknął rancher. — Musimy, niestety, Ide, po kilku dniach deszczu zrobilibyśmy na tym majątek, lecz ta przeklęta susza zrujnowała nas doszczętnie. Powiadam wam, że te trzy zagrody najbiedniejsze są w całej północnej Kalifornii. Zagroda Moore'a jest nie lepsza od mojej, a pole Nagle'a spaliło się już na węgiel.

— Czy zechcą oni sprzedać?

— Chętnie by stracili nawet na tym — odparł Sims z prostotą.

— All right. Ileż żądacie za to?

— Ide, czy mówicie na serio?

— Tak, obydwaj z Nevadą postanowiliśmy rozpocząć grę — odparł Ben szczerze.

— I ja chciałem ryzykować nadal, lecz, niestety, nie mam już kredytu. Główną omyłką naszą było to, że nie przewidzieliśmy tak długo trwającej suszy. Byliśmy pewni, że Mule Lake jest niewyczerpanym źródłem wody. Jeden wielki rezerwuar uratowałby nas z pewnością. Na terenach Moore'a można by przeprowadzić kanały, ale potrzeba na to pieniędzy.

— Przeprowadzimy je wkrótce — wtrącił Nevada.

— Jaka będzie najniższa cena — nalegał Ben.

— Powiedziałbym osiemset dolarów, czy nie za dużo? — wahająco szepnął Sims.

— Za mało odparł Ben. — Liczyłem na tysiąc. Zawiadomcie Moore'a i Nagle'a. Mamy tutaj trzydzieści sztuk prześlicznych wierzchowców, możecie je sprzedać jutro w Klamath po sto dolarów za sztukę. Jeżeli nawet się uprzecie, dostaniecie może i więcej. I cóż wy na to?

— Zgadzam się najchętniej — zawołał Sims — i muszę ci powiedzieć, że jesteś porządnym człowiekiem, Benie Ide.

Transakcja została załatwiona przy współudziale wspólników Simsa i około południa byli już oni gotowi do wyruszenia do Klamath Falls. Po pewnym czasie przybył Moore z całą swoją rodziną.

— Spójrz na ten mały ludek — zawołał Nevada radośnie. — Żona Moore'a płacze ze szczęścia. Jesteś ich dobroczyńcą, Ben.

Gdy w kwadrans potem wyprowadzono konie z szopy, Sims przywołał do siebie Bena i pochylając się ku niemu z wysokiego siodła, rzekł przyciszonym głosem:

— Ide, jak tylko sprzedam wam moją część i załatwię wszystkie formalności, wyruszę do Waszyngtonu. Nie mówcie tylko o tym nikomu.

— Zupełnie zrozumiałe — odparł Ben; wprawiło go w podziw niezwykłe zaufanie ranchera. — Czy będziecie się zajmowali nadal łowieniem stad? — zapytał.

— Prawdopodobnie. Będę z wami szczery. Muszę pomagać żonie Moore'a, która jest moją siostrą. Powiem wam coś jeszcze, jeżeli przyrzekniecie, że zachowacie to dla siebie.

Na znak przyrzeczenia Ben wyciągnął do ranchera dłoń. Sims był w tej chwili blady, a oczy jego błyszczały niesamowicie.

— Zetknąłem się z koniokradami, którzy ukrywają się w górach w pobliżu Srebrnej Łąki; inaczej byłbym już dawno umarł z głodu. Na czele tej bandy stoi ogrom nie bogaty kupiec. Teraz bardzo tego żałuję i ostrzegam was, abyście trzymali się od nich z daleka.

Przy tych słowach Sims zaciął konia i pognał w dół piaszczystego traktu, pozostawiając zadziwionego Bena. W tej samej chwili przybliżył się doń Nevada.

— O czym to opowiadał ci Sims? — zapytał na pozór obojętnie, obrzucając Bena dobrotliwym swym spojrzeniem.

— Nie mam prawa powtarzać tego, Nevada, lecz zaskoczyło mnie to tak nagle — odparł Ben, oddychając głęboko. — Zaraza objęła już wszystkich.

— Na pewno, ale nie należy się tym przejmować. Jesteśmy obecnie właścicielami czterechset osiemdziesięciu akrów najlepszej ziemi. Za rok będziemy bogaci.

— Szczęśliwe masz usposobienie — odparł Ben, spoglądając z przywiązaniem w twarz przyjaciela.

— Sądzę, że masz jeszcze trochę wiary we mnie — szepnął Nevada.

— Możesz być tego pewien — odparł Ben, po czym dodał pośpiesznie: — Jesteś najprzyzwoitszym człowiekiem jakiego znam.

— Należałoby teraz zająć się nieco końmi. Jutro musimy pojechać w kierunku lodowych pieczar, Modoc bowiem widział tam wielkie stado dzikich koni.

— Do pioruna! — zaklął Ben w podnieceniu. — Dlaczego nie pomyśleliśmy o tym przez całe trzy lata?

— Dotychczas mieliśmy wodę wszędzie, obecnie zaś i dzikie konie uczuwają brak napoju, a „Opuszczona Rzeka” stała się zwykłą, błotnistą kałużą. W pobliżu lodowych pieczar jest jeszcze podobno czysta, zimna woda i Modoc twierdzi, że polowanie uda się tam nadzwyczajnie.

— Nie mogę sobie darować, że sprzedałem całe swoje stado.

— Nie szkodzi. Pragnąłem przekonać się, jakie posiadasz zdolności do polowania.

— Czy Modoc widział Czerwonego Mustanga? — zapytał Ben.

— Nie, lecz ja go widziałem — odparł Nevada na pozór obojętnie. — Ujechałem z sześć do ośmiu mil i natknąłem się na niego. Umknął na północ, gdy mnie zobaczył. I jestem pewien, że ukrył się w pobliżu lodowych pieczar.

Zajęci rozmową dotarli do zagrody Moore’a, aby się przekonać, czy teren odpowiedni będzie do przeprowadzenia kanałów. Po dłuższej obserwacji doszli do wniosku, że kanał, przeprowadzony przez środek terenu, mógł dostarczyć wody na kilka lat nawet. Wówczas okoliczne poła byłyby niezwykle urodzajne. Obydwaj z dziecięcą beztroską układali plany na przyszłość, a Ben wyobrażał już sobie, co powie jego ojciec, gdy zobaczy podobną gospodarkę. Co pomyśli Ina Blaine, ujrzawszy pewnego dnia szałwiowe pola, zieleniejące zbożem? Serce Bena zabiło rytmiczniej. Sprzyjać mu poczęło szczęście. Był już na drodze do majątku, przewyższającego nawet bogactwo rancherów z Tule Lake. Mimo wszystko postanowił jednak nie zapominać o swej skromnej zagrodzie, nad brzegiem „Opuszczonej Rzeki”.

Następnego dnia o zachodzie słońca Ben i Nevada w towarzystwie Modoca wyruszyli w kierunku dzikich stepów, zwanych „Łożem Lawy". Przed mmi ciągnęła się rozległa przestrzeń porośnięta szałwią, dotykająca

w odległości kilkunastu mil do zwartej ściany sosnowego lasu. W miejscach bardziej nizinnych sosny były wątlejsze i korony ich zżółkły pod wpływem słonecznych promieni, im dalej jednak, były one bardziej świeże i zielone.

Na skraju lasu Ben zatrzymał małą swą karawanę na krótkie obozowanie. Drzewa zdawały się tu umierać, zatrute palącą od sześciu lat suszą. Las przeniknięty był specyficzną wonią spalonych, sosnowych igieł.

Po nocnym wypoczynku na obszernej polanie karawana wyruszyła wolnym krokiem w kierunku zachodnim. W blaskach wschodzącego stolica wszystko dokoła wydało się Benowi martwe, pozbawione najrzadszej nawet roślinności. Ani śladu żyjącej istoty. Tylko gdzieniegdzie piaszczystą ziemię porastała rzadka, wyschła trawa. Posuwali się z trudnością naprzód, konie bowiem niechętnie szły w górę, zmęczone i spragnione napoju. I dopiero, gdy wjechali w las, podróż stała się łatwiejsza. Wąwóz leśny usypany był zeschłymi igłami jodeł, opadłymi z umierających już drzew, które buntowniczo wysuwały ku niebu swe ogołocone konary. Skądś od Zachodu powiał wiatr, przynosząc ze sobą woń świeżej zieleni. Woń ta wydała się teraz podróżnym istnym eliksirem nowego życia.

Ben zatrzymał się na wierzchołku małego pagórka, z którego roztaczał się widok na pole pokryte zastygłą lawą, która w jasnym świetle dnia przybierała w niektórych miejscach kolor błękitny, w niektórych zaś purpurową barwę rozpalonego żelaza.

Po kilku godzinach uciążliwej podróży stanęli wreszcie przed lodowymi jaskiniami. Wąskie przejście prowadziło do głębokiej pieczary napełnionej lodem, z przejścia tego tryskała zimna, krystaliczna woda. Tutaj przyjaciele nasi rozpalili ognisko. Modoc wsunął się do pieczary, aby się przekonać, czy nie ma w niej dzikich koni. Wrócił po chwili z twarzą, rozjaśnioną uśmiechem.

— Możemy teraz przetrzymać największą suszę — rzekł. — Stary Modoc znalazł niewyczerpane źródło wody... Postaramy się upolować tu również całe stado.



Rozdział VI

Ben i Nevada ciekawi byli ujrzeć pułapkę, z której Modoc był taki dumny, lecz Indianin poradził im, aby zaczekali do zmierzchu; lekki wiaterek, dmący od zachodu, mógł teraz sprowadzić do źródła chociażby kilka dzikich koni. Przed samym wieczorem powietrze odświeżyło się nieco. Z siekierą na ramieniu i kilku wielkimi gwoździami w kieszeni Modoc ruszył, poprzedzany przez towarzyszy, w kierunku pola okrytego lawą. Pole przybrało teraz barwę stali i falowało w różnych kierunkach, tworząc małe i wielkie pieczary, znaczące się purpurą niezastygłej jeszcze lawy na tle zaróżowionego nieba. Przed jedną z większych pieczar, przy pomocy Nevady, Modoc począł budować z wywróconych pni pobliskich sosen wielką bramę, która miała być pułapką na ściągające tu do wody dzikie konie. Po ukończeniu pracy wrócili do przygasłego już ogniska, snując nadal śmiałe swe plany na przyszłość.

Następnego ranka uporali się szybko z przygotowaniem śniadania i wszyscy trzej skryli się poza pagórkiem, wznoszącym się tuż za pieczarą. Poczęli czuwać na zmianę. Cały dzień przeszedł jednak bez żadnego rezultatu i dopiero z zapadnięciem następnej nocy, gdy nastała godzina czuwania Bena, nieznana jakaś radość przepełniła jego duszę. Obydwaj towarzysze, owinięci ciepłymi derkami spali już od godziny. Na granatowym niebie powoli zapalały się gwiazdy; chłodny wiatr, niby tchnienie dalekiego śniegu dął od pól, pokrytych lawą. Martwą ciszę przerywał tylko przeraźliwy krzyk dzikich gęsi. Spóźnione w swej pielgrzymce, szybowały one pośpiesznie w kierunku północnym. Od strony Mule Deer Lake zawodzące wycia szakali przejmowały czuwającego Bena dziwnym jakimś, nieświadomym lękiem. Zabłąkany wilk przyłączył się do ogólnego chóru nocnych poszukiwaczy żeru, a od strony lasu objęła akompaniament niewyczerpana nigdy sowa. Niewyraźny jakiś szmer dobiegł uszu Bena. Były to lekkie kroki jelenia, zbliżającego się do źródła pieczary. Za nim rozległy się kroki cięższego jakiegoś stworzenia. Kroki te były tak znane Benowi, jak głosy najmilszych jego przyjaciół. Postanowił obudzić tylko Nevadę, gdy wtem myśl jakaś nowa zajaśniała w jego umyśle. Bo czyż nie było pięknie na świecie? Na tle aksamitnego nieba, jasnych gwiazd i srebrzystej poświaty księżyca? Ta noc przepędzona na wsłuchiwaniu się w odgłosy życia dzikich stepów dawała mu największą rozkosz. Doszedł do wniosku, że nawet miłość do Iny Blaine połączona była z tym wszystkim. Podczas takiej cudnej, upojnej nocy mógł ze swobodą zastanawiać się nad tajemnicą i znaczeniem własnego życia.

Zadumę Bena przerwał głośny tętent kopyt. Owładnęło nim uczucie radości. Dzikie konie zbliżały się do wody! Było już dawno po północy, a

on starał się przedłużyć jeszcze tę chwilę samotności, zanim obudzi towarzyszy.

Pod wypływem lekkiego dotknięcia Modoc zerwał się na równe nogi i zaspanym jeszcze wzrokiem zawisł na wybudowanej przez siebie pułapce. Z Nevadą poszło trudniej. Spał on bowiem mocno i dopiero po kilkakrotnym wołaniu zdołano go dobudzić.

— Mój Boże! Śniłem, że udało mi się złowić Czerwonego Mustanga, którego podarowałem Hettie, a tyś mnie zastrzelił.

— Uwaga, stary marzycielu! — szepnął Ben, pochylając się nad nim. — Zjawiły się dzikie konie.

Nevada oprzytomniał w jednej chwili.

— Czemu mówisz mi o tym dopiero teraz, pard — zapytał również szeptem. — Aha, słyszę wyraźnie ich kroki, przybliżające się do bramy.

— Wiatr sprzyja — wtrącił Modoc. — Mamy szczęście; połów będzie wyśmienity.

Odgłos kroków przybliżał się z każdą chwilą, zwinne nogi koni zdawały się nie dotykać ziemi, a potem tętent zamarł gdzieś w oddali.

— Uff! Widziałem je — szepnął Modoc.

Ciemności nocne poczęły powoli szarzeć. Duszę Bena wypełniała teraz niezwykła radość i duma, bo któż był szczęśliwym łowcą dzikich koni? Nie zamieniłby się teraz nawet z władcami świata. Niewesoła myśl przyćmiła na chwilę radość, spowodowaną zwycięstwem. Był pewien, że na czele dzikiego stada przybył do pieczary Czerwony Mustang. A przecież dzikiego tego rumaka trudno będzie upolować w pieczarze. W tej samej chwili dłoń Nevady spoczęła na ramieniu Bena.

— Spójrz tam, przed siebie — szepnął.

Ben odwrócił się we wskazanym kierunku. Pośrodku pola, osrebrzonego promieniami księżyca, stał piękny potężny rumak. Widocznie pozostał on w tyle za stadem, które Ben obserwował w ciągu ostatnich kilku minut; sprawiał wrażenie najdzikszego spośród wszystkich koni. Po chwili zręcznym ruchem ruszył za swym stadem i zniknął za zakrętem pieczary. Ben słyszał jeszcze oddalający się tętent lekkich kopyt. Zwrócił się do Nevady, który niewyraźnie szeptał coś do siebie; Indianin podniósł się z ziemi bezszelestnie.

— Bądźcie gotowi — szepnął Ben.

— Pozostaw im trochę czasu — odparł Nevada. — Nic ich tak nie upoi, jak zimna woda.

Chwila oczekiwania wydała się Benowi wiekiem, aż wreszcie Nevada dał znak wyruszenia. Obydwaj z Benem biegli świetnie, lecz Indianin wyprzedził ich w krótce i pierwszy dopadł do bramy, którą zamknął pośpiesznie.

— Jak się teraz zapatrujesz na moje przeczucie, Ben — zapytał z uśmiechem Nevada.

—- Przeczucie? — powtórzył Ben.

— No tak. Przeczucie o szczęściu. Jesteś tak oszołomiony, żeś nie mógł dokładnie widzieć, lecz ja pewien jestem, że w pieczarze znajduje się około stu koni. Należą one już do nas. Jeszcze chwila roboty, a tego żaden z nas się nie lęka.

— Widocznie przeczucie twe sprawdziło się, Nevada — wymamrotał Ben, ocierając spoconą twarz. — I z jaką łatwością, mój Boże! Trudno mi uwierzyć, że to wszystko jest rzeczywistością.

— A jednak tak jest w istocie. Będziesz mógł szaleć ze szczęścia, gdy schwytasz Czerwonego Mustanga. Należałoby teraz posłać Modoca do Hammell po siano, drut i liny, my zaś przez ten czas wybudujemy odpowiedni corral.

— Doskonała myśl, Nevada — przyznał Ben. — Jeżeli, tak jak przypuszczasz, jest tu około stu sztuk, będziemy mieli robotę na cały miesiąc.

— Przez parę dni będę tylko jeść i odpoczywać — uśmiechnął się Nevada.

Modoc, który stał na uboczu, wykrzyknął nagle z niezwykłym podnieceniem.

— Nowe stado dzikich koni się zbliża.

Ben i Nevada skamienieli na miejscu.

— Urodziłeś się pod szczęśliwą gwiazdą — szepnął cowboy. Usłyszeli w oddali niewyraźny odgłos kopyt.

— Złowimy o wiele więcej — oznajmił Indianin

— Na Boga! Możemy sobie pozwolić, Ben — odparł Nevada podniecony. — Stado, które już złowiliśmy, znajduje się obecnie w głębi pieczary i nie ma zamiaru jeszcze wracać. Nie przewiduje ono pułapki. Możemy otworzyć bramę i stać tuż za nią. Jestem pewien, że i tamte konie dadzą się zwabić.

Mimo hazardowego zapału Ben był jednak przeciwnym propozycji Nevady.

— I tamtych będzie dosyć — rzekł. — Znasz przysłowie, że lepszy wróbel w ręku... Moglibyśmy złowić więcej, lecz utracimy pewność tego, co już posiadamy. Jeżeli konie rzucą się ku bramie zwartą masą, nie będziemy w możności zatarasować jej.

— Słusznie. Dwa rozumy lepsze od jednego; przypuszczam, że masz rację — odparł Nevada z uznaniem. — I z tamtymi końmi będziemy mieli dosyć roboty.

Zdawało się Benowi, że księżyc nie zajdzie nigdy, a świt nigdy nie nastanie. Owładnięty nowymi jakimiś myślami błąkał się tu i ówdzie po polu, pokrytym lawą. Dźwięki jakieś dochodziły od czasu do czasu z pieczary. Wreszcie zniknęła na nieboskłonie tarcza księżyca i rozjaśniać się poczęło powoli. Zapowiedzią nadchodzącego dnia była różowa jutrzenka na horyzoncie. Ciemności zbladły i zniknęły zupełnie.

Gdy rozwidniło się, Ben i dwaj jego towarzysze wcisnęli się przez maleńki otwór do wnętrza pieczary i w najodleglejszym jej kącie ujrzeli skupione stado dzikich koni. Stały one bez ruchu, jak gdyby przeczuwając beznadziejność sytuacji.

Tuż obok siebie ujrzał Ben rozradowaną twarz Nevady.

— Na miłość Boską! — szepnął cowboy. — Czy widzisz to stado koni?

— Nie mogę się jeszcze zorientować dokładnie — odparł Ben z zapartym oddechem.

— Jesteśmy bogaci, pard.

— O, teraz, Nevada, wierzę już we wszystkie twoje przeczucia uśmiechnął się Ben do przyjaciela.

Przybliżył się ku nim Modoc; brązowa jego twarz rozjaśniona była uśmiechem, który był u Indianina nader rzadkim okazem.

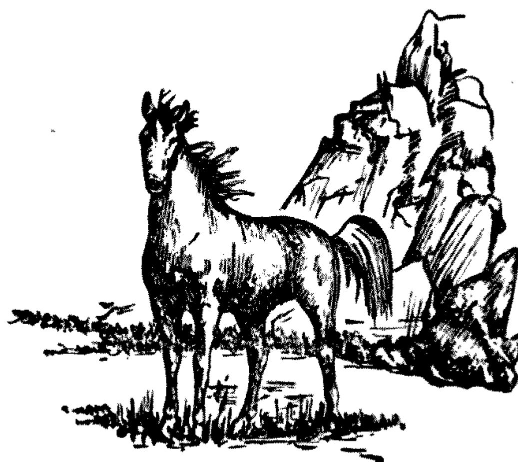
— Mnóstwo koni — rzekł.

— Ben, gotów byłbym się założyć, — szepnął cowboy — że w stadzie tym jest najmniej sto pięćdziesiąt sztuk. Przysięgam, że nigdy dotychczas nie widziałem podobnie pięknych okazów.

Nie zważając na słowa przyjaciela, Ben szukał rozgorączkowanym spojrzeniem przywódcy stada. Na widok ludzi zwierzęta poczęły biegać, jak pijane, po obszernej pieczarze, wzbijając spod kopyt tumany kurzu.

Zamknąwszy uważnie bramę, trzej przyjaciele ruszyli z powrotem do swego obozu, gdzie po zjedzeniu śniadania Modoc począł się szokować do drogi, aby spełnić powierzoną sobie misję; tymczasem Ben i Nevada zabrali się do uciążliwego ścinania pni pobliskich sosen.

Po kilku dniach, przepędzonych na ustawicznej pracy i zaglądaniu co pewien czas do zatarasowanej pieczary, przyjaciele doczekali się powrotu Modoca, który oznajmił, iż transport lin, drutu i gwoździ przybędzie tego samego jeszcze wieczora. Podłożono koniom dość duży zapas siana, którego z początku jeść nie chciały, po kilku jednak godzinach siano było doszczętnie zjedzone. W krótkim stosunkowo czasie wybudowano wielką szopę, przylegającą do bramy pieczary, i teraz rozpoczęło się dzikie polowanie. Kilka sztuk okiełznanych rumaków odprowadzić miano na pastwisko Bena, położone tuż nad korytem „Opuszczonej Rzeki”.



Rozdział VII

W ciągu kilku tygodni wczesnego lata Ina Blaine zajęta była rozmyślaniem, jak rozwiązać ten splątany węzeł gordyjski.

Wszystkie przedpołudnia przepędzała na pracy w gospodarstwie, chcąc być pomocna matce, która i tak, według niej, zbyt wiele miała obowiązków. Obecność Iny w domu, jej wesołe, beztroskie usposobienie zdawały się rozjaśniać ponure dotychczas życie na farmie. Ona sama przekonywała się z radością, że wywierała ogromny wpływ na Dall i Marviego, którzy w tak młodym wieku nie mogli mieć jeszcze własnego wyrobionego zdania. Przyjaźń z Hettie Ide zacieśniała się coraz bardziej, a im częściej Ina widywała siostrę Bena, tym więcej miała dla niej serdecznego uczucia, jak również starała się uprzyjemnić każdą chwilę znękanej matce Bena.

Przekonawszy się, że nie zdoła przełamać uporu córki, mr Blaine stawał się coraz bardziej surowy i niedostępny, aczkolwiek darzył on niegdyś Inę najgorętszą ojcowską miłością. Starsi bracia również jej nie rozumieli. Ciągłe sprzeczki z Kate ustały dzięki jej zamążpójściu i rzadkim tylko odwiedzinom w Tule Lake. Starsza siostra Iny była obecnie tak samo obojętna dla swego męża, jak i dla wszystkich członków rodziny. Niechęci Iny Sewell McAdam nie brał sobie zbytnio do serca. Tradycyjnie każdej niedzieli przybywał do kościoła, a potem całe popołudnie i wieczór przepędzał na farmie w Tule Lake, przywożąc wraz z sobą zapas nowych plotek, krążących po okolicy. Był on jedynym cieniem na jasnym horyzoncie obecnego życia Iny i niejednokrotnie w jej duszy rodził się dziwny bunt przeciwko ustawicznej obecności niezręcznego konkurenta. Mr Blaine ostatnimi czasy począł niedwuznacznie narzucać swą wolę w stosunku do małżeństwa Iny z McAdamem, interesy bowiem jego z ojcem Sewella zależne być miały od związku młodych. Przy każdej rozmowie Ina odmawiała i protestowała energicznie, jednakże nie odnosiło to żadnego rezultatu, wreszcie obawiać się poczęła, że ojciec zechce ją wydać za McAdama wbrew jej woli, aczkolwiek nie mogła sobie wyobrazić, jakby się to stać mogło.

Mr Blaine był coraz bardziej pod wpływem Lessa Settera, który wciągnął go w najrozmaitsze transakcje końmi, chociaż niejednokrotnie transakcje te miały mało wspólnego z kupiecką uczciwością. Ina częstokroć była mimowolnym świadkiem ich rozmów, z których dowiadywała się coraz więcej złego o Lessie Setterze. Jak się okazało, był on przy wszystkich tych transakcjach tylko pośrednikiem, gdy tymczasem jej ojciec ryzykował ogromne sumy pieniędzy. Oszustwami swymi Less Setter doprowadził wielu biedniejszych rancherów do ruiny i z tego powodu w okolicach Hammell spoglądano na Harta Blaine’a z ogromną

nienawiścią. Jeszcze jednym powodem nienawiści Iny do Settera było to, że oszust starał się zbliżyć do niej coraz bardziej. O wszystkich tych jego romantycznych posunięciach Ina nie wspominała ojcu, uważała bowiem, że w takich wypadkach powinna sobie radzić sama. Settera starała się unikać, aczkolwiek nie zawsze to było możliwe.

Pewnego dnia, w pierwszej połowie czerwca, mr Blaine oznajmił rodzinie, że zamierza zamknąć dom swój w Tule Lake na przeciąg całego lata.

— Postanowiłem przenieść się na wakacje do Wild Goose Lake — rzekł. — Jest tam parę mieszkalnych budynków, a dla kobiet ustawimy specjalne namioty.

Marvie i Dall, którzy ostatnio cieszyli się niezwykłymi łaskami ojca, nie omieszkali okazać nadzwyczajnej swej radości; tylko Ina przyjęła wiadomość milczeniem, choć również plan ojca wydał jej się bardzo ponętny. Jedna mrs Blaine z niechęcią przystawała na zamknięcie domu i pozbycie się na pewien czas obowiązków, do których już była przywykła.

— Będzie to pewien rodzaj letniska, jak nazywają podobne eskapady w mieście — ciągnął dalej mr Blaine z uśmiechem. — Wiele rodzin zamieniłoby się chętnie z nami. Państwo McAdam wyruszają również do Upper Klamath Lake... Obrałem Wild Goose Lake, ponieważ w tamtych okolicach i w pobliżu „Opuszczonej Rzeki" będę miał parę spraw do załatwienia. Miejsce to oddalone jest zaledwie o czterdzieści mil od Tule Lake i położone nieco wyżej. Znajduje się tam gęsty sosnowy las, w którym z łatwością można rozbić namioty. Jedynym minusem jest brak wody, ale brak ten odczuwamy już od kilku lat. Onegdaj jeszcze, wysłałem najlepszych kopaczy i jeżeli dotrą do wody, postaramy się zrealizować genialne plany Settera. Zaraz dziś zacznijcie się pakować, abyśmy jutro jeszcze mogli wyruszyć z Tule Lake.

Straszny harmider zapanował w domu państwa Blaine. Korzystając z pierwszej sposobności, gdy nikogo nie było, Marvie zwrócił się tajemniczo do Iny:

— Siostrzyczko, nie masz pojęcia, jak cudowny połów ryb będzie w „Opuszczonej Rzece" — oczy jego błysnęły niesamowicie. — Najgłębsza woda jest w odległości dziesięciu mil od jeziora.

— Ależ Marvie, słyszałam, że jezioro i rzeka wyschły zupełnie — odparła Ina, którą denerwowały wszystkie te przygotowania.

— Można znaleźć parę źródełek, które dawniej były pod wodą — zapewniał chłopiec. — Ben Ide pokaże je nam z pewnością.

Ina uczuła, że się rumieni i świadomość ta wywołała na jej twarzy wyraz niezwykłego pomieszania.

— Czemuś się tak zaczerwieniła, siostrzyczko? — zawołał Marvie z pełnią dziecięcej naiwności.

— Naprawdę?... Och, głupstwo — odparła Ina, czując palący rumieniec na policzkach. Dokładnie zdawała sobie sprawę z przyczyny, która rumieniec ten wywołała.

Marvie pochylił się tuż nad nią z dobrotliwym uśmiechem.

— Ben mieszka nad samym jeziorem, w pobliżu ujścia rzeki. Z obozu naszego swobodnie widzieć będziemy jego chatkę.

— Dobrze; i cóż z tego? — szepnęła Ina ze śmiechem.

— Nic poza tym, że będziesz mogła wymknąć się, aby zobaczyć się z Benem; pomogę ci w tym, jeśli tylko zechcesz.

— Czy przypuszczasz, Marvie, że będę mieć ochotę? — szeptała dalej Ina w zamyśleniu.

— Mam wrażenie, że tak — oznajmił chłopak z powagą. — Wybierzemy się tam pod pozorem połowu ryb... A teraz, siostrzyczko, chciałem ci powiedzieć, że o planie ojca wiedziałem już przedtem, słyszałem bowiem jego rozmowę z Lessem Setterem. Omawiali zakupienie zagrody Ben Ide'a, gdyż jedynie w tym miejscu można mieć nadzieję dokopania się wody. Ojciec chciał zagrodę kupić, lecz Setter przysiągł, że i bez tego wygna Bena z kraju. Potem, Ino, słyszałem, jak jeden z naszych cowboyów powiedział, że Less Setter ojca otumanił.

— Oczywiście! — wykrzyknęła Ina, hamując z trudnością nowy przypływ krwi do twarzy. — Marvie, nienawidzę tego człowieka — dodała po chwili.

— I ja również — rezonował chłopak. — A najbardziej nienawidzę sposobu zwracania się Settera do ciebie, Ino. Z dwojga złego wolę już McAdama... Ach, jakżebym chciał być starszy i silniejszy.

— I tak jesteś niezwykle dzielnym chłopcem — rzekła Ina. — Posiadamy wspólną tajemnicę. Czuję wielką nienawiść do mr Settera i obawiam się, że zawiedzie on zaufanie ojca. Głównym celem tego łotra jest zgnębić Bena Ide'a, Marvie... Ben jest moim starym, drogim przyjacielem i nie mogę uwierzyć w to wszystko, co o nim mówią.

— Zawsze będę stać po stronie Bena, Ino, możesz na mnie liczyć — odparł Marvie.

— Bardzo ładnie z twej strony, braciszku; we mnie i w Benie masz również oddanych sobie przyjaciół. A teraz musimy tylko patrzeć i słuchać. Nie będzie to z naszej strony nieuczciwością, jeśli nie uwierzymy w te wszystkie oszczerstwa, szkalujące Bena Ide'a. Rozpoczynamy grę, Marvie.

Ina nie wyjaśniła skrupulatniej, jaki to miał być rodzaj gry, a jednak Marvie przyjął z wielką powagą propozycję siostry, przeczuwając dziecięcym swym sprytem, iż chodziło tu o rzecz niezwykle ważną.

— Nie wspominaj nic o tym Dall — szepnął, gdy już się mieli rozstać. — Ona jest tylko dziewczyną, nie można więc jej zbytnio ufać; poza tym panicznie lęka się ojca.

Przy końcu tej krótkiej rozmowy Ina doszła do wniosku, że nie zawiodły jej przeczucia o złym charakterze Lessa Settera. Pominąwszy nieuczciwe transakcje handlowe, mr Setter starał się pozyskać względy zarówno jej, jak i Hettie Ide.

Resztę dnia przepędziła Ina na pośpiesznym pakowaniu rzeczy, zajęta marzeniami o rozkosznym przepędzeniu lata w prowizorycznym obozie wśród lasów.

Następnego ranka, przed wschodem słońca jeszcze, oboje z Marviem wyruszyli na swych wierzchowcach na czele obładowanych roboczych koni i wozów, wiozących najpotrzebniejsze sprzęty gospodarskie. Marvie, mimo młodego wieku, okazał się niezwykłe rycerskim obrońcą w przykrych sytuacjach, gdy prowadzący karawanę cowboye starali się cynicznie

nagabywać Inę. Ina lubiła tych chłopców i przepadała za ich towarzystwem, dopóki nie usiłowali starać się o jej względy.

Ogromnie przyjemna była jazda wczesnym rankiem, a nawet piaszczysta droga, prowadząca w kierunku szałwiowych gór, nie zdawała się być tak uciążliwa. Zmieniło się dopiero nieco, gdy wyjechali z równiny na grunt falisty i gdy słońce poczęło im dokuczać swym ognistym żarem. Podróż stała się bardziej męcząca, aczkolwiek nie pozbawiona komicznych przygód i satysfakcji. Koło południa karawana minęła szeroki wąwóz między górami i wyjechała na wąską dróżkę, biegnącą ku dołowi. Wreszcie mr Blaine zarządził postój przy ostatniej zagrodzie na północ od Wild Goose Lake. Właściciel zagrody, nazwiskiem Blake, jak większość biednych rancherów, był cowboyem zarazem, ażeby, jak sam powiadał, z trudnością utrzymać bodaj własną skórę na grzbiecie. Zatrzymano się tu na krótki odpoczynek w cieniu drzew, okalających domostwo. Marvie nie odstępował Iny ani na chwilę i w pewnym momencie szepnął jej cicho do ucha:

— Czyś zauważyła, jakie było przywitanie? Ten Blake musi nie bardzo lubić ojca.

Obserwacje Iny zgadzały się zupełnie z uwagą jej młodszego brata.

W ciągu następnych dwóch godzin podróż była niemożliwa ze względu na szalony upał i tumany kurzu, unoszące się spod kopyt końskich. Dopiero nad wieczorem stanęli prawie u celu swej wyprawy; z najwyższego pagórka Ina dokładnie obejrzeć mogła roztaczającą się przed nią małą dolinkę Wild Goose Lake.

Z doliny tej, mimo trwającego jeszcze ciągle gorąca, wiał lekki zefirek, łagodzący skwar czerwcowego popołudnia. Gdzie okiem sięgnąć, wszędzie ciągnęły się pasma szczytów górskich, wtulonych jakoby w pierzaste, lekkie obłoki. Szałwiowe pola, ciągnące się rozlegle tu i ówdzie, przybrały teraz barwę sinawego aksamitu, znaczonego gdzieniegdzie nicią krwawej purpury. Dolina Wild Goose Lake sprawiała wrażenie błotnistego grzęzawiska, które wyschło prawie zupełnie dzięki tyluletniej nieustannej suszy. Wysokie pagórki, które zazwyczaj o wschodzie słońca sprawiały wrażenie groźnych potęg rządzących bezbronną doliną, obecnie zdawały się uśmiechać do zaróżowionego wieczorną zorzą nieboskłonu. Jeden z cowboyów zwrócił uwagę Marviego na małe, ciemne punkciki, poruszające się na szczycie jednego z oddalonych pagórków. Dzikie konie! Jakże wzruszyły Inę te słowa i ten widok. Uczucie radości wzmogło się jeszcze w jej duszy, gdy Marvie w skazał jej widniejące w oddali równiny i wąską srebrzystą wstęgę koryta „Opuszczonej Rzeki”. Czyż cośkolwiek mogło ją bardziej wzruszyć? Szaro i posępnie spoglądało ku nim z oddali wyschłe już prawie ujście rzeki, które zdawało się ginąć pośród stepowych piasków. Wyraźniej tylko rysowała się na szarosrebrnym tle szałwii gęsta kępka sosnowych drzew, które otaczały zagrodę Ben Ide’a.

Serce Iny poczęło trzepotać się w piersi. Nic dziwnego, że kocha on tę swoją zagrodę, bo przecież i ona sama pokochała ją już od pierwszego wejrzenia; najlepszym tego dowodem była niezwykła emocja, jaką odczuwała w tej chwili. Szarą monotonię stepu przecinała jakoby „Opuszczona Rzeka”, pnąc się ostatkiem utraconych sił ku wysokim

pagórkom; za pagórkami tymi, jak twierdzili cowboye, ciągnęła się otchłanna pustynia Nevady.

Ostatnie chwile podróży minęły w nastroju wesołym, aczkolwiek całe ciało Iny domagało się chwilowego chociaż odpoczynku. Ustawicznie spoglądała w stronę „Opuszczonej Rzeki”, jak gdyby pragnąc utrzymać duchowy kontakt z tym wszystkim, co się działo nad jej brzegami. Sama nie potrafiłaby teraz zanalizować swego uczucia, wiedziała tylko, że plan jej ojca i Lessa Settera, przeniesienia się na lato do Wild Goose Lake był dla niej niezwykle pomyślny, aczkolwiek lękała się rezultatów obmyślanych przez swego wroga transakcji. W obecnej jednak chwili wydało jej się to bardzo dalekie i śmieszne, lecz gdzieś w głębi jej duszy pozostała świadomość czyhającego niebezpieczeństwa.

O czwartej po południu karawana Blaine’a zatrzymała się na miejscu przeznaczenia. Ina nigdy jeszcze dotychczas nie widziała podobnie pięknych okolic, choć budynki były bardzo zaniedbane i panował w nich szalony nieporządek po dawnych tutejszych mieszkańcach. Cień rozłożystych drzew chronił od palących promieni słonecznych, stwarzając przyjemną atmosferę chłodu, której kalifornijscy rancherzv nie zaznawali prawie wcale. W czasie chwilowego odpoczynku Ina obliczyła, że zagroda Bena Ide’a leżała w odległości najwyżej dziesięciu mil, wyraźnie bowiem widziała dach ponurej, szarej chatki w otoczeniu rozłożystych konarów sosen.

Sześciu potężnych cowboyów zajęło się rozpakowywaniem rzeczy i rozstawianiem kilku białych płóciennych namiotów. Marvie i Dall zdawali się być w siódmym niebie; przebycie czterdziestu mil podwoiło jeszcze radość ich i energię do przeżywania coraz to nowych przygód. Tylko Inę te długie godziny, przepędzone na siodle, przyprawiły o szalone zmęczenie. Nawet mrs Blaine zdawała się przyłączać do ogólnej wesołości, od dzieciństwa przecież przyzwyczajona była przebywać przez większość swego życia na otwartej przestrzeni.

Noc tę przepędziła Ina z Dall na posłaniu z miękkiego mchu, pod dużym krzakiem jałowcu. Ciemności nocne rozświetlał jedynie blask rozpalonego ogniska. Lekki wiaterek szumiał nad ich posłaniem, rozwiewając włosy dziewcząt i szemrząc w gałęziach pobliskich drzew. Gdzież się podziały upały, męczące nawet wśród nocy mieszkańców Tule Lake? Ina leżała na wznak, wpatrzona w połyskujące na granatowym niebie gwiazdy i zasłuchana w szepty przytulonej do niej młodszej siostrzyczki. Nagle nieznany jakiś ciężar przytłoczył jej powieki. Jakże rozkosznie było wdychać pełną piersią aromatyczną woń szałwii! Była to ostatnia myśl Iny, z którą zasnęła.

Zbudziła się o wschodzie słońca i ujrzała stojącego nad sobą Marviego, uzbrojonego w długą wędkę.

— Ach, wy śpiochy! — zawołał wesoło. — Ładne z was będą żony farmerów... Chciałem ci coś powiedzieć, siostrzyczko. — Skinął ku niej tajemniczo.

Złamana jeszcze wczorajszą podróżą, Ina doszła do wniosku, iż trudno będzie podnieść się z posłania, aby rozpocząć nowy dzień, po krótkim jednak wysiłku udało się jej to jakoś całkiem nieźle. W tej samej chwili Marvie zniknął w zaroślach, co zaostrzyło jeszcze zbudzoną ciekawość Iny. W towarzystwie matki swej i Dall udała się na śniadanie, które podano na małej polance między dwoma szałasami. Dnia tego Ina jadła niechętnie, słuchając narzekań matki na temat panujących nieporządków i próśb jej, zwróconych do męża, aby urządzano kuchnię w specjalnym namiocie. Mr Blaine, będąc dnia tego w doskonałym humorze, przyrzekł żonie spełnić jej prośbę; twarz jego rozjaśniona była jowialnym uśmiechem. Według spostrzeżeń Iny, plany ojca umacniały się z chwilą przybycia całej rodziny do Wild Goose Lake. Natychmiast po śniadaniu zebrał całą armię cowboyów dla poczynienia chociaż części porządków w budynkach zagrody, pragnąc uczynić je możliwymi do zamieszkania.

Przechadzając się po lesie, Ina spotkała kilku cowboyów, zajętych rozstawianiem reszty namiotów i przyglądających się jej z niemym uwielbieniem. Dostrzegła zbliżającego się w tę stronę ojca.

— Powiedz, Ino, w którym miejscu chciałabyś mieć swój namiot? — zapytał czule. — Natychmiast każę tym leniuchom rozstawić go, gdzie zechcesz.

Ina wskazała miejsce pod wysokim jałowcem, to właśnie, na którem spała poprzedniej nocy. W godzinę potem namiot był już gotowy, a Ina i Dall kazały cowboyom przynieść doń swe rzeczy, aby się wziąć do rozpakowywania. Po chwili dwaj cowboye stanęli u wejścia do namiotu, jeden z nich niósł młotek i gwoździe, drugi zaś niewielką sosnową skrzynkę.

— Miss Ino, prawdopodobnie zechce pani powiesić swoje sukienki? — odezwał się jeden z nich, zabierając się do wbijania gwoździ w drewnianą ramę, na której obciągnięte było białe płótno namiotu.

— A tutaj jest skrzynka, którą przeznaczyłem dla pani na umywalnię — zaofiarował się drugi cowboy — nie jest ona zbyt wygodna, ale lepszej znaleźć nie mogłem. Postaram się przynieść ze dwie stągwie czystej wody, żeby tylko ojciec pani nie widział.

— A cóż go to może obchodzić? — zaśmiała się Ina.

Pierwszy z cowboyów, wysoki przystojny chłopak, stał pełen respektu z odsłoniętą głową, cały zamieniony we wzrok.

— Mr Blaine utrzymuje, że do mycia wystarczy woda z tutejszego jeziora.

— Ależ na litość Boską, jakże można się myć w takim błocie? — zaprotestowała Ina.

— Oczywiście, powiedzieliśmy mu to samo, lecz zna pani mr Blaine’a. Nigdy nie posłucha czyjejś dobrej rady.

Znając ojca, Ina przekonana była, że gotów on w ogóle zabronić używania wody, którą zdobywało się z taką trudnością.

— Po co u licha kupował ojciec tę zagrodę? — zapytała niecierpliwie.

— Ot, tak sobie, miss Ino. Ma on na oku „Opuszczoną Rzekę”, obawiam się jednak, że nie zdoła tu przetrzymać tej okropnej suszy. Nad „Opuszczoną Rzeką” nie ma ani kropli wody i nawet kopanie nie przyniesie

żadnych rezultatów. Radziliśmy mr Blaine'owi, aby zaczekał na pierwszy deszcz, ale uległ on namowom Lessa Settera.

— Tak... Dziękuję wam, chłopcy — odparła Ina w zamyśleniu. — Przynieście mi w każdym razie konewkę czystej wody, odpowiedzialność biorę na siebie.

Ogarnęło ją szalone pragnienie dowiedzenia się czegoś jeszcze o mr Setterze, lecz po krótkim namyśle doszła do wniosku, że nie należy w cowboyach wzbudzać braku szacunku dla wspólnika Harta Blaine'a.

Następne dni biegły tak szybko, że Ina z trudem orientowała się, jak już długo przebywali w obozie. Godziny całe przepędzała na samotnych marzeniach w hamaku swym pod wysokim, rozłożystym jałowcem; całe przedpołudnie zajęta była pomaganiem matce przy przygotowywaniu jadła dla rodziny i służby. Pewnego wieczora przed kolacją zjawił się Marvie, zmęczony i zabłocony niemożliwie.

— Ani jednej ryby — szepnął w odpowiedzi na zdziwione spojrzenie starszej siostry. — Zrobiłem dzisiaj około stu mil. Wszędzie niemożliwe błoto, jezioro wyschło zupełnie.

— Czyś był nad „Opuszczoną Rzeką"? — zapytała Ina, tłumiąc drżenie mocno bijącego serca.

— Tak, byłem i tam. Zajrzałem nawet do domu Bena Ide'a, lecz nie zastałem go. Chatka sprawia w rażenie, jak gdyby Ben opuścił ją na czas dłuższy. A tak na niego liczyłem...

— Prawdopodobnie wróci wkrótce — rzekła Ina, nie wierząc sama swym twierdzeniom. Przypuszczała, że Ben wyruszył na jedno z licznych swych polowań na dzikie konie.

Marvie nie zdążył się jeszcze umyć i przebrać, gdy ujrzał zbliżającego się m r Blaine'a.

— Gdzieżeś był? — zapytał ojciec surowo.

— Łowiłem ryby — odparł Marvie.

— Czy zawsze jesteś tak brudny po połowie?

— Naturalnie, nie jestem przecież rybakiem z miasta.

— Marvie, doszedłem do wniosku, że jesteś leniwcem niezdatnym do żadnej pracy — oznajmił mr Blaine, marszcząc groźnie brwi.

— Mylisz się, ojcze — zaprotestował Marvie gorąco. — Przyrzekłeś mi przecież, że będę mógł łowić ryby, gdzie tylko zechcę. Wszakże to czas wakacji i zajęcia szkolne już ukończyłem.

— Tak, wiem i nie mam zamiaru cofać danego ci słowa. Obawiam się tylko, że te połowy ryb i polowania mogą cię skierować na tę samą drogę, którą poszedł Ben Ide.

Marvie zarumienił się ze złości i przygryzł wargi, nie odpowiedział jednak nic, czując na sobie wymowne spojrzenie Iny. Do kolacji zjawił się w czystej bluzie i z gładko przyczesaną czupryną, ażeby uniknąć niechętnego wzroku ojca. W godzinę potem, gdy Ina leżała w swym hamaku, obserwując purpurowy zachód słońca, Marvie zbliżył się do niej i rzekł przyciszonym głosem:

— Siostrzyczko, ojciec stale myśli o Benie Idzie. Wydaje mi się to strasznie komiczne i radbym wiedzieć, czemu ciągle troszczy się o jego

losy. Ciekawy jestem, co powie, gdy dowie się, że te wszystkie plotki o Benie były wierutnym kłamstwem.

— I ja myślałam o tym, Marvie — bąknęła Ina z wyrazem rozmarzenia w głębokich swych oczach. Jakże pragnęła ucałować teraz Marviego za jego chłopięcą naiwną szczerość i wiarę.

Następnych dni kilka przeszło na ustawicznej gorączkowej pracy, z której wszyscy zresztą byli niezwykle zadowoleni. Mrs Blaine, przebywająca obecnie ciągle na świeżym powietrzu, nabrała dawnych rumieńców i werwy, mimo niemniejszych wcale obowiązków, niż na farmie w Tule Lake. Ina zauważyła, że i ojciec był tutaj w o wiele lepszym humorze, aczkolwiek po każdej rozmowie z Lessem Setterem stawał się znowu surowy i nieprzystępny.

Niedziela zastała mały obóz doprowadzony zupełnie do porządku. Opuszczone budynki zamienione teraz były na przytulne, mieszkalne pokoje, w czym oczywiście największą rolę odegrała młodzieńcza energia Harta Blaine'a.

Koniec tygodnia przyniósł Inie cały szereg nowych, aczkolwiek niezbyt przyjemnych wrażeń. Pierwszym było przybycie Lessa Settera, który spoglądał wokoło z tajemniczą miną i starał się być w stosunku do Iny bardziej przyjacielski i intymny, niż dotychczas. Według spostrzeżeń dziewczęcia, ojciec był znowu pod urokiem wspólnika i dostawał formalnych napadów furii, gdy ktośkolwiek oparł się któremuś z jego niedorzecznych rozkazów.

Jedyną osłodą tej przykrej sytuacji był Marvie, który zdawał się wnosić z sobą wiew swobody i dziecięcej beztroski.

— Słuchaj, Ino, czemu żeś ciągle tak zamyślona? — oburzał się, przybiegłszy do niej z nowym zapasem wiadomości. — Ben Ide wrócił dzisiaj. Wiadomość tę przywiózł ojcu Bill Sneed, a ja byłem mimowolnym świadkiem ich rozmowy. Bill opowiadał, że Ben wraz z Indianinem Modocem upolowali nowe stado dzikich koni i prowadzą je na pastwisko Bena tuż nad brzegiem rzeki. Najpiękniejsze konie, jakie kiedykolwiek widziałem w życiu — mówił Bill w zachwycie, a między nimi jest, o ile się nie mylę, Czerwony Mustang.

Ina była teraz ogromnie zadowolona, że brat nie mógł widzieć zarumienionej jej twarzy w cieniu zapadającego zmierzchu. Wszelkimi siłami starała się uspokoić szybkie bicie serca, co nie udawało się jej dziwnie tym razem.

— Wiesz, Ino, — ciągnął dalej chłopak — że Less Setter był również przy rozmowie Billa z ojcem. Obserwowałem uważnie wyraz jego twarzy i dałbym dużo, abyś zobaczyć mogła wzrok jego, skierowany ku ojcu. Powiedział tylko: „Blaine, jutro rano wezmę kilku cowboyów i pojadę tam". Ojciec wciągnął go do pokoju i zamknął drzwi. Słuchałem pod oknem, lecz niewiele mogłem dosłyszeć; postaram się jeszcze czegoś dowiedzieć.

— Bądź ostrożny, Marvie — szepnęła Ina, drżąc w podświadomym lęku.

— Będę, jak Indianin — zapewnił Marvie wesoło. — Less Setter uważa mnie za głupiego, nieroztropnego dzieciaka, zresztą ojciec ma o mnie nie lepsze pojęcie.

Zniknął w pobliskich zaroślach, pozostawiając Inę niewesołym jej myślom. Przed powrotem Marviego udała się na spoczynek, a następnego dnia chłopak wyruszył z cowboyami o wschodzie słońca.

Modląc się w duszy o powodzenie brata, myślała Ina o jak najszybszym jego powrocie, chociażby ze względu na zapowiedzianą niedzielną wizytę Sewella McAdama, obecnie bowiem Marvie był jedynym jej obrońcą i starał się obecnością swą uprzyjemniać długie, banalne rozmowy z gościem. Wyjeżdżając z Tule Lake, Ina radowała się myślą, że chociaż podczas letnich miesięcy uwolniona będzie od towarzystwa nieznośnego konkurenta, którego każda wizyta wyprowadzała ją coraz bardziej z cierpliwości. W duszy dziewczyny rodził się chwilami bunt i postanowienie zapowiedzenia Sewellowi raz na zawsze, aby zaprzestał tradycyjnych odwiedzin.

Wczesnym rankiem przybył McAdam na spienionym wierzchowcu. Leżąc w hamaku, Ina widziała dokładnie, jak gość oddał konia cowboyowi i skierował się do budynku, w którym mieszkał Hart Blaine. Po chwili wyszedł stamtąd i począł iść wolnym krokiem w stronę Iny. Dziewczyna przymknęła oczy, mając nadzieję, że Sewell okaże się gentlemanem i nie będzie chciał przerywać spokojnego jej snu. Omyliła się jednak, gość bowiem, widząc ją uśpioną, podszedł do hamaku na palcach i nagle Ina uczuła oddech jego tuż nad sobą. Z przerażeniem otworzyła oczy. Była zadowolona nieledwie, że zdobył się wreszcie na jakiś śmielszy czyn, co upoważniało ją do stanowczej z nim rozmowy.

— Jak się pani miewa, Ino? Sądziłem, że pani śpi — powitał ją przyjaznym uśmiechem.

— Czuję się doskonale, dziękuję panu, mr McAdam — odparła zimno. — Nie spałam, niestety.

— Dlaczego więc leżała pani tak spokojnie? — nalegał, szukając wzrokiem jej uśmiechu. Twarz jego była rozpalona, chociaż nie zdawał się być pijany.

— Pragnęłam przekonać się, jak się pan zachowa, gdy ujrzy mnie pan śpiącą. Teraz już wiem.

— Chciałem panią tylko pocałować. Przecież nie ma w tym nic złego.

— Bezwstydniku! — zawołała Ina, zrywając się z miejsca. Zastanowiło ją w tej chwili dziwne odnoszenie się do niej McAdama, które przypominało jej cyniczne rozmowy, jakie starał się z nią prowadzić Setter.

— Czyż to jest bezwstyd, jeżeli mężczyzna stara się pocałować swoją dziewczynę? — zapytał gość, przyglądając się Inie ze zdziwieniem.

— Nie jestem pańską dziewczyną — odparła Ina mrożąco.

— Jeżeli jest pani w tej chwili szczera, w co muszę wątpić, to wszystkie zamiary moje i ojca mego okażą się próżne — rzekł ponuro.

Więc przypuszczał, że jest z nim nieszczera. Półuśmiech, błądzący na jego twarzy, zdawał się być wyrazem wiary w odniesione zwycięstwo.

— Zadziwia mnie pan, mr McAdam. Jeżeli pan i ojciec pański mieliście jakieś zamiary, to działo się to zupełnie bez mojej wiedzy. W stosunku do pana jestem zupełnie szczera. Nigdy specjalnie pana nie lubiłam, a obecnie po prostu znieść pana nie mogę. Nie moja w tym wina, że przez

cały ten czas ani razu nie zauważył pan mojej niechęci do siebie. Lecz teraz rozumie mnie pan chyba? Bo jeżeli nie...

— Tak, to zupełnie wystarczy, Ino Blaine — odparł chrapliwie, a twarz jego spąsowiała jeszcze bardziej. — Ojciec pani pozwalał mi myśleć, że jest pani tak, jakby zaręczona ze mną. Na mocy tego mój ojciec włożył tysiąc dolarów w zakup stad i zagrody. Więcej jeszcze, pozwolił się wciągnąć do interesów temu Lessowi Setterowi. Pani...

Wymownym ruchem ręki Ina nakazała mu milczenie; czuła, że twarz jej pokrywa się śmiertelną bladością.

— Nie chcę słuchać dłużej — rzekła matowym głosem. — Nie znam się zupełnie na transakcjach, o których pan wspomina. Jeśli ojciec mój istotnie uczynił to wszystko, to po prostu był w błędzie. Teraz pozostaje mi tylko powiedzieć panu, że nie poślubię pana nawet dla uratowania mego ojca; wolałabym raczej umrzeć.

— Zmieniła się pani od czasu, jak panią widziałem po raz ostatni, Ino Blaine — oznajmił McAdam z odcieniem gorzkiej zazdrości. — Nie zapomniałem chwili, gdy witała pani Bena Ide'a, owego pamiętnego dnia w Hammell. Gorzej byłoby, gdybym wyjawił to wszystko, co wiem o łowcy dzikich koni.

Ina miała twardą odpowiedź na ustach, pohamowała się jednak i rzekła bezdźwięcznie:

— Nie odważyłby się pan powiedzieć tego wszystkiego Benowi Ide'owi w oczy.

— Teraz rozumiem panią doskonale — zachichotał Sewell. — Można to wyczytać z twarzy pani, ty piękna, kłamliwa kotko! Po tylu latach edukacji wróciłaś do domu, ażeby oddać serce temu koniokradowi.

Tego już było za wiele; nowa fala krwi uderzyła do twarzy oburzonej Iny.

— Powtórzę wszystko coś pan w tej chwili powiedział Benowi Ide'owi — wykrzyknęła z namiętnym oburzeniem. — Mam nadzieję, że i ja będę przy waszym spotkaniu. Jest to ostatnie moje słowo, jakie mówię do pana, mr McAdam.

Szybkim krokiem wbiegła do namiotu, opuszczając za sobą wejściową zasłonę. Słyszała niewyraźne chrząkania Sewella i odgłos niecierpliwie łamanych gałązek ukochanego jej jałowca. Usiadła w głębokim fotelu, złamana zupełnie ostatnimi przeżyciami.

— I wszystko stało się tak nagle, w jednej chwili... Paskudny brutal; jestem zadowolona, że raz na zawsze z nim załatwiłam... A teraz nowa przeprawa z ojcem. Wpadnie tu, jak dziki zwierz... Mam jednak nadzieję, że i z nim dam sobie radę.

Istotnie Ina nie czekała długo, po kwadransie bowiem może usłyszała ciężki kroki Harta Blaine'a.

— Ino! — zawołał niecierpliwie.

Czekała w milczeniu na powtórne głośniejsze wołanie, po czym odparła:

— Jestem w namiocie, ojcze.

— Wyjdź tu zaraz.

— Nie mogę teraz wyjść, ojcze.

— Co takiego? — zacharczał ze złości, kierując się do wejścia.

— Bardzo źle się czuję w tej chwili, więc nie mogę wyjść. — Czuła w piersi lodowate zimno, jak gdyby ktoś zanurzał ostrze sztyletu w uciszonym teraz sercu. Mimo wszystko mogłaby się nawet śmiać w tej chwili, choć na dnie jej duszy zrodziło się coś dziwnego, czego nie znała dotychczas.

— Przyjdziesz tu, aby przeprosić młodego McAdama — zawołał znów mr Blaine.

— Nigdy tego nie uczynię — odparła Ina, rumieniąc się na sam nieznany dotychczas dźwięk głosu ojca; ogarnęło ją znowu paniczne przerażenie.

— Co się stało?

— Mr McAdam znieważył mnie.

— W jaki sposób?

— Usiłował mnie pocałować, a potem znieważył mnie obelżywymi słowami. Uważałam za stosowne powiedzieć mu, co o nim myślę i nigdy więcej już nie będę z nim rozmawiać.

— Musisz, Ino. Idzie tutaj o niezwykle ważny interes dla mnie — nalegał mr Blaine charkotliwie.

— Bardzo mi przykro, ojcze, żeś go wprowadził w błąd — odparła łagodniej już Ina. — Ja ze swej strony nie mam zamiaru nawet patrzeć na tego człowieka.

— Dziewczyno! Nie wolno ci krzyżować mych planów! Żądam od ciebie posłuszeństwa! — syczał już teraz prawie z tajonej furii. — Wyjdź tu w tej chwili, nim jeszcze zdążę zdemolować twój namiot.

Ciężką swą dłonią dotknął płóciennych ścian namiotu, gdy w tej chwili tuż przed nim stanęła Ina ze śmiertelną bladością na twarzy. Przez chwilę miała wrażenie, że będzie zmuszona ulec rozkazowi ojca, potem jednak uświadomiła sobie, że chodziło tutaj o całe jej życie i szczęście. Jak przez mgłę usłyszała chłodno wypowiedziane przez siebie słowa:

— Ojcze, jeżeli będziesz chciał mnie do tego zmusić, pójdę piechotą do Hammell i będę tam pracować, bodaj jako kelnerka w hotelu.

Mr Blaine stłumił okrzyk rozpaczy. Odwrócił się plecami do córki i począł iść wolnym, nierównym krokiem w kierunku budynku, w którym mieszkał. Po chwili daleki głos matki przerwał panującą wokoło martwą ciszę:

— Hart, niestety, nie mogę ci nic pomóc, ale, proszę cię, nie znęcaj się nad Iną.

— Znęcać się? Cha, cha, cha! — zaśmiał się chrapliwie. — Szalałem za tą dziewczyną, a ona zawiodła mnie... ta twoja wykształcona córka mnie zawiodła!



Rozdział VIII

Wkrótce po przykrej rozmowie z ojcem, w namiocie Iny zjawiła się pani Blaine.

— Twój ojciec jest ogromnie zdenerwowany, Ino, przez cały czas naszego pożycia nie widziałam go jeszcze takim — rzekła matka, rozdrażniona całym niemiłym zajściem.

— Szalenie mi teraz przykro — odparła Ina z bladym uśmiechem. — Lecz nie mogłam wytrzymać już dłużej, mateczko.

Usiadły obydwie u wejścia do namiotu, skąd dokładnie widzieć mogły zabudowania zagrody. Przed jednym z budynków stał mr Blaine w towarzystwie McAdama; obydwaj rozmawiali, żywo gestykulując; po chwili mr Blaine odwrócił się od McAdama i wszedł do najbliższego budynku.

— Hart wpada w kompletną furię, gdy go ktoś rozdrażni — mruknęła mrs Blaine jak gdyby do siebie samej.

— Dziwię się, mateczko, że ten młodzieniec już dawno nie wyprowadził ojca z równowagi — zauważyła Ina.

— Twój ojciec ma szalenie dużo cierpliwości, gdy chodzi o pieniądze.

— Obawiam się, że papa zaangażował się zbytnio względem McAdamów, którzy mają na niego widocznie pewien wpływ.

— Nietrudno mieć wpływ na Harta Blaine'a — rzekła mrs Blaine z goryczą zniecierpliwienia. — Zmienił się szalenie, bo nawet moich rad wysłuchać nie chce. Byliśmy zawsze ogromnie biedni, a teraz oszalał na punkcie pieniędzy.

— Najlepiej byłoby, gdyby stracił pewną część majątku — szepnęła Ina.

— I ja tak twierdzę. Dałby Bóg, żeby się tak stało... Na pewno zmieniłoby się wszystko na lepsze. Powiem ci w tajemnicy, Ino, że zadowolona jestem niezmiernie, żeś odmówiła młodemu McAdamowi. Nie podoba mi się on zupełnie. Ze względu na nowe prądy, jakie ogarnęły obecnie wszystkich, starałam się przez cały czas zachować swe poglądy dla siebie. Podczas twej rozprawy z McAdamem znajdowałam się w pobliżu. Byłam pewna, żeś spała wówczas, gdy on się do ciebie zbliżał, a gdy porwałaś się z hamaka, myślałam o tym, czyby nie przywołać któregoś z cowboyów na pomoc. Mam nadzieję, że nie zobaczymy więcej tego młodzieńca i niedziele odtąd będziemy mogli przepędzać bez jego wizyt.

— Dzięki Bogu, mateczko, że mnie rozumiesz. I ja teraz czuję się swobodniejsza... Zapomniałam jednak o mr Setterze — zawołała Ina impulsywnie.

— Co masz na myśli, dziecko?

— Nie lubię mówić o tym, ale może tak będzie lepiej. Mateczko, Less Setter atakował mnie zawsze, gdy tymczasem McAdam rządził się tylko swoją głupotą. Sewell śmieszył mnie i niecierpliwił, tamten zaś wzbudza w duszy mej jakiś lęk.

— Na litość Boską! Cóż on takiego uczynił? — zapytała mrs Blaine przerażona.

— Dość będzie powiedzieć ci, mateczko, że człowiek ten nie ma absolutnie żadnych skrupułów — oznajmiła Ina z zapałem. — Kilka dni przed naszym wyjazdem tutaj napastował mnie niejednokrotnie w salonie, a potem na drodze, gdy wyszłam na spotkanie Dall. W ogóle starał się do mnie zbliżyć wszędzie, jak tylko byłam sama.

— Napastował cię! Cóż to znaczy?... Nic sądzę przecież, aby ci chciał ubliżyć? Mógłby być wszakże twoim ojcem.

— Ubliżyć byłoby zbyt słabe określenie dla czynów tego człowieka, mateczko — ciągnęła Ina dalej. — Gdyby mnie adorował, musiałby mieć na myśli małżeństwo, a mr Less Setter ani razu nie uczynił mi zaszczytu podobną propozycją. Po prostu chciał wyzyskać moją nieświadomość życia. Walczyłam z nim niejednokrotnie ostatkiem sił i na szczęście za każdym razem udało mi się wymknąć z drapieżnych jego objęć. Oto wszystko, co ci pragnęłam powiedzieć...

Podziw pani Blaine przeszedł teraz w szalony gniew. Fala krwi uderzyła jej do twarzy, a posępne zazwyczaj oczy zapłonęły niesamowitym blaskiem.

— I nigdy nie wspominałaś o tym ojcu? — zapytała.

— Nie. Raz, czy dwa razy odcięłam się ostro Setterowi, za co otrzymałam od ojca surowe napomnienie. Widząc wpływ, jaki ten człowiek wywiera na papę, obawiałam się wspominać o czymkolwiek, z pewnością ojciec nie uwierzyłby moim słowom. Mam wrażenie, że czy prędzej, czy później ojciec i tak się nim rozczaruje.

— Zadowolona jestem, Ino, żeś mi opowiedziała o tym wszystkim — szepnęła matka. — I ja jestem pewna że dla Harta Blaine’a będzie to dobrą nauczką. Przykro mi tylko, że dla interesów swych poświęca on nawet córkę, a najstarszych synów odwiódł od pracy na farmie, kierując ich wzrok ku miastu. Będąc na twoim miejscu, znalazłabym sobie jakiegoś silnego cowboya, który by cię bronił od napaści Lessa Settera.

— Mateczko! — zawołała Ina ze zdziwieniem.

— Może nie jest to zbyt mądre, co mówię, Ino, jestem bowiem kobietą zupełnie niewykształconą, jak twierdzi matka młodego McAdama; nie dbam jednak o to, co o mnie mówią. Uważam, że pieniądze nie są wszystkim, wszakże przyzwyczajona jestem i do gorszych warunków. Wkrótce odważę się powiedzieć ojcu, co myślę o jego całym postępowaniu.

Całe poobiedzie niedzielne przepędziła Ina w swym hamaku, czytając i drzemiąc na przemian. Samotność przerwał jej jeden z cowboyów, który przyniósł wiadomość, że mr Blaine prosi Inę do swego biura. Dziewczyna niechętnie wstała z hamaka i udała się z cowboyem w kierunku mieszkalnych budynków zagrody, z których w jednym urządzono sypialnię mr Blaine’a i zarazem jego biuro. Pokój biurowy był niezwykle widny i

przyjemny, przypominający zewnętrznym wyglądem gabinet ojca na farmie w Tule Lake.

W biurze nie było nikogo i Ina miała czas oglądać z podziwem wielkie stosy dokumentów i listów, poniewierających się na kilku ogromnych biurkach. Przyszło jej na myśl, że proponowała niejednokrotnie ojcu, aby powierzył jej prowadzenie swych ksiąg handlowych, lecz za każdym razem spotykała się z odmową. Po prostu buchalter był mu niepotrzebny. Patrząc teraz na stosy różnych dokumentów, Ina zastanawiała się nad tym, dlaczego ojciec lękał się mieć ją u siebie w biurze... Usłyszała przed domem tętent końskich kopyt. Przez okno zobaczyła Lessa Settera i trzech cowboyów, zbliżających się do zabudowań zagrody; ojciec również ukazał się przed domem. Setter powitał go wesoło i zdecydowanym skinieniem ręki odesłał cowboyów do dalszych zabudowań; zsiadłszy z siodła, towarzyszył mr Blaine'owi do drzwi budynku. Przystanęli na chwilę pod samym oknem, a Ina, siedząc spokojnie w kącie pokoju, mogła z łatwością słyszeć całą ich rozmowę.

— ...dwadzieścia najpiękniejszych okazów umknęło — opowiadał Setter z entuzjazmem. — Widocznie Ide opuścił pastwisko wczoraj wieczorem, jednakże w domu nie było go również, bowiem drzwi jego chaty zastaliśmy zamknięte. Nie zniechęciło mnie to jednak, kazałem chłopcom wyważyć drzwi. Czysto tam u niego, jakby miał przy sobie kobietę...

— Jeżeli Bena Ide'a nie było w domu, nie mogliście z nim mówić o interesach — zauważył Blaine w zamyśleniu.

— Nie, lecz pojadę tam znowu i czekać będę, dopóki nie wróci — odparł Setter.

— Powtarzam jeszcze raz, że jestem stanowczo temu przeciwny.

— Wiem dobrze — odparł tamten z niezwykłą u niego cierpliwością. — Ale powiedzcie mi, dlaczego? Nie dawaliście mi jeszcze żadnych dobrych rad, ani też nie potrafiliście argumentować swego uporu.

— Argumentów nie mam żadnych, prócz tego, że znam jego ojca, Amos Ide'a.

— Nic mnie nie obchodzi Amos Ide, jak również i jego syn, Hart — zauważył chłodno Setter. — Ben Ide posiada klucz do tej doliny, która po pewnym czasie będzie miejscem niezwykłej wartości. Posiadając zagrodę jego i trzy tamte zagrody w okolicy Mule Deer Lake, będziemy mogli swobodnie kontrolować cały obszar aż po Srebrną Łąkę. Zaledwie trzydzieści mil od „Opuszczonej Rzeki". Jest to samo serce stepu. Wy, jako rancher, powinniście znać się na tym.

— Zbyt ciężko pracuję, aby się móc jeszcze zastanawiać nad rzeczami tego rodzaju — wtrącił Blaine sucho. — Zgadzam się z wami w zupełności, że można podwoić majątek, będąc właścicielem całego wybrzeża „Opuszczonej Rzeki".

— Majątek? Ależ to śmiechu warte — rzekł Setter szyderczo. — Ide odkrył źródło, które przedstawia Obecnie wartość milionów. Cowboye nasi twierdzą, że źródło to znajdowało się zawsze pod wodą. Gdyby Ide wiedział o wartości swego odkrycia, na pewno nie wspominałby o nim nikomu.

— Sądzę, że orientuje się jednakże, był bowiem zawsze niezwykle sprytnym chłopcem. Zdaje sobie również sprawę z przyszłości doliny i prawdopodobnie dlatego postawił się tak hardo swemu ojcu. Jeżeli tak jest, z pewnością nie zdołamy skłonić go do sprzedaży.

— Widzicie, Hart, to wy tylko mówicie o zakupieniu posiadłości tego chłopaka — rzekł Setter ironicznie. — Ja zaś nie mam zamiaru nakłaniać go do sprzedaży, po prostu wygna się go stąd. Pamiętacie, że powiedziałem wam, iż Ben Ide związany jest z tym opryszkiem Nevadą, którego znam doskonale. Ich polowania na dzikie konie są tylko pretekstem, ażeby zamydlić oczy opinii. Stary to kawał, który wszyscy dokładnie znają. Widziałem już takie rzeczy w Montanie, Arizonie i Nevadzie, jedynie w Kalifornii jest to czerni zupełnie nowe.

— Puste gadanie, Setter — rzekł Blaine posępnie.

— Tak, ale zupełnie naturalne — odparł tamten z naciskiem. — Plany moje zwykłem zawsze urzeczywistniać. Waszą powinnością jest przygotować gotówkę, jakiej potrzebować możemy, a ja postaram się o to, abyśmy mogli wykupić Simsa i jego sąsiadów. Reszta — głupstwo.

— Biedacy! Żal mi ich serdecznie. Dziwnie niechętnie przystępuję do tej transakcji. Wielu przyjaciół odeszło już przez to ode mnie, a moja żona patrzy się na nią również niezbyt przychylnie.

— Zdaję sobie dokładnie z tego wszystkiego sprawę, Blaine, a jednak upieram się stale przy swoim — rezonował Setter stanowczo. — Interes jest interesem. Biedakom tym byłoby jeszcze gorzej, gdyby nie znalazł się nikt, kto by chciał odkupić od nich zagrody. Gdy załatwimy sprawę wybrzeża „Opuszczonej Rzeki”, będziemy mogli zająć się resztą.

— Hm. Wszystko złożyło się naraz — mruknął Blaine. — Mam teraz moc do płacenia.

— Cóż takiego? — zapytał Setter ostro.

Obserwując przez okno rozmawiających, Ina zauważyła na twarzy wspólnika swego ojca blady rumieniec chwilowego zaniepokojenia. Człowiek ten przez całe życie nosił na twarzy maskę.

— Młody McAdam zjawił się dzisiaj tutaj — wyjaśniał Blaine. — Ubliżył Inie i dostał za to należną nauczkę, po prostu mu nawymyślała. Wówczas zwrócił się do mnie w bardzo niemiły sposób. Powiedziałem mu wszystko, co o nim myślę. Odjeżdżając, przysiągł, że zaskarży mnie do sądu. Muszę jutro udać się do Klamath i wypłacić staremu McAdamowi należne mu trzydzieści tysięcy. Nie wspominałem wam, że liczył on bardzo na małżeństwo Sewella z Iną. Przypuszczam, że odmowa dziewczyny zaskoczy starego McAdama ogromnie. Wziąłem od niego trzydzieści tysięcy na rachunek przyszłego związku młodych.

— Dlaczego nie powiedzieliście mi o tym wszystkim? — zapytał Setter sarkastycznie. — Nigdy bym na to nie pozwolił. Ten idiota, Sewell McAdam!... Gdybyście nawet sami zaaranżowali ten związek, byłbym stanowczo temu przeciwny.

— Istotnie? — zapytał zdziwiony Blaine.

— Na pewno bym temu zapobiegł.

— Głupstwa gadacie.

Odezwała się w tej chwili energia niezależności w duszy kalifornijskiego pioniera, połączona z pewną dozą niejasnego zaciekawienia. Inę odruch ten uradował bardziej, niż objawy dobroci ojca, skierowane kiedykolwiek w jej stronę.

— Nie ma o czym teraz mówić — dodał Less Setter, łagodniejszym już tonem. — Udział McAdama zostanie wycofany. Na szczęście pozbędziemy się go raz na zawsze.

— I ja tak sądzę, szkoda tylko, że wszystkie jego przedsięwzięcia finansuje po części Amos Ide. Niejednokrotnie proponowałem Ide'owi, aby przystąpił do naszej spółki.

— Nie martwcie się, Hart, i to się da zrobić. Ide bardziej jest od nas uzależniony, niż się sam tego spodziewa... Hallo! Cowboye wracają z Mule Deer Lake, dokąd ich posłałem o świcie. Hej, chłopcy!

Przywódca oddziału cowboyów odłączył się od swych towarzyszy i podjechał ku stojącym Setterowi i Blaine'owi.

— W Mule Deer Lake nie zastaliśmy nikogo — zaanonsował. — Widocznie susza wygnała ich; ani kropli wody. Całe okolice przepalone upałem. Napotkaliśmy kilka martwych stad i kilka jeleni, konających na drodze.

— Dziwne — mruknął Setter. — Wynieśli się... Oczywiście, trudno było rancherom pędzić dalej żywot bez wody. Przypuszczam, Blaine, że zastaniecie Simsa jutro w Hammell.

— Dobrze, zapytam o niego odparł Blaine, kierując się ku drzwiom budynku.

Gdy wszedł do biura, Ina siedziała w najodleglejszym kącie pokoju, zajęta na pozór czytaniem. Zdziwił się na jej widok.

— Przysyłałeś po mnie, ojcze — rzekła.

— Owszem. Zupełnie zapomniałem.

Wyglądał dziwnie zmęczony i zadumany; ogorzałą dłonią przygładził włosy, jak gdyby odganiając niesforne, dręczące go myśli.

— Ino, złe jesteście na mnie obydwie z matką — zaczął po chwili, jak gdyby czując potrzebę powiedzenia czegokolwiek. — Zdaniem waszym chciałem cię siłą połączyć z Sewellem McAdamem. W pierwszej chwili po twej odmowie miałem na myśli, że cała ta historia może zaważyć na szali małżeńskiego szczęścia Kate. Nieposłuszeństwo twoje przyprawiło mnie o formalny atak furii. Teraz pragnąłbym tylko wiedzieć, czy naprawdę zamyślasz uciec stąd i zostać kelnerką hotelową?

— Poważnie myślałam o tym, ojcze, mogłabym jednak znaleźć również inną jakąś pracę.

— Nie masz potrzeby myśleć o tym. Wstydzę się sam teraz swego porywu i starać się będę, aby i matka twoja zmieniła opluję swą o mnie. Przez całe życie pracuję przecież dla dobra mej rodziny, a nie dla siebie.

— Tak, wiem o tym, ojcze. Lecz matka, ja, Dall i Marvie wolelibyśmy raczej, uczucie twe, niż ciągle powiększający się majątek.

— Hm. I o tym już myślałem — szepnął w zadumie. — Ostatnio mam ciągle złe przeczucia. Jednej rzeczy nie zniósłbym tylko, gdybyś zawiodła me zaufanie.

Ina ucałowała ogorzały policzek ojca i małą swą rączkę złożyła na szerokim jego ramieniu.

— Zadowolony będziesz wówczas, gdy pewnego dnia dostrzeżesz właściwość mych poglądów... Ojcze, bogactwo zmieniło cię ogromnie i postawiło w dziwnej sytuacji, która dotychczas była dla ciebie zupełnie obca. Wszystko to przysparza ci tylko zmartwień.

— Boże, i tyś to zauważyła? Wszystkie te interesy skrócą mi życie z pewnością. Nie mam w tej chwili na myśli farmy ani stad, ale te wszelkie papiery, dokumenty i rachunki przyprawić mnie mogą o pomieszanie zmysłów. Gdyby nie Setter, straciłbym głowę już dawno.

— Ojcze, czy o wszystkich tych swoich interesach mówiłeś już kiedyś z jakimś dobrym adwokatem? — zapytała Ina z powagą.

— Absolutnie z nikim. Po cóż mam niepotrzebnie płacić adwokackie honoraria? Setter jest wystarczającym adwokatem dla mnie.

— Ale skąd wiesz, ojcze, że on jest uczciwy?

Mr Blaine spojrzał badawczo na córkę.

— Co takiego? Czy uczciwy? Nigdy nie myślałem o czymś podobnym. Setter, to tęga głowa. Mógłby mnie sprzedać z łatwością... Dziecko, skąd ci to przyszło do głowy?...

Rozmowę ich przerwał odgłos ciężkich kroków za drzwiami. Na progu ukazał się Setter; na widok Iny oczy jego zabłysły, a twarz rozjaśnił sympatyczny uśmiech, który uczynił go prawie ładnym w tej chwili. Zadowolenie jego zdawało się być zupełnie nie udane.

— Dzień dobry, Ino, zdziwiła mnie obecność pani — rzekł, witając się z nią. — Ojciec opowiadał mi, jak poradziła sobie pani z tym kretynem z Klamath. Dawno już chciałem załatwić się z nim w ten sam sposób.

— Przypuszczam, że ojciec jest również z tego zadowolony — odparła Ina nerwowo.

— Teraz starsi mężczyźni tacy, jak ja, będą mogli mieć szanse — rzekł Setter, ujmując pieszczotliwie obydwie jej dłonie. W jego uśmiechu była teraz niezwykła pewność zwycięstwa.

Ina nie ruszyła się z miejsca, unikając wzroku Settera; stojąc tak w uścisku wilgotnych dłoni tego znienawidzonego mężczyzny, obserwowała wyraz twarzy ojca. Widocznie wspólnik miał tak szalony wpływ na mr Blaine'a, że nie zauważył on nic zdrożnego w napastowaniu przezeń ukochanej córki.

Bez słowa Ina wysunęła się delikatnie z objęć Settera i wybiegła z pokoju. Szybkim krokiem skierowała się w stronę pobliskich namiotów, które wydały jej się teraz jedynym możliwym miejscem ucieczki. W duszy czuła się zupełnie bezbronna i zrezygnowana na wszystko. Nawet ojciec nie stanął w jej obronie. Jakże głęboki musiał być wpływ tamtego łotra! Less Setter był wszechpotężnym panem sytuacji. W umyśle Iny błysnęło przypomnienie niedawnych słów matki:

— Powinnam sobie znaleźć silnego cowboya, który by bronił mnie od napaści Lessa Settera — mamrotała półgłosem. — O, jakże to brzmi pięknie. Muszę sobie znaleźć takiego. Lecz jakże mogę, gdy — gdy kocham Bena Ide'a.

Przeszedł ją dziwnie chłodny dreszcz. Myśl niepewności zatargała dziecięcym prawie jej sercem. Ben Ide! Miłość! Pozostałości z czasów dzieciństwa. Naga prawda oślepiła ją teraz i zdawała się władać powoli każdym jej nerwem. Biegła szybko w kierunku namiotu, gdzieby mogła pozostać sam na sam ze swymi myślami. Nadeszła wreszcie chwila uprzytomnienia sobie, że uczucie do Bena Ide'a było naprawdę miłością.

— Ben! Ben! — szeptała, szlochając. — Mój Boże, dlaczego nie ma cię tu przy mnie!

Następnego dnia po południu, podczas nieobecności Settera w obozie, przeraził Inę widok wyłaniającego się z pośród zarośli Marviego na zapienionym, zziajanym kucyku. Wybiegła szybko z namiotu na spotkanie brata.

Marvie zeskoczył zręcznie z konia; twarz jego czerwona i spocona ze zmęczenia zaniepokoiła Inę i, nim jeszcze dziewczyna zdążyła zapytać o cośkolwiek, Marvie wybuchnął gorączkowo:

— Och, Ino! — nie mogę złapać tchu. Pędziłem tu, aby wyprzedzić tamtych... Ojciec myślał, że zwariowałem, gdy przejeżdżałem koło niego. Zabiłby mnie na pewno, gdyby mnie mógł schwytać. Oczywiście, uciekłem... Byłem u Bena Ide'a, gdy przybył tam Setter. Jeżeli dowiesz się wszystkiego, Ino, zemdlejesz na pewno, lecz nie każ mi teraz opowiadać. Sama dowiesz się po powrocie Settera. A teraz biegnij, szybko do ojca.

Kierując się w stronę budynków zagrody, Ina słyszała jeszcze za sobą wołanie Marviego:

— Mam nadzieję, że ojciec zapomni o mnie, skoro ty tam będziesz...

Biegnąc ku zagrodzie, dziewczyna nie mogła się opędzić najrozmaitszym sprzecznym przypuszczeniom; lakoniczne i niezrozumiałe słowa Marviego zaciekawiały ją i niepokoiły zarazem. Co się stało z Setterem? A co z Benem Idem? Gdy u bramy zagrody ujrzała Settera w towarzystwie trzech cowboyów, przyśpieszyła jeszcze kroku. Zastała ojca, stojącego z kilku ludźmi przed drzwiami biura, zaciekawionego widocznie powrotem wspólnika.

— Gdzie ten łobuz Marvie? — zapytał na widok Iny niecierpliwie.

— Przypuszczam, że schronił się w namiocie matki — odparła Ina.

— Nie uchroni go to przed karą... Raz muszę go nauczyć.

— Co się stało, ojcze? — zapytała Ina, dostrzegając tajemnicze uśmiechy służby.

— Przejechał tędy, jak wicher, i nie chciał zatrzymać się, gdy go wołałem — odparł mr Blaine. — Sądzę, że wie coś o Setterze, nie mogłem się jednak niczego od niego dowiedzieć. Nigdy dotąd nie był taki gwałtowny. Im starszy, tym bardziej dziki się staje. Muszę go koniecznie nieco utemperować.

— Zaczekaj, ojcze, dopóki nie dowiesz się o wszystkim dokładnie. Marvie był strasznie podniecony, przypuszczam, że na wybrzeżu „Opuszczonej Rzeki" stoczono walkę.

— Walkę?... No, no! — zawołał, a twarz jego oblała się nagłym rumieńcem. — Ostrzegałem Settera, aby był ostrożny.

Jeden z ludzi wskazał na drogę, którą przybliżał się niewielki oddział.

— Zauważcie, że Bill Snead trzyma na siodle Settera.

Mrucząc coś pod nosem, Blaine począł iść na spotkanie przybywających. Bystre oko Iny dostrzegło niecierpliwe gesty Settera, wskazujące na to, że pragnął on w tej chwili uniknąć spotkania z ludźmi. Nie zważając na to, Blaine podbiegł ku niemu; Ina postępowała tuż za ojcem. Czterej jeźdźcy zatrzymali się przed budynkiem.

— Co się wam stało, u licha? — wykrzyknął Blaine, cofając się nagle w przerażeniu.

Setter nie miał na sobie bluzy, a jego biała koszula, podarta na strzępy, przesiąknięta była krwią i błotem. Ina z trudnością mogła rozpoznać jego zsiniałą i okrutnie okaleczoną twarz. Setter spoglądał po obecnych z furią. Jego usta były nabrzmiałe i ociekłe zastygłą już krwią.

Po pierwszym ponurym powitaniu Setter począł pośpiesznie mówić:

— Ide i jego ludzie pobili mnie.

— Co takiego? — wykrzyknął Blaine z zapartym oddechem.

— Odebrali mi broń i rzucili się wszyscy na mnie— rzekł Setter z bolesnym grymasem twarzy. Widocznie ból z odniesionych ran dawał mu się dotkliwie we znaki.

— Przeklęte rzezimieszki. Należy to pomścić! — wykrzyknął Blaine. — Strobel będzie miał nową robotę. Dlaczego jednak moi cowboye was nie bronili?

Jeden z cowboyów drgnął na siodle. Ina poznała jasną, szczerą twarz Billa Sneeda, wiernego towarzysza Marviego. Wzniósł on w tej chwili rękę w górę, jakby na znak protestu, jego błękitne oczy zapłonęły niesamowitym blaskiem. Widok tego chłopca pobudził szybsze krążenie krwi w żyłach podekscytowanej Iny.

— Mówcie prawdę, Setter — rzekł Bill surowo.

— Milczeć, bo zabiję! — wykrzyknął Setter.

— Zabić wam nie wolno — odparł Sneed ze wstrętem. — Nie wolno wam zabić mnie, powiadam. Podziękuję za służbę, lecz przedtem muszę wyjawić całą prawdę.

— Więc jesteś w zmowie z Benem Idem, co? — syknął Less Setter, siniejąc z gniewu. — Załatwię się z wami potem. — Ostatkiem sił powlókł się do drzwi swego szałasu.

— Bill, Setter jest moim wspólnikiem, ale nie mogę odpowiadać za jego czyny — rzekł mr Blaine, spoglądając na oburzonego cowboya.

— Wszystko jedno, dziękuję panu za służbę, mr Blaine. Nigdy bym nie stanął w obronie takiego człowieka, jak Setter.

— Służysz przecież u mnie, a nie u Settera, Bill. Chciałbym od ciebie usłyszeć całą prawdę.

— Setter zaofiarował nam, cowboyom, po sto dolarów każdemu za to, jeżeli twierdzić będziemy, że Ben napadł nań ze swymi ludźmi. Działo się jednak inaczej, Ben bowiem sam z nim walczył i, oczywiście, zwyciężył.

— I cóż dalej?

Sneed wyprostował się na siodle, aby zaczerpnąć powietrza. Przyjemność mu snadź sprawiało, że słuchano słów jego z uwagą.

— Przybyliśmy nad „Opuszczoną Rzekę” koło południa — rozpoczął swe opowiadanie. — Ben Ide był w domu ze swoim Indianinem i zaprosił nas gościnnie do wnętrza, mówiąc, że wspólnik jego wyruszył do Lodowych

Pieczar, gdzie znajdowało się stado złowionych niedawno koni. Po skończonym posiłku udaliśmy się na obserwację jego stada, które składało się z wyjątkowo pięknych okazów. Nawet Setter był zachwycony końmi. Nagle zwrócił się on do Bena ze słowami: „Mój wspólnik, Blaine, chce was wykupić, jak zresztą Simsa i jego sąsiadów; możecie również odprzedać mu konie”. Ben spojrzał na niego ze zdziwieniem i odparł spokojnie, że nie myślał nigdy o sprzedaży, a co do Simsa i jego sąsiadów, to zagrody te dawno już on sam zakupił.

Sneed przerwał na chwilę swe opowiadanie i wybuchnął głośnym śmiechem.

— Trzeba było zobaczyć posiniałą ze złości twarz Settera, mr Blaine; zbliżył się do Bena i syknął: „Musicie sprzedać, albo zostaniecie stąd wygnani!” Ben zapytał znowu, kto właściwie miał prawo wypędzić go z własnej jego zagrody, wówczas Setter zaklął się na Boga, że on jeden jest w możności to uczynić. „Wiem, że te wszystkie wasze połowy koni są tylko pretekstem”. Ben pobladł nagle i zapytał ostro: „Co rozumiecie pod słowem „pretekst”?...” „Przyjmijcie lepiej, Ide, propozycję Blaine’a”, rzekł znowu Setter. Coś w gardle Bena zacharczało. „Przede wszystkim muszę wam odpowiedzieć na waszą obelgę”, szepnął. Setter obrzucił go szeregiem obelżywych słów i rozpoczęła się walka, podczas której Ben wyrwał mu broń z ręki. Byłem pewien, że zabije nią Settera, lecz on odrzucił broń daleko od siebie i walczył z nim na gołe pięści... To wszystko, sir, co widziałem, cowboye mogą potwierdzić prawdziwość moich słów.

Mr. Blaine stał, z głową nisko opuszczoną na piersi.

— Dobrze, Bill, przyjmuję słowa twoje do wiadomości i ogromnie zadowolony będę, gdy zmienisz zdanie i zostaniesz u mnie na służbie.

— Dziękuję, sir, pomyślę o tym — odparł Sneed półgłosem.

Ina weszła z ojcem do biura. Zdawał się być niezwykle wstrząśnięty opowiadaniem cowboya.

— Zdaje mi się, Ino, że kolacja jeszcze nie gotowa, więc będę mógł rozprawić się przedtem, z Marviem — szepnął mr Blaine.

— O, nie bij go, ojcze. Nic dziwnego, że był taki podniecony, był bowiem świadkiem całej walki.

— Hm! I ty dziczejesz powoli — odparł ojciec Iny z wyrazem niezadowolenia. — Nie powinienem był ci pozwolić na wysłuchanie opowiadania Billa. Prawdopodobnie Marvie przysłał cię tutaj, nieprawdaż?

— Tak, masz rację, ojcze — przyznała.

— I za to musi odpokutować. Pójdź, dziecko, cóż myślisz o tym wszystkim, coś słyszała przed chwilą?

— Bardzo ciekawa historia, ojcze, nie należy więc dziwić się biednemu Marviemu — rzekła Ina. — Sądzę, że i ciebie to zastanowiło?

— Co mianowicie? — zapytał półgłosem, zamykając drzwi biura i kierując się wraz z Iną w stronę namiotów.

— Chociażby sposób odnoszenia się Settera do Bena Ide’a — odparła.

— Nie znajduję tu powodu do zastanowienia.

— A sposób, z jakim Ben Ide się z nim załatwił?

— Nie można wierzyć wszystkiemu, co mówią cowboye — opierał się mr Blaine ze słabym uśmiechem.

— Och, ojcze! — Ina zagryzła wargi i zarumieniła się, jak piwonia. — A czy nie zastanawia cię, dlaczego Less Setter kłamie?

— Zostaw to. Lękam się o tym myśleć — wymamrotał stary rancher. — Zanadto jestem zaangażowany i związany z Setterem. Rozporządza on moimi tysiącami, których nie mógłbym teraz wycofać. Muszę więc postępować konsekwentnie dalej... A co do walki to przeczuwałem, że musi nastąpić i ostrzegałem Settera. Jedyne, co mnie zastanawia, jest to, że Ben Ide go nie zabił.

— Zdaje się, ojcze, że domyślam się, dlaczego tego nie uczynił — bąknęła Ina i zaraz odwróciła się od ojca, aby ukryć purpurowy rumieniec, występujący na jej twarzyczkę.

Jeszcze w samotnej ciszy namiotu dochodziły Inę rozpaczliwe wołania Marviego:

— Ojcze, daruj, mi ten jeden raz!

— Powinieneś być ukarany za to, żeś nie zatrzymał się na moje wołanie — brzmiał groźny głos mr Blaine'a.

Rozległ się odgłos silnych uderzeń, a potem cichsze już kwilenie chłopaka:

— Nigdy już tego nie uczynię — nigdy!...



Rozdział IX

Nieobecność mr Blaine'a, który wyjechał do Klamath, trwała cztery dni. W ciągu tego całego czasu mr Setter był dla wszystkich niewidzialny.

Karę ojca Marvie wziął sobie tak bardzo do serca, że postanowił kontynuować swe ukradkowe wycieczki na wybrzeża „Opuszczonej Rzeki". Korzystając z nieobecności ojca, począł namawiać Inę, aby wybrała się z nim razem do zagrody Bena Ide'a, nie podejrzewał jednak, że odmowa dziewczyny związana była z ciągłą niepewnością jej, co do uczucia Bena. Ina pragnęła nade wszystko zobaczyć choć na chwilę swego ukochanego, nie mogła się jednak zdobyć na odwiedzenie go nie otrzymawszy odeń ani słowa zaproszenia.

Po dniach czterech powrócił mr Blaine w towarzystwie szeryfa Strobela. Przyjazd przedstawiciela władzy dziwnie zaniepokoił Inę, przyczyniło się do tego również niezwykle surowe usposobienie ojca, co podsunęło Inie myśl, że coś ważnego musiało się stać w Klamath albo w Hammell. Skorzystawszy z krótkiego sam na sam ze Strobelem, panna Blaine postanowiła dokładnie go wybadać.

— Mr Strobel, czy zechciałby mi pan poświęcić chwilę czasu? — zapytała z sympatycznym uśmiechem, gdy pozostali sami w biurze jej ojca.

— Sprawi mi to niezwykłą przyjemność, miss Ino — odparł z dobrotliwym zainteresowaniem. — Wzbudzę przez to zazdrość w młodych cowboyach, którym na pewno zależy na uśmiechu pani.

— Chciałam z panem pomówić poważnie — szepnęła, spoglądając szczerze w jego jasno-szare oczy. — Przybycie pana tutaj zaniepokoiło mnie ogromnie. Czy ojciec pana tu sprowadził?

— Nie. Po prostu przybyłem na własne zaproszenie — odparł.

— Czy ojciec panu mówił o tej okrutnej walce? — ciągnęła dalej pośpiesznie.

— Tak, lecz dopiero podczas powrotnej drogi.

— Och — to mnie nieco uspokaja... Proszę mi powiedzieć, po co pan tu przybył?

— Widzi pani, miss Ino, okoliczni rancherowie z pani papą i Amosem Idem na czele postanowili wyśledzić bandę koniokradów. Wysłałem oddział wywiadowców w góry, a sam mam zamiar udać się w kierunku Srebrnej Łąki, dziwne bowiem mam przeczucie, że zastanę tam tych opryszków.

— Srebrna Łąka! Czy jest to w pobliżu Pieczar Lodowych?

— Nie. Srebrna Łąka leży w odległości czterdziestu mil od „Opuszczonej Rzeki". Pieczary Lodowe zaś są gdzieś na zachód od Tule Lake.

Przenikliwymi oczami obserwował teraz Inę z wyrazem niezwykłego zaufania; zdawał się być zaciekawiony, a jednocześnie nastrojony przyjaźnie w stosunku do tej dziewczyny.

— Mr Strobel, — zaczęła po chwili rezolutnie — Ben Ide był moim najserdeczniejszym szkolnym kolegą. Po powrocie do domu, po czterech latach mej nieobecności, dowiedziałam się, że jest on wygnańcem. Złe języki ludzkie uczyniły go nawet koniokradem. Straszna potwarz. Ben kocha życie swobodne, a szczególnie ukochał dzikie konie, pozostał jednak uczciwym nadal. Jestem tego pewna, mr Strobel. Nie przemawia przeze mnie w tej chwili naiwny, dziewczęcy sentyment... Rozmawiałam o tym z Benem i zawsze stać będę w jego obronie.

— No, no, miss Ino; okazuje się, że Ben ma jeszcze na świecie przyjaciół — odparł Strobel z dobrotliwym półuśmieszkiem.

W krótkich słowach opowiedziała Ina historię walki Bena z Setterem tak, jak słyszała ją z ust Billa Sneeda; zauważyła, że opowiadanie jej wywarło dość silne wrażenie na szeryfie.

— Ojciec pani trochę inaczej mi to opowiedział — zauważył Strobel z pozornym spokojem.

— Sama nie wiem dlaczego, lecz ja opowiadam panu słowo w słowo tak, jak sama to słyszałam. Setter będzie przysięgać, że Bill jest w zmowie z Benem, lecz Sneed do owego dnia walki nigdy nie widział Bena Ide'a. Jest bardzo uczciwym chłopcem i na nic się nie zdadzą szantaże Settera.

— O ile panią pojmuję, miss Ino, pragnie pani, abym został tajnym pani delegatem? — uśmiechnął się przyjaźnie.

Serce Iny zabiło żywiej po tym, co powiedział szeryf.

— Pragnę razem z panem wyświetlić tę sprawę — jeżeli mogłabym się na coś panu przydać — szepnęła z zapartym oddechem.

— No, to spróbujemy... Dumny jestem, że mam panią do pomocy, mam bowiem tę pewność, że to, co pani uczyni, uczyni pani dobrze. Sprytne kobiety intuicją swą muszą pobić najzdolniejszych mężczyzn. Prosiłbym teraz, aby zechciała mi pani powiedzieć wszystko, co wie pani o Lessie Setterze, zaznaczam, że każdy, najmniejszy nawet szczegół, ogromnie mnie interesuje.

— Bardzo chętnie — odparła Ina z zapałem. — Przede wszystkim pozwoli pan, że wypowiem własne swoje zdanie o tym człowieku. Less Setter jest z gruntu zły; wyczuwałam to jeszcze, zanim wiedziałam o nim cośkolwiek. Przez pewien czas napastował Hettie Ide, a potem amory swe skierował do mnie; skoro jednak zorientował się, że wszystkie jego usiłowania spełzną na niczym, zmienił taktykę i począł grubiańsko zaczepiać mnie przy każdej nadarzającej się okazji, po prostu korzystał z każdej chwili, gdy byłam sama.

— Miss Ino! — zawołał szeryf z oburzeniem. — Więc ten łotr naprawdę panią napastował?

— Mój drogi mr Strobel — odparła Ina zniecierpliwiona nieco. — Mówię z panem w tej chwili zupełnie szczerze. Grubiańskie jego napastowania powtarzały się kilkakrotnie, na szczęście jednak zawsze zdołałam mu się wymknąć.

Na samą myśl o Setterze twarzyczka Iny zapłonęła szczerym oburzeniem; poczęła oddychać szybko i bez tchu prawie mówiła dalej:

— Stosunek Lessa Settera do mnie zmienił się potem nieco. Mam wrażenie, że pewnego pięknego dnia zaproponuje mi nawet małżeństwo, o czym prawdopodobnie dotychczas nigdy nawet nie myślał. Najważniejszą jednak kwestią dla mnie jest stosunek jego do mego ojca. Jak panu wiadomo, papa wzbogacił się dość szybko i pieniądze przewróciły mu w głowie. Dokładnie zna on jedynie rolnictwo, lecz jednocześnie jest ogromnym entuzjastą, z czego oczywiście skorzystał Setter. Wciągnął ojca do swych interesów, z których prawdopodobnie on ma zysk największy. Mam dziwne wrażenie, że te wszystkie interesy Settera nie mają nic wspólnego z uczciwością i prędzej, czy później ojciec pokutować będzie za to, że dał się uwieść namowom tego łotra. Mając tak wielki wpływ na papę Less Setter postanowił zmusić go do tego, abym za niego wyszła.

— Komiczna byłaby historia, nieprawdaż? — zaśmiał się wesoło Strobel.

Przejęta beztroskim jego humorem i Ina poczęła się wesoło śmiać.

— Wdzięczny jestem pani, miss Ino, za parę tych ważnych dla mnie informacji — rzekł po chwili Strobel. — Łatwiej mi teraz będzie pracować na tym polu. Dzielna z pani dziewczyna. Będę bronić teraz raczej interesów Bena, niż ojca pani.

Zadowolenie malowało się na jego szczerej, otwartej twarzy; w duszy Iny zbudziła się obawa, że może nie będzie mogła podołać obowiązkom, nałożonym na nią przez szeryfa.

— Czy nie polega pan na mnie zbytnio? — zapytała lękliwie.

— Nie obawiam się tego, dzielność pani maluje się na jej twarzy — odparł z powagą. — Przypuszczam, że tego lata będę mieć dużo pracy, a wszystko to dzięki Amosowi Ide’owi, pani ojcu i Setterowi. Postanowiłem bronić Bena, którego własny nawet ojciec pragnąłby wypędzić z Kalifornii. Wszystkie moje usiłowania pójdą w kierunku wykrycia prawdziwej bandy koniokradów.

Po krótkiej chwili milczenia szeryf Strobel począł mówić dziwnie łagodnym i przyciszonym głosem:

— Proszę się nie dziwić, miss Ino, że sprawa ta tak mi leży na sercu. Znam Bena Ide’a od dziecka. Razem łowiliśmy ryby i głowę dałbym za jego uczciwość.

Następnego dnia szeryf Strobel wyruszył w kierunku „Opuszczonej Rzeki”; prawdopodobnie postanowił odwiedzić Bena Ide’a. Myśl ta cieszyła Inę i martwiła zarazem, lękała się bowiem, że Strobel w trakcie rozmowy mógł powiedzieć coś niecoś Benowi o jej niezwykłym zainteresowaniu się nim. Nie powinna była zbytnio nadużywać swej szczerości względem tego człowieka, bo przecież nie miała żadnej pewności, że Ben Ide darzy ją jakimkolwiek uczuciem.

Nad wieczorem Marvie przyniósł całe mnóstwo nowin, które powinny były uradować ją niezmiernie.

— Setter wyjechał do Klamath — anonsował chłopak z niezwykłym zadowoleniem. — Słyszałem, jak mówił, że wyjeżdża na tydzień za

interesami. Bill Sneed twierdzi, że pojechał do dentysty, aby wprawił mu wybite przez Bena Ide'a zęby.

Według twierdzeń Marviego, któremu wszystkie nowiny powtarzali cowboye ojca, Ben Ide powrócił znowu do swej zagrody, gdzie zamierzał dłużej pozostać.

— Jak tylko ojciec wyjedzie, natychmiast jadę do Bena — szeptał Marvie. — Czy nie wiesz nic o wyjeździe ojca, siostrzyczko?

— Nie mam pojęcia — odparła Ina, spoglądając na brata z zaciekawieniem. — Dokąd jedzie i kiedy?

— Cowboye powiadają, że jutro. Zamierzam wstać o świcie i wyruszyć, nim ojciec jeszcze się przebudzi. Podobno wyjeżdża z niewielkim oddziałem cowboyów do jednej z nowo zakupionych zagród w pobliżu Srebrnej Łąki. Dużo mówi się o tym w obozie, lecz najciekawsze jest to, że wszyscy milkną od razu, gdy ja się nagle zjawiam.

— Dlaczegóż nie starasz się podsłuchać rozmowy, będąc niewidzianym przez nikogo? — zapytała Ina.

— Zapominam po prostu. Wiesz, Ino, cudowną rzeczą byłoby, gdybyś pojechała ze mną do „Opuszczonej Rzeki" — rzekł Marvie prawie szeptem.

— Och, Marvie! — wymamrotała Ina. — Nie wolno mi nawet o tym myśleć.

— Nie rozumiem dlaczego? — oburzył się chłopak. — Czy boisz się Settera?

— Nie ma on z tym nic wspólnego — odparła Ina. — Nie, Marvie, nie mogę.

— A obiecałaś mi kiedyś. Cóż ci się znowu stało? Ben na pewno by się ogromnie ucieszył i pokazałby nam źródełko, o którym cowboye tyle mi naopowiadali. Nikt nas nie zobaczy, a ojciec nigdy się o naszej wycieczce nie dowie... Jakżebym chciał, żebyś pojechała ze mną, Ino.

Czuła się dziwnie słaba i bezbronna; na pewno Marvie nie nalegałby tak, gdyby wiedział, co działo się w jej duszy.

— Dobrze, pojadę, ale kiedy indziej, w każdym razie nie jutro — odparła, aby się pozbyć raz na zawsze nalegań chłopaka. Jakże szczęśliwa była, gdy odszedł wreszcie i pozostawił ją samą. Mogła położyć się w swym hamaku i myśleć o wszystkim, co było tak dalekie, a jednak dziwnie dla niej drogie.

Niedługo jednak leżała spokojnie; tego dnia dziwnie nie mogła sobie znaleźć miejsca. Poczęła przechadzać się dokoła grubego pnia jałowca, zajęta niewesołymi myślami, aż wreszcie wolnym krokiem skierowała się ku wybrzeżu wyschniętego jeziora, gdzie zajęła miejsce pod swą ulubioną, rozłożystą sosną. Była zadowolona, że dzięki gęstym zaroślom nikt z obozu nie mógł jej tu dojrzeć.

— Nie mogę jechać do „Opuszczonej Rzeki" — szeptała sama do siebie — a pragnęłabym ogromnie zobaczyć Bena — o jakżebym pragnęła!... Kocham go. A może on nie kocha mnie wcale? Na pewno serce moje wyczułoby jakiekolwiek w jego duszy dla mnie uczucie... nie powinnam więc jechać tam, choć zawsze będę stawać w jego obronie.

Następnego dnia powtórzyły się znowu namowy Marviego, aby Ina pojechała z nim nad brzeg „Opuszczonej Rzeki”. Rozmowy z bratem poczęły dziewczynę po prostu niecierpliwić.

— Jakiż ja byłem głupi, myśląc, że naprawdę lubisz Bena — ironizował Marvie. — Masz rację, zostań w domu i baw się z Dall. Nie jesteś dobrą kompanką dla mężczyzn. Co minutę zmieniasz zdanie. Pojadę sam i powiem Benowi to, co będę uważał za stosowne.

Twarz Iny spłonęła rumieńcem niepokoju.

— Ani mi się waż! — zawołała.

— Aha! Więc robisz się coraz bardziej tajemnicza — ciągnął dalej chłopak. — Jeszcze gotowaś naskarżyć na mnie ojcu.

— Na pewno uczynię to, jeżeli nie obiecasz mi, że nic tam mówić nie będziesz — rzekła Ina, korzystając z niezwykłej sposobności obawy chłopaka przed ojcem.

— All right, obiecuję, że powiem tylko to, co ty zechcesz — skapitulował Marvie. — Nie mogę przecież pojechać do Bena i nie powiedzieć mu ani słowa.

— Dlaczego nie możesz?

— Dlatego, że chcę Benowi cośkolwiek powiedzieć; przecież jesteśmy jego sojusznikami, a on wie o tym. Czyż nie wyczuł tego wówczas, gdyśmy spotkali jego i Hettie Ide? Czy chciałabyś martwić go jeszcze bardziej? Pamiętasz przecież tę wspaniałą walkę z Setterem. Przypuszczam, że należałoby mu powiedzieć o wszystkim, co się działo potem.

— Zaczekaj Marvie — szepnęła Ina, przyznając bratu słuszność. — Naturalnie, Ben Ide mógłby źle zrozumieć milczenie. Powinna przesłać mu jakąkolwiek wiadomość od siebie, aby nie stracił zaufania w jej przyjaźń. Ale co mu miała powiedzieć? Należałoby pomyśleć nad tym nieco, a tu Marvie stał nad nią w przedwyjezdnym pośpiechu.

— Oddaj Benowi ode mnie ukłony — szepnęła. — Powiedz mu, że zadowolona jestem ogromnie od chwili, jak się dowiedziałam o ostatnim jego polowaniu. Powiedz mu, że szeryf Strobel... a właściwie nic mu o tym nie mów...

— No, i nic więcej? — zapytał Marvie zdziwiony. — Uważam, że to stanowczo za mało!

— Idź już, ty mały szatanie! — zawołała niecierpliwie. — Powiedz Benowi, że szczęśliwa byłam, ujrzawszy Settera po walce i dowiedziawszy się, kto go tak urządził. Powiedz mu jeszcze... że pragnę go widzieć... — ostatnie słowa wymówiła niedosłyszalnym prawie szeptem.

— Teraz rozumiem, siostrzyczko — odparł Marvie, a twarz mu się rozjaśniła radością. — Jestem pewien, że pojedziesz tam ze mną kiedyś. A teraz, ruszam co tchu.

Po oddaleniu się Marviego ogarnęła ją dziwna, beztroska radość i znowu wyruszyła na ulubione swe miejsce pod rozłożystą sosnę. W pewnej chwili zauważyła w oddali przybliżającego się ku niej jeźdźca. Była pewna, że cowboye nigdy nie jeździli tą drogą, któż więc mógł być tym tajemniczym nieznajomym? Po chwili jeździec stanął tuż przed nią i zręcznie zeskoczył z siodła. Był to wysoki, smukły chłopak o szerokich

ramionach, opalony, jak Indianin, tylko oczy jego błyszczały wrodzoną inteligencją. Prawdopodobnie musiał to być przyjaciel Bena, którego Ina znała tylko z opowiadań Hettie.

— Czy mam przyjemność z miss Iną Blaine? — odezwał się śpiewnym akcentem południowca. Uchylił grzecznie sombrero i skłonił się głęboko dziewczynie. — Jestem szczęśliwy, że spotkałem panią tutaj.

— Nevada! — zawołała Ina. — Jest pan przyjacielem Bena Ide'a. Poznałam pana od razu.

— Okazuje się, że oboje znaliśmy się doskonale, nie widząc się nigdy. Zupełnie to zresztą zrozumiałe: przyjaciel Bena i jego dziewczyna.

— O, jakże się cieszę, że pana widzę — szepnęła Ina, rumieniąc się nagle.

— I ja również, miss Ino — rzekł, ściskając serdecznie drobną jej dłoń.

— Czy przybył pan, aby się ze mną zobaczyć? — zapytała.

— Tak.

— Czy nie spotkał pan po drodze mego braciszka, Marviego, który wyruszył dziś rano do „Opuszczonej Rzeki"?

— Nie. Nie jechałem bowiem zwykłym traktem.

— Czy... czy Ben pana tu przysłał? — wyszeptała pośpiesznie.

— Muszę przyznać, że nie. Ben zabiłby mnie, gdyby wiedział, że tu jestem.

— Czy wszystko w porządku tam, nad „Opuszczoną Rzeką"? — zapytała znów Ina z pewnego rodzaju rezerwą. Serce zaczęło jej bić żywiej.

— Wszystko w należytym porządku i mam nadzieję, że z każdym dniem będzie lepiej.

— Czy Strobel was odwiedził?

— Całą noc był z nami i nigdy bym nie powiedział, że jest on szeryfem.

— Czy wspominał coś o mnie?

— Muszę przyznać, że tak. Zasadniczo przez cały czas mówiono tylko o pani.

Serce Iny na chwilę zupełnie bić przestało.

— I cóż takiego mówił? — zdobyła się na nieśmiałe zapytanie.

— Właściwie, to była wina Bena, że Strobel mówił tak wiele — odparł Nevada z uśmiechem, który spowodował nowy rumieniec na twarzyczce Iny. — Strobel chciał raczej mówić o koniach i różnych innych sprawach, lecz Ben nie dawał mu spokoju. Ciągle dopytywał o panią. Wówczas Strobel począł opowiadać mu o pani dzielności i niezwykłej odwadze. „Wiedziała, że przybył pan tutaj i nie przysłała mi ani słowa?" rzekł Ben posępnie. A Strobel odparł: „Ben, mówiła o was tak dużo, że powinniście być z tego zadowoleni". Wówczas Ben nieznacznie uronił łzę. „Zawsze wiedziałem, że można liczyć na Inę Blaine", rzekł.

Podczas opowiadania Nevady Ina zorientowała się dopiero, jak bardzo uradowało ją jego przybycie.

— Usiądźmy tam w cieniu — zaproponowała swobodnie. — Sama poprowadzę pańskiego konia. O, jakiż to piękny wierzchowiec. Musi być szalenie dziki, patrzy mu to z oczu. Nie boi się mnie, bo wie, że mu krzywdy nie wyrządzę.

— Ciekaw jestem, co pani powie, gdy zobaczy pani Czerwonego Mustanga — odparł Nevada. — Jest on istotnie niezwykłym okazem, a w tym jeszcze roku należeć on będzie do pani.

— O, więc Ben wie o obietnicy mego ojca? — zapytała Ina.

— Przypuszczam, że tak. Przysiągł sobie, że jeżeli zdoła schwytać Czerwonego Mustanga, nikomu go nie sprzeda, a ofiaruje go pani.

— Niezbyt to dobry interes dla biednego łowcy dzikich koni — zauważyła Ina z uśmiechem. — Niech pan powie Benowi, że lepiej byłoby, gdyby ojciec mój dotrzymał swej obietnicy.

— Chcąc zawieźć Benowi jakiejkolwiek wiadomości, muszę się przyznać, że tu byłem — szepnął Nevada.

— Nevada, przypuszczam, że nie przybył pan tutaj tytko z prostej ciekawości ujrzenia mnie? — zapytała Ina, zastanawiając się teraz nad dziwną przyczyną wizyty cowboya.

— Przysięgam, że nie. Ale muszę przyznać, że ciekawy byłem poznać panią.

— Może pragnął pan dowiedzieć się czegoś o Hettie? — szepnęła nieśmiało.

Teraz z kolei Nevada spłonął purpurowym rumieńcem.

— Owszem, ma pani rację, ale nie było to jedynym powodem moich dzisiejszych odwiedzin — zapewnił.

— Jestem zadowolona, że mogę powiedzieć panu cośkolwiek — rzekła Ina wesoło. — Widziałam Hettie przed dwoma tygodniami; rozmawiałam z nią bardzo długo. Była w doskonałym humorze, gdyż matka jej czuje się obecnie lepiej. Opowiadała mi dużo o panu. Lubi pana i wierzy w przyjaźń pańską do Bena. Wierzy również w to, że obydwaj jesteście uczciwi i że wszystkie te plotki są wierutnym kłamstwem. O, byłby pan zarozumiały, gdybym chciała powiedzieć panu wszystko.

Radość rozjaśniła ogorzałą twarz cowboya.

— Mój Boże! Gdybym mógł tylko zapomnieć o przeszłości i pamiętać o tym, co jest teraz! — zawołał.

— Nevada, powinien pan był już dawno skończyć z przeszłością — odezwała się Ina łagodnie.

— Gdyby nawet ta przeszłość była pasmem złych uczynków?

— Tak. Nawet wtedy.

— Czy byłbym kiedyś godny Hettie? — zapytał z powagą.

— Z pewnością. Powinien się pan tylko starać, aby z uczynków pańskich była zadowolona, a wówczas stanie się jej pan godny.

— Kocham ją — rzekł, zasłaniając twarz dłońmi. W pozycji tej pozostawał przez dłuższą chwilę, a gdy wreszcie twarz odsłonił, był już znowu zupełnie spokojny i zrównoważony. — Właściwie nie powinienem mówić o sobie, ale to przecież nic złego, jestem nawet zadowolony, że zna pani moje uczucia. Nie byłoby źle również, gdyby znała pani uczucia Bena.

— A jakież one są? — zapytała Ina, tamując oddech.

— Ben umiera z miłości do pani.

— Ben!... Umiera? Och, Nevada, pan jest — pan jest...

— Na pewno jestem. Lecz to, co mówię, jest szczerą prawdą. Ostatnio Ben sprawia wrażenie człowieka szalonego, po prostu oszalał na punkcie pani.

Ina zachwiała się, jak pod uderzeniem nieoczekiwanego ciosu; głowę wsparła bezsilnie o gruby pień sosny.

— Miss Ino, proszę mi wybaczyć mą szczerość — szepnął Nevada, dotykając delikatnie jej dłoni. Myliłem się może, lecz Hettie mówiła mi, że ma wrażenie, iż pani kocha Bena, że kochacie się podobno od dzieciństwa. Hettie miała tylko wrażenie, a ja teraz pewien jestem; dowiedziałem się całej prawdy od pani samej. Nie może mi pani zaprzeczyć, nieprawdaż?

— Tak, jest to szczera, okrutna prawda — wyszeptała Ina.

— Może być szczera, ale nie jest okrutna — odezwał się zmienionym nieco tonem, a głos jego drżał tajoną serdecznością. — Na pewno wkrótce połączy się pani z Benem, mam bowiem zamiar zabić tego łotra Lessa Settera...

— Nevada! — wykrzyknęła Ina, zrywając się na równe nogi. — Co pan mówi? Ależ to byłoby straszne.

— Usunięcie Settera byłoby szczęściem dla was obojga. Nie jest on dla mnie obcy, miss Ino; znaliśmy się jeszcze w Nevadzie. Ach, gdybym był nad „Opuszczoną Rzeką” wówczas, gdy Setter tam zawitał...

— Zasmuciłby pan Hettie Ide, Nevada — wtrąciła Ina.

Głowa cowboya opadła na piersi, lecz wkrótce odzyskał utraconą na chwilę równowagę.

— Z pewnością nie i to z dwóch przyczyn. Po pierwsze, Hettie nie dba o mnie zupełnie, a po drugie, nie sprawia jej różnicy to, co ja robię. Zresztą, gdyby nawet mnie kochała — Boże, jak trudno pomyśleć o takiej możliwości — na pewno by była zadowolona, że usunąłem ze świata jeszcze jednego łotra. Jestem pewien, miss Ino, że prawo i ludzka opinia szybko zapomną Settera i błogosławić będą rękę, która zgładziła go z tego świata. On z zimną krwią zastrzeliłby Bena wówczas, gdyby tylko mu się to udało.

— Więc chciał on zabić Bena, aby się go pozbyć? — zapytała Ina z drżeniem.

— Z pewnością. Jego szczęście, że mnie tam nie było. Lecz teraz obawiam się o Bena z innych zupełnie powodów. Potrafi on odeprzeć kulę, lecz nie potrafi odeprzeć miłości, a ta ostatnia omotała go zupełnie. Głównie w tym celu przybyłem tutaj. Musi pani coś poradzić, aby Bena uspokoić.

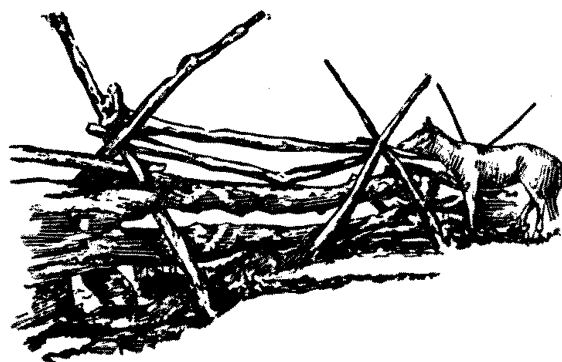
W milczeniu Ina wyciągnęła dłoń do cowboya.

— Proszę mu powiedzieć, aby przyjechał do mnie — wyszeptała.

— Niestety, nie wolno mi się zdradzić, że tu byłem odparł Nevada. — Musimy znaleźć inny jakiś sposób. Najlepiej byłoby, gdyby go tu przywiózł Marvie. A gdyby przybyła tu Hettie, pozwoli mi pani zobaczyć się z nią, nieprawdaż? Niech jej pani powie, że ją kocham i że będę bronić Bena do ostatniej kropli krwi. Przykra nasza sytuacja musi się wyjaśnić w najbliższym czasie. Może pani i o tym powiedzieć Hettie. Ciekaw jestem, jak na to zareaguje ojciec pani i mr Ide?... Walczymy dzielnie, miss Ino, i nie możemy być pokonani. Pani jedna może uratować Bena. Czy przyrzeka

pani to uczynić?

— Och, jaki pan dobry, Nevada! Niech pana Bóg błogosławi! — szeptała dziewczyna, ściskając obydwie jego dłonie. — Mogłabym już dzisiaj widzieć Bena, gdybym zgodziła się pojechać z Marviem nad brzeg „Opuszczonej Rzeki”.



Rozdział X

Podczas ostatnich kilku dni Ben Ide był niezwykle zdenerwowany i dziwnie nie mógł znaleźć sobie miejsca. Niesprzyjające okoliczności przysparzały mu ciągłych zmartwień, jak chociażby i dnia tego; Nevada wyjechał o świcie w niewiadomym kierunku i nawet Modoc nie umiał objaśnić Bena, dokąd cowboy wyruszył. Najbardziej wyprowadzała Bena z równowagi świadomość, że letni obóz Blaine'ów znajdował się w pobliżu.

— Modoc, czy przypadkiem Nevada nie pojechał do obozu? — zapytał Ben Indianina.

— Żadnych śladów nie zauważyłem na drodze. Trudno upilnować Nevadę. Zawsze czyni to, co sam zechce.

— Wyjazd jego szalenie mnie niepokoi — mruknął Ben. — Idź, Modoc i postaraj się odnaleźć ślady kopyt końskich.

Gdy Indianin wrócił po chwili, objaśnił, jak zwykle, lakonicznie Bena, że ślady kopyt zauważył tylko na ścieżce do rzeki, widocznie więc tamtędy Nevada postanowił skrócić sobie drogę.

— Ciekawa historia. Czyżby miał zamiar odwiedzić Hammell?

— Wziął najsłabszego wierzchowca — zauważył służący. — Wątpię więc, czy odważyłby się na tak długą podróż.

— Najprawdopodobniej nie. Zawsze darzył większą miłością swe konie, niż ludzi. Jestem pewien, Modoc, że udał się do obozu Blaine'a, a obrał tę drogę tylko dlatego, ażeby zmylić naszą czujność.

Indianin w milczeniu skinął potakująco głową.

— Wiesz, Modoc, — wykrzyknął nagle Ben — prawdopodobnie Nevada pojechał, aby zabić Lessa Settera; daj Boże, ażebym był złym prorokiem, mam jednak od paru dni złe jakieś przeczucia.

Twarz mu sposępniała na samą myśl o niebezpieczeństwie, w jakim mógł się w tej chwili znajdować najserdeczniejszy jego przyjaciel.

— Widzę kogoś na dradze! — zawołał nagle Indianin, wskazując w oddali drobny, nieznaczny prawie punkcik.

Po kilku chwilach ujrzeli na drodze tuman kurzu, z którego wyłoniła się postać konia i jeźdźca. Przez chwilę Ben był pewien, że to wraca Nevada i z nadzieją w duszy wbiegł do chatki po wielką połową lunetę. Przekonał się jednak szybko, że jeźdźcem, zbliżającym się w kierunku jego zagrody, był młody chłopak, cwałujący na niskim kucyku; widocznie przybywał jakiś posłaniec z obozu Blaine'a. Po upływie kilku minut rozpoznali obydwaj z Modocem małego Marviego.

— Jak się macie, Ben! — zawołał chłopak wesoło. — Nie miałem szczęścia zastać was dotychczas w domu, toteż postanowiłem przybyć tu raz jeszcze.

— Doskonale, chłopcze, oddaj Modocowi swego wierzchowca i odpocznij nieco — odparł Ben, zadowolony z niespodziewanej wizyty. — Dawno cię nie widziałem i niezmiernie rad jestem, żeś nie zapomniał o starym znajomym.

— Ja również — zawołał Marvie, spoglądając na Bena z wyrazem niemego uwielbienia.

— Bardzo pięknie z twój strony, żeś przyjechał. Dostaniesz za to na pamiątkę dzikiego rumaka, ażebyś podczas konnych przejażdżek pamiętał o Benie Ide. Zatrzymam go jeszcze u siebie, dopóki nie wyzbędzie się swej dzikości i stanie się odpowiedni i bezpieczny dla takiego młodego bohatera, jak ty.

— Więc macie naprawdę zamiar darować mi dzikiego wierzchowca? — wykrzyknął chłopak z radością.

— Oczywiście — uśmiechnął się Ben.

— A to będzie frajda! Przyjechałem tu do was, aby pójść wraz z wami na ryby. I nie miałem pojęcia, że czeka mnie tu tyle szczęścia!

— Teraz zejdź z siodła i obejrzyj ostatnie moje stado. Aha, widzę, żeś przywiózł z sobą wędkę. Pozwól, niech ją zobaczę... Nie jest ona zbyt mocna, Marvie, i stanowczo nie nada się do tutejszego połowu.

— No! — zdziwił się Marvie, spoglądając na Bena szeroko otwartymi oczami.

— Modoc, zajmij się, proszę, kucykiem Marviego — rozkazał Ben, zajmując miejsce na ganeczku i oglądając z uwagą długą wędkę, przywiezioną przez chłopca. — Zazwyczaj używam krótkiego wędziska, a za to bardzo długiej linki; przy tym musi być ona niezwykle mocna, tutejsze koryto bowiem przeważnie bywa błotniste, często więc zdarza się, że najgrubszą nawet linkę zamulona ryba oberwać może. Chyba, że chcesz zaryzykować?

— Ależ naturalnie. Po prostu powiem ojcu, że się zepsuła. Dostałem ją w roku zeszłym na gwiazdkę. Przypuszczam, że pożyczycie mi ewentualnie waszej wędki do dzisiejszego połowu?

— Zupełnie słusznie, aczkolwiek każdy szanujący się rybak powinien być przyzwyczajony do wędki i wędziska... Powiedz, Marvie, czyś nie spotkał przypadkiem wspólnika mego Nevady? Wyjechał dziś o świcie w zupełnie niewiadomym mi kierunku.

— Nie widziałem absolutnie nikogo, — odparł chłopak — a uważałem dokładnie, bojąc się kogoś niepowołanego na drodze.

— Co prawda, mam wrażenie, że nie pojechał on zwykłym traktem, a przeciął wyschłe koryto jeziora.

— Nevada? Czyżby miał zamiar udać się do naszego obozu? — zapytał Marvie z zaciekawieniem.

— Podejrzewamy go o to obydwaj z Modocem.

— Ale po co miałby się tam wybrać? Niejednokrotnie słyszałem rozmowę cowboyów o was i o Nevadzie. Nabrali do was zaufania od czasu, jak poturbowaliście Settera, Zaciekawieni są ostatnio niezwykle Nevadą; podobno on nietutejszy. Ale po co właściwie pojechał do obozu ojca?

— Nie jestem tego pewien, Marvie, lecz obawiam się, że to uczynił — odrzekł Ben, spoglądając szczerze w oczy chłopaka. Marvie przypominał

mu niezwykle starszą siostrę, toteż Ben z przyjemnością patrzał na młodziutką jego twarz. Chłopak sprawiał wrażenie miłe i zdawał się tęsknić za życiem takim, jakie prowadzili Ben i Nevada i prawdopodobnie dlatego młody Ide uczuł do niego sympatię od pierwszego wejrzenia. Zdawało mu się, że staje się lepszy i uczciwszy, przebywając w towarzystwie Marviego, był on teraz jedynym jego łącznikiem z Iną, aczkolwiek Ben nie był jeszcze pewien, czy może temu dzieciakowi zaufać.

— Prawdopodobnie obawiacie się, że Nevada lepiej załatwi się z Setterem, niż wy — oznajmił Marvie po chwili.

— Masz słuszność, synu — odparł Ben, ubawiony sprytem małego swego przyjaciela.

— Bill Sneed twierdzi, że Nevada na pewno nie darowałby życia Setterowi. Nie powinniście się jednak martwić o tego łotra, wyjechał bowiem on do Klamath, ażeby wprawić sobie tych kilka zębów, któreście mu wybili.

— Wyobrażam sobie, Marvie, jak wyglądał Setter po tej walce — zaśmiał się Ben.

— Człowiek ten wyprowadza mnie z równowagi — mruknął chłopak.

— Wyprowadza z równowagi? — powtórzył Ben ze zdziwieniem.

— Naturalnie. Nie podoba mi się stosunek jego do Iny — oznajmił chłopak z powagą. — Ojca otumanił zupełnie, jak mówią cowboye, a teraz...

— A teraz zwrócił się do Iny! — Blada twarz Bena spłonęła rumieńcem. — Nie, Marvie, mylisz się chyba...

— Mówię zupełnie serio — odparł Marvie z roziskrzonym wzrokiem. — Denerwuje mnie on okropnie. Pragnąłbym być już dorosły i silny... Ben, nie patrzcie tak na mnie, jakbyście byli na pogrzebie. Ina nienawidzi Settera, nienawidzi go tak, jak mój pies nie znosi kota. W danym wypadku nawet nalegania ojca nic by nie pomogły. A wiecie, co zrobiła McAdamowi? Ten idiota do spółki z ojcem myślał, że się z nią zaręczy. I wiecie, co uczyniła, gdy usiłował ją pocałować? Matka była, świadkiem całej tej sceny. Opowiedziała mi wszystko, wie bowiem doskonale, że nigdy nie lubiłem McAdama. I cóż wy na to, Ben?

— Ale powiedz, co uczyniła? — wybuchnął Ben.

— Po prostu nawymyślała mu i powiedziała, że nigdy więcej z nim mówić nie będzie. Odjechał do domu oburzony, a na drugi dzień ojciec wypłacił wszystko staremu McAdamowi, co był mu winien. Słyszałem potem, jak ojciec czynił Inie wymówki, wówczas ona przysięgła, że woli pracować w Hammell jako kelnerka hotelowa, niż zostać żoną McAdama. Widzicie teraz, Ben, jaką dzielną mam siostrę.

Zapadło milczenie, podczas którego Ben starał się unikać naiwnego wzroku Marviego.

— Ben, przecież i wy lubicie Inę, nieprawdaż? — ciągnął dalej Marvie poważnie tonem starszego brata i obrońcy.

Ben doszedł do wniosku, że najlepiej będzie powiedzieć temu chłopcu całą prawdę.

— Muszę przyznać, że tak — odparł bez uśmiechu.

— Takie miałem wrażenie — zawołał Marvie z zadowoleniem. Myślałem już o tym owej nocy, gdyśmy się spotkali z Hettie.

— Istotnie? — indagował Ben przerażony nieco. Pragnął teraz wiedzieć, jak Marvie zapatrywał się na tę sprawę.

— A czy ona wie, że ją lubicie, Ben? — szepnął znowu chłopak po chwili.

— Nie jestem pewien, Marvie, lecz przypuszczam, że nie wie — odparł Ben bezradnie.

— Lepiej było by, ażeby o tym wiedziała — zauważył chłopak. — Przeżywa teraz bardzo ciężkie chwile, starając się zwalczyć niemiły opór ojca. Poza tym te okropne niedziele, połączone z wizytami McAdama. Dzięki Bogu, że się to skończyło.

— Jesteś już dość dorosły, Marvie, abyś pojął, że nie mogę siostrze twojej mówić o takich rzeczach — rzekł Ben łagodnie. — Ojciec mój wyrzucił mnie z domu. Ludzie wierzą w to, że stałem się zwykłym koniokradem.

— Głupie plotki! — wybuchnął Marvie z oburzeniem. — Ina słyszała już o tym wszystkim i jestem pewien, że od tego czasu bardziej jeszcze was polubiła.

— Zdaje mi się, że jesteś w błędzie, synu — wymamrotał Ben, a głowa opadła mu na piersi.

— Jeżeli się mylę, całe postępowanie jej byłoby zwykłą komedią — odparł Marvie z błyskiem powagi w jasnych, chłopięcych oczach. — Mam jednak wrażenie, że się nie mylę. Czyż Ina przesyłałaby wam od siebie wiadomości, gdyby was nie lubiła?

— Wiadomości! Przez kogo? — zawołał Ben, zrywając się z miejsca.

— Przeze mnie, Benie Ide — oznajmił Marvie triumfalnie.

— Ach, ty mały głuptasie! Jesteś tu od dwóch godzin i nie wspomniałeś mi o tym ani słowem! Mów teraz prędko, bo gotów jestem jeszcze rozmyśleć się i cofnąć daną ci obietnicę, co do wspólnego połowu ryb i dzikiego wierzchowca, którego masz otrzymać ode mnie w upominku.

— Cierpliwości trochę — zawołał chłopak z tajemniczym uśmiechem. — Przykro mi tylko, że niewiele mam wam do powiedzenia. Ina przysyła wam serdeczne ukłony...

— I cóż więcej? — zawołał Ben niecierpliwie, gdy Marvie umilkł na chwilę dla zaczerpnięcia powietrza.

— Bardzo ucieszyła ją wiadomość o złowionym ostatnio stadzie.

— Mów dalej — szepnął Ben z mniejszym już zapałem, aczkolwiek w spojrzeniu jego tliła wątła iskierka nadziei.

— A co do walki waszej z Setterem i co do wyglądu jego, gdy wrócił, kazała wam powiedzieć...

Ben z trudem hamował się, ażeby nie zbić na kwaśne jabłko tego utrapionego malca.

— Co kazała powiedzieć? — nalegał.

— ...że nie posiadała się z radości.

Ben odetchnął głęboko i spojrzał z nienawiścią prawie w figlarnie błyszczące oczy Marviego. Czyżby ten chłopak zdolny był do jakichś kłamstw i blagi?

— Synu, jeżeli okłamujesz mnie, możesz skwitować od razu ze wspólnego ze mną połowu, z nadziei otrzymania wierzchowca i z całej mojej przyjaźni.

— Ależ ja mówię wam szczerą prawdę, Ben — zaprotestował Marvie pośpiesznie. — Ina sama mi to powiedziała, a poza tym kazała mi wam powiedzieć coś jeszcze.

— Na miłość Boską, mów! — zawołał Ben, tracąc cierpliwość.

— Na odjezdnym szepnęła mi do ucha: „powiedz Benowi, ażeby tu przyjechał”... i cóż wy na to, Benie Ide?

— Po prostu nie znajduję odpowiedzi, synu — uśmiechnął się blado Ben w obawie zdradzenia uczuć swych przed chłopcem. Bez słowa ujął chłopaka pod ramię i pociągnął go z sobą do stojącej tuż za chatką szopy, a potem na obszerne pastwisko. Niebiańska jakaś melodia dźwięczała mu w uszach; niebo zdawało się być jaśniejsze, niż kiedykolwiek dotychczas; niewinne, zda się, słowa Marviego przywróciły go znowu do życia i były dlań symbolem nieznanego szczęścia; delikatne obłoczki, błądzące po czystym lazurze, zdały się być złocistymi tronami bogów, którzy zapraszali go ku sobie do jasnej krainy szczęśliwości. Sam nie mógłby teraz wytłumaczyć tej nagłej zmiany, jaka zaszła w jego usposobieniu; zrodziło się w nim jedynie pragnienie pokochania wszystkiego, co go otaczało.

Gdy po kilku godzinach wrócili obydwaj z Marviem z niezwykle udanego połowu, Modoc, zajęty przygotowywaniem posiłku, z radością skonstatował, że młodemu jego panu humor poprawił się nadzwyczajnie. Nadeszła wreszcie godzina, gdy Marvie doszedł do wniosku, że najwyższy już czas wybrać się w powrotną drogę do obozu.

— Ben, wolałbym raczej zostać tu z wami na zawsze, niż dusić się w eleganckich pokojach w Tule Lake — zawołał, pochylając się z siodła ku Ide’owi. — Jestem pewien, że Ina również wolałaby takie życie — dodał szeptem prawie.

— Widzisz, chłopcze, dziewczęta mają zupełnie inne nawyknienia — odparł Ben, siląc się na spokój, aczkolwiek rad by w tej chwili skakać i tańczyć z radości. — Dla nas, mężczyzn, najważniejszą rzeczą jest swoboda, jazda wierzchem, polowanie i rybołówstwo. Natomiast dziewczęta lubią wygody, komfort, ludzi i zabawy.

— Możliwe, że są takie, ale nie Ina. Lubuje się ona w tym wszystkim, w czym my obydwaj się lubujemy. Zresztą, oszalała na waszym punkcie, Ben. Nie potrafi okłamać mnie, chociaż jest dziewczyną; doskonale orientuję się we wszystkim.

Podciął kucyka, pozostawiając Bena oniemiałego ze szczęścia i zdziwienia. Powolnym krokiem młodzieniec wszedł do chatki i na twardym swym tapczanie przepędził kilka godzin na spokojnym, radosnym rozmyślaniu. Nagle uszu jego dobiegł tętent kopyt końskich. Wyszedł z izby i dostrzegł zbliżającego się na koniu Nevadę; podczas ostatnich kilku godzin zapomniał zupełnie o nieobecnym przyjacielu, a teraz dopiero na jego widok wrócił dawny niepokój i zaciekawienie.

— Gdzieś był tak długo? — zapytał ostro, gdy Nevada przybliżył się do ganeczku.

— Witaj, Ben! Zdaje się, żeś miał towarzystwo? — zawołał Nevada z nonszalanckim uśmiechem. Zdawał się być jeszcze bardziej niż zwykle obojętny i rozleniwiony. Obojętność ta wyprowadzała zazwyczaj Bena z równowagi, bo sam może nie zdawał sobie dokładnie sprawy z tego, jak bardzo przywiązał się do oryginalnego i na pozór zimnego cowboya.

— Gdzieś był? — powtórzył niecierpliwie.

— Ja? Jeździłem sobie po okolicy — odparł Nevada, zsiadając wolno z wierzchowca.

— Gdzieś był, u licha? — wykrzyknął Ben. Beztroska wesołość przyjaciela irytowała go coraz bardziej.

Rozsiodławszy konia, Nevada zwrócił się do Bena z pełnym naiwności spojrzeniem.

— Ben, czy doprawdy tak się mną interesujesz?

— Oczywiście. I nie chciałbym się rozczarować na tobie — oznajmił Ben.

— Czas by już był najwyższy, abyś przestał być głuptasem.

— Przestań teraz, na miłość Boską, ze swymi morałami. Żądam od ciebie prawdy. Czyś wybrał się na poszukiwania Lessa Settera?

— Na nic by się to nie zdało Ben, Setter bowiem wyjechał, aby wprawić sobie nowe zęby, jak słyszałem.

— Odpowiedz mi, czyś pojechał, aby się z nim spotkać? Należało przecież wspomnieć mi o tym przed wyjazdem.

— Jeżeli mam być szczery, pard, absolutnie nie myślałem dzisiaj o tym łotrze!

— Czy nie okłamujesz mnie, Nevada?

— Jeżeli robię to, to tylko dla twego dobra.

— Wiesz wszystko o Setterze. Czy słyszałeś to od cowboyów?

— Naturalnie. Cowboye zawsze mówią prawdę. Wkrótce usłyszysz, Ben, o krwawej walce, która będzie miała miejsce między mną i Setterem.

Zazwyczaj w tego rodzaju rozmowach Nevada z niezwykłą szybkością przeskakiwał z tonu żartobliwego na tematy poważne.

— Byłeś jednak w nowym obozie Blaine'ów? — zapytał znowu Ben po chwili.

— Ben, dlaczego zaciekawia cię moja dzisiejsza wycieczka?

— Po prostu chcę wiedzieć, gdzie byłeś.

— Nie miałem nic do roboty, a chciałem wypróbować nowego mego wierzchowca, postanowiłem więc objechać sąsiednie farmy. Mimo woli skierowałem się do obozu Harta Blaine'a i bardzo mądrze uczyniłem. Wyobraź sobie, że zakupił on parę okolicznych zagród aż po Srebrną Łąkę.

— Kogo tam widziałeś? — nalegał niecierpliwie Ben.

— Przede wszystkim Marviego Blaine'a, którego spotkałem w powrotnej drodze. Bardzo miły chłopak. Widocznie przybył, ażeby cię odwiedzić.

— Tak — i kogo więcej?

— Miałem szczęście, Setter bowiem i Blaine wyjechali z obozu, mogłem więc zawrzeć znajomość z kilku ich cowboyami. Jak się zapatrujesz na to,

że Blaine wyruszył na południe z całą karawaną, obładowaną przeróżnymi sprzętami i zapasami żywności?

— Widocznie pragnie się tu zagospodarować.

— Zamierzam wybrać się w tę samą stronę jutro dla zorientowania się w sytuacji.

— Wszystko bardzo pięknie, ale kogo jeszcze widziałeś?

— Zdaje się, że nikogo więcej... Ach, tak, owszem, widziałem Inę Blaine. Poznałem ją od razu.

— Widziałeś Inę? — zawołał Ben uradowany. — Ale nie mówiłeś z nią chyba?

— Owszem, króciutką chwilę. Była szalenie miła i gdybym nie kochał się w Hettie, chętnie bym ci ją odbił. Cudowna dziewczyna! Nigdy dotychczas nie zdarzyło mi się spotkać tak oryginalnej urody. Rozumiem teraz doskonale, dlaczego podczas ostatnich tygodni nie jesz, nie śpisz i nie możesz pracować. Taka dziewczyna może przyprawić człowieka o pomieszanie zmysłów.

— Nevada, — zapytał Ben nieśmiało — czyś mówił coś z Iną o mnie?

— Zupełnie zrozumiałe. Nie przypuszczasz chyba, aby dziewczyna słuchała moich opowiadań o polowaniu na konie? Nie posądzasz mnie również, przypuszczam, abym nie skorzystał z tak niezwykłej okazji, która tak rzadko nadarzyć się może?

— Obawiam się jednak, że ty, Hettie i Marvie zbyt dobrze wyrażacie się o mnie przed Iną — mruknął Ben. — Prawdopodobnie w ten sposób wzbudziliście w duszy jej uczucie dla mnie.

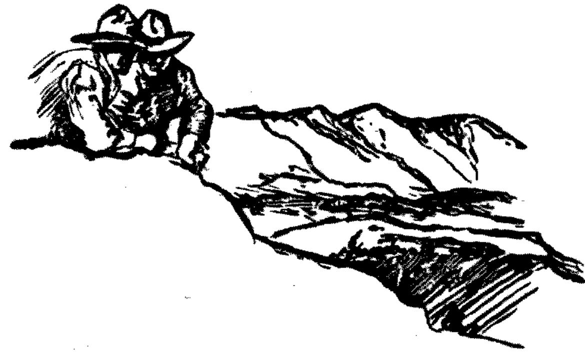
— Uczucie to istniało już od dawna. Należałoby tylko znaleźć chwilę samotności, abyście się porozumieli między sobą...

— Nie mów o tym — zawołał Ben. — Rozumiesz przecież, że nie wolno mi narażać opinii Iny. Jestem wyrzutkiem, a wkrótce prawdopodobnie uważać mnie będą za złoczyńcę.

— Jesteś podobny do swego wspólnika — uśmiechnął się Nevada z goryczą.

— Dlaczego pojmujesz odwrotnie moje słowa? Nigdy nie myślałem tak o tobie, przyjacielu, i nigdy nie zastanawiałem się nad tym, czym byłeś przedtem. Jesteś dla mnie miłym towarzyszem i najbardziej oddanym przyjacielem.

— Dzięki — szepnął Nevada, podnosząc w górę głowę. — Mając na myśli przyjaźń naszą pozwoliłem sobie mówić szczerze z Iną Blaine. Uważam, że musicie znaleźć taką chwilę, ażeby wypowiedzieć sobie wszystko, co nawzajem do siebie czujecie; chwilę taką w jasną, księżycową noc, abyście mogli paść sobie w objęcia i przestać myśleć o tym wszystkim, co was otacza.



Rozdział XI

Następnej nocy po powrocie Nevady z obozu Blaine'ów Ben siedział na ganeczku, wpatrzony w srebrne promienie księżyca, gdy wtem dosłyszał w oddali odgłos zbliżających się wierzchowców po twardym gruncie ubitego traktu.

Jeźdźcy zbliżali się od strony obozu Blaine'a. Ponieważ spóźniona pora nie zapowiadała niczyich odwiedzin, zaniepokojony Ben wybiegł przed chatkę, aby przekonać się, kto o tak późnej porze dążył do jego zagrody. Dzięki jasnej poświacie księżyca noc była widna zupełnie. W wąskim korycie jeziora odbijał się granatowy nieboskłon, usiany gwiazdami. Na zakręcie traktu ukazali się dwaj jeźdźcy; jechali oni na przełaj przez pola, kierując się bezpośrednio do ponurej chatki Bena, który postanowił zaskoczyć ich niespodzianie z bronią w ręku. W tym celu zaczaił się w przydrożnych zaroślach, zaciekawiony ogromnie niespodzianą wizytą. Któż mógł przybywać? Dlaczego jeźdźcy nie jechali ubitym traktem, a zajeżdżali do chatki od strony szopy? Spośród cieniów drzew wyłonił się na jasną polanę jeden z jeźdźców. Nie był to nikt inny, jak Marvie Blaine.

Niepokój Bena pierzchnął w tej chwili, a twarz jego rozjaśnił uśmiech zadowolenia; z ukrycia swego wyskoczył na polanę.

— Ręce do góry! — rozkazał grubym, zmienionym głosem.

Przerażony Marvie odskoczył na stronę, jak spłoszony zając, i posłusznie wzniósł do góry ramiona.

— Ach, mister! — zawołał lękliwie. — Nie chcę panu uczynić żadnej krzywdy!

— Jestem Bill Hall. Pieniądze, albo życie — odparł Ben, tłumiąc dobywający się z krtani śmiech.

Z całej postaci chłopaka znać było, że lęk jego wzrasta, twarzyczkę dziecięcą oblekła śmiertelna bladość.

— Mam tylko — dwa dolary — bąknął nieśmiało.

Ben opuścił na dół lufę rewolweru. Przemknęła mu teraz przez głowę myśl, kto mógł być towarzyszem Marviego.

— Możesz sobie zatrzymać swoje dwa dolary, synu — rzekł wesoło. — Skąd się wziąłeś tutaj wśród nocy? Kto z tobą przyjechał?

Marvie nie posiadał się z podziwu.

— Ach, ach!... Więc to Ben! O, mój Boże! Jakże się przeraziłem!... Dlaczego napadliście tak na mnie? Mógłbym was zastrzelić.

— Kto przyjechał z tobą? — nalegał Ben, ignorując uwagę Marviego.

— Oczywiście, Ina — odparł chłopak.

— Siostra twoja? — szepnął Ben.

— Naturalnie. A wyście myśleli, że kto? Przecież sam doskonale znam drogę do waszej zagrody. Ina prosiła, abym się z nią wybrał, I cóż wy na to? Obiecała mi za to pięć dolarów na nową wędkę.

— Ty mały łotrze! Przecież nie puściłbyś jej samej w te dzikie stepy po nocy!

— Zupełnie zrozumiałe — odparł z powagą Marvie. — A przysięgła, że pojedzie sama, jeżeli ja się nie zgodzę.

— Ale po co, u licha? — indagował Ben, nie mogąc zrozumieć tej nieoczekiwanej wycieczki.

— Poproś tu chciała was zobaczyć — odparł Marvie. — Próbowałem odwieść ją od tego zamiaru, ale każda kobieta jest niezwykle uparta. Widocznie coś ją napadło, Ben. A może powodem jej wizyty byli ci dwaj nieznajomi, którzy przybyli do naszego obozu dziś rano. Jacyś bardzo niemili ludzie; chodzą tylko i węszą wokoło.

— A gdzie Ina? — zapytał Ben.

— Siedzi tam przy drodze. Nie chciała jechać wraz ze mną do waszej chatki, obawiała się bowiem, że ją ktoś ujrzeć może, zostawiłem ją więc na drodze. Wyjątkowo powiodło nam się dzisiaj. Cowboyów nie ma, ojciec i Setter wyjechali również, wykradłem więc z szopy wierzchowca Iny i swego kuca i wyruszyliśmy jak tylko matka udała się na spoczynek. Droga trwała zaledwie godzinę... Ina jest tam. Idźcie do niej, Ben, a ja tymczasem odprowadzę konie.

Spośród nocnych ciemności ukazała się oczom Bena wysoka sylwetka dziewczyny, przytulona do pnia rozłożystej sosny. Krew w nim zawrzała. Ona odwróciła głowę na odgłos cichych jego kroków i po chwili już patrzał w jasną jej twarzyczkę i trzymał w gorących swych dłoniach małe, chłodne jej rączki. Zdawało mu się, że nastała najpiękniejsza i najbardziej szczęśliwa chwila w jego życiu.

— Dobry wieczór, Ben... Jakże prędko Marvie cię odnalazł. Ogromnie się cieszę, że widzę cię znowu.

— Nie powinnaś była wybierać się w drogę wśród nocy — odparł, oddychając głęboko.

— Ależ, głupstwo, Marvie jest wyjątkowym towarzyszem podróży. Z powrotem odprowadzisz nas, przypuszczam, ojca bowiem i tak nie ma w obozie.

— Mógł was ktoś napaść — szepnął niespokojnie po chwili; starał się odwrócić od niej tak, aby nie mogła dokładnie obserwować uradowanej jego twarzy. Jednocześnie pragnął patrzeć bez końca w głębokie jej oczy i upajać się tym, że była tuż przy nim.

— Nie bałam się jakoś niczego... Ben, ale ty szalenie schudłeś i zmizerniałeś. — Dotknęła delikatnie dłonią jego policzka. — Czy nie jesteś chory?

— Czuję się zupełnie dobrze, aczkolwiek w tej chwili dolega mi tylko to, że nie mogę paść do nóg twoich i dziękować, żeś przyjechała... Dużo miałem roboty w ciągu ostatnich sześciu tygodni, Ino, i dlatego prawdopodobnie zeszczuplałem.

— Nie wiem teraz, komu mam wierzyć — szepnęła cichutko, przyglądając mu się z uwagą.

— Czyżby ten głuptas, Nevada, mówił ci, że jestem chory?

Na twarzy jej odmalowało się zdziwienie.

— Więc powiedział ci, że się ze mną widział?

— Tak, naturalnie.

— Nie. Nevada nie wspominał mi nic o twej chorobie specjalnie. Mówił tylko...

— Nie zaciekawia mnie, co mówił — przerwał Ben pośpiesznie.

Zdawał sobie dokładnie sprawę, że powinien w tej chwili usilnie starać się o spokój. Lecz niełatwą rzeczą było mówić w danym momencie o rzeczach obojętnych, gdy duszę miał przepełnioną miłością dla tej dziewczyny. Zajęła miejsce na skrawku wyschniętej murawy, a on usiadł tuż przy niej, pochylony i wpatrzony w jej bladą twarzyczkę. Chłodny wiaterek, dmący od strony jeziora, rozwiewał jej ciemne włosy, spadające w lokach na czoło. Była prawie piękna w tej chwili, aczkolwiek w jej oczach malowała się niezwykła powaga dojrzałej kobiety. Uczuć, które zrodziły się w duszy jego teraz, nie był sam w możności pojąć.

— Lubię Nevadę — rzekła. — I bardzo bym chciała, aby mógł się zobaczyć z Hettie podczas odwiedzin jej w naszym obozie.

— Więc Hettie zamierza cię odwiedzić? Bardzo dobra jesteś dla niej, Ino — odparł tonem przyjaznej serdeczności.

— Nie powinieneś mi dziękować, Hettie jest naprawdę kochaną dziewczyną. Szczęśliwy będzie ten mężczyzna, którego ona pokocha.

— Wiesz, że Nevada kocha moją siostrę? Domyśliłem się tego jeszcze przedtem, nim mi sam powiedzieć raczył. Gzy tobie też mówił o tym?

— Ben, trudno mi na to odpowiedzieć — odrzekła powściągliwie.

— Dziwna jesteś w stosunku do mnie. Zachowanie twoje tamuje mi oddech. Czymże to zawiniłem, że Nevada, siostra moja i Marvie — wszyscy, opowiadają ci o mnie niestworzone rzeczy?

— Dałby Bóg, aby twój i mój ojciec znali cię z tej strony, z której my cię znamy — wyszeptała tonem miękkiej łagodności.

Przyszło na myśl Benowi, że Ina pozostała tą samą Iną, jaką była. przed laty — tylko obecnie była już dojrzałą kobietą o własnych, nieugiętych zasadach; zdawała się bez zastrzeżeń kierować swe kroki do wytkniętego z góry celu. Zachowaniem swoim wzbudzała podziw w Benie i mimo woli rozdmuchiwała wątłą dotychczas iskierkę dawnego, dziecięcego uczucia. W pewnej chwili rączka jej, spoczywająca w jego męskiej dłoni, zadrżała dziwnie i zacisnęła się mocniej dokoła jego palców.

— Posłuchaj, Ben — zaczęła znowu poważnie. — Miałam powód, dla którego przybyłam tu dzisiaj. Za wszelką cenę postanowiłam się z tobą zobaczyć. Z drżeniem myślę teraz o tym, co by było, gdybym w drodze spotkała Settera, albo ojca... W chwili wyjazdu nie myślałam jednak o tym... Dzisiaj rano dwaj jacyś nieznajomi przybyli do naszego obozu i rozgościli się, jak u siebie w domu. Byłam szalenie ciekawa, a jednocześnie ogarnął mnie niewytłumaczony niepokój, a ponieważ musiałam zastąpić nieobecnego ojca w przyjęciu nieznanych mi gości, skorzystałam z okazji, aby się dowiedzieć, kim właściwie byli ci panowie. Z początku patrzyli na mnie nieufnie, potem jednak poinformowali mnie grzecznie, że jeden z nich, wysoki mężczyzna o jasnoblond włosach

nazywa się Judd, drugi zaś — w szerokim sombrero przedstawił mi się jako mr Walker; obydwaj podobno przybyli z Redlands. Zapytałam ich nieśmiało, co sprowadzało ich do naszego obozu. Wówczas mr Judd pokazał mi srebrną odznakę, z której wywnioskowałam, że był nowo mianowanym szeryfem, Walker zaś jest jego adiutantem. Przybyli oni na wezwanie Settera, który reprezentował w Hammell zrzeszenie okolicznych rancherów i zaprosił tutaj tych panów, aby zajęli się aresztowaniem pewnych osób, względem których Setter posiadał wiele danych. To wszystko, czego się zdołałam od nich dowiedzieć, lecz słowa ich wystarczyły, aby zaniepokoić mnie ogromnie. I wówczas prosiłam Marviego, żeby chciał towarzyszyć mi w drodze do twej zagrody.

— Pod mianem „pewnych osób” rozumieli prawdopodobnie Nevadę, Modoca i mnie — mruknął Ben posępnie.

— I ja tak sądzę, lecz nie przypuszczam, aby ojciec miał coś wspólnego z ich przyjazdem. Jest on ostatnio tak zdenerwowany, że po prostu sam nie wie, co robi i co mówi, jak twierdzi Bill Sneed... Przypuszczam, Ben, że oficerowie ci nie mogą cię przecież aresztować, opierając się tylko na tym, co mówi Setter, nieprawdaż?

— Jeżeli są uczciwi, na pewno tego nie uczynią, najgorsze jednak jest to, że Setter nie będzie przebierać w środkach i prawdopodobnie znajdzie coś przeciwko Modocowi, albo wyciągnie na widownię któryś z dawnych uczynków Nevady. Oczywiście, i ja zamieszany w to zostanę. Jeżeli mam być szczery, Ino, to muszę przyznać, że ogromnie nie lubię historii tego rodzaju.

— Ale skoro ja cię uprzedziłam, Ben? Przygotowanie jest częścią uzbrojenia, jak mówi przysłowie!

— Wiedziałem, że jesteś zdolna nawet do takich poświęceń — wyszeptał. — Dzięki...

— Powiedziałam ci przecież, że przyjechałam nie tylko dlatego — przerwała. — I tak zamierzałam przyjechać już od dawna.

— Istotnie? A dlaczego? — zapytał Ben onieśmielony. Nagła zmiana tematu pozwalała mu znowu zapanować nad własnymi uczuciami.

— Pomówimy na ten temat później, Ben — rzekła. — Przede wszystkim interes, a potem przyjemność — zaśmiała się głośno. — Jakie masz zamiary na przyszłość?

— Zamierzam działać nadal w ten sam sposób, jak dotychczas — odparł Ben w zamyśleniu. — Co się stać ma, niech się stanie. Nie przypuszczam, aby mnie chcieli zaaresztować; przecież nic złego nikomu nie uczyniłem. Nie chciałbym jednak dopuścić do tego, chociażby ze względu na matkę moją i Hettie

— I ze względu na mnie! — dodała szeptem.

Ben czuł, że za chwilę przestanie panować nad sobą.

— Przede wszystkim dla siebie samego — ciągnął dalej pośpiesznie. — Szeryfowie ci, nie mogą również aresztować Nevady, jest on bowiem postrachem całej okolicy i na pewno czyn swój musieliby przypłacić życiem. Nevada bronią włada cudownie. Niejednokrotnie zdarzyło się, że dla żartów zmagał się ze mną i, nie śmiej się, Ino, ale w chwilach takich przejmował mnie dziwny dreszcz przerażenia. Przywiązałem się do tego

chłopca, choć podświadomie wyczuwam, że dla wrogów swych musi być bezwzględny.

— Nevada również kocha cię, Ben — odparła Ina miękko. — Uczyni wszystko, czego od niego zażądasz.

— Wiem o tym. Nie zapomnę nigdy nocy tej, gdy przed czterema laty zjawił się u mnie. Był ranny i wygłodzony. Przyjąłem go, zatrzymałem u siebie i pielęgnowałem, jak najbardziej poświęcająca się piastunka. Pozostał przy mnie i pokochaliśmy się, jak bracia, nigdy jednak dotychczas nie mówił mi nic o sobie.

— Szalenie mi się podoba ta wasza przyjaźń. Ty jeden możesz mieć wpływ na Nevadę i skłaniać go do tego, aby został uczciwym człowiekiem...

— Jeżeli oficerowie ci zechcą mnie aresztować i z chwilą, gdy Nevada dowie się, że wezwani zostali przez Settera...

Ben dokończył swą myśl cichym gwizdnięciem.

Z trudem unikał teraz wzroku Iny i całkiem mimo woli wpatrywać się począł w słodką jej, twarzyczkę. Jakże piękna i miła była, siedząc tuż koło niego z przechyloną na ramię główką! Ben musiał stoczyć z sobą wewnętrzną walkę, aby nie porwać jej teraz w spragnione ramiona.

— Ben, czy Marvie opowiadał ci, że Setter mnie napastował? — spytała Ina.

— Co takiego? — zawołał Ben, porywając się z miejsca. — Marvie opowiadał mi bardzo wiele o Setterze. Nienawidzi go ten chłopak, ale brałem to wszystko na karb jego dziecięcego zapału i nigdy nie przyjmowałem poważnie jego słów.

— O, jakżebym się chciała wydostać z dotychczasowego otoczenia — wyszeptała Ina drżącym głosem. — Wszystko drażni mnie ostatnio. Samej siebie nie poznaję, Ben. Postaraj się zapomnieć o tym, co ci powiedziałam o Setterze.

— Coś mi powiedziała? — uśmiechnął się, przyciągając ją bliżej ku sobie.

Nagła zmiana jego tonu i namiętny, niepowściągliwy ruch wzbudziły drżenie w duszy Iny. Resztkami sił opanowała się, aby nie paść w jego objęcia. Zauważył to i zdawał się być zawstydzony. Czyż miał prawo pozwolić sobie na tego rodzaju odruch w stosunku do tej dziewczyny? A jednak w umyśle jego ustawicznie jaśniała dręcząca świadomość, że ona go przecież kocha.

— Ben, — szepnęła — nie patrz tak na mnie. Nie uczyniłam nic złego, abyś...

— Powiedziałaś, że Setter cię napastuje — przerwał Ben. — W jaki sposób? Powiedz mi. Coś miała na myśli?

— Setter jest złym człowiekiem — pośpiesznie odparła Ina. — Kilkakrotnie wyznał mi swą miłość i stara się napastować mnie wówczas, gdy jestem sama. Częstokroć nawet muszę z nim walczyć.

— Mój Boże! — zawołał Ben oburzony. — I ojciec twój wpuszcza tego łotra do domu? Ułatwia mu nawet widzenie się z tobą? Oczywiście, wszystko to czyni dla zysków pieniężnych! Osmagałbym go chętnie!

— Nie mów tego! — zawołała Ina z niepokojem. — Setter zmienił swe postępowanie od tygodnia. Mam wrażenie, że zechce zmusić ojca, abym została jego żoną.

— Ino! — wybuchnął Ben chrapliwym głosem. — Sam zabiję Settera!

— Ben! — szepnęła, a twarz jej nabrała w tej chwili barwy zielono-popielatej. — O, Boże, cóż ja zrobiłam? — Uwolniwszy rękę swoją z jego dłoni, objęła go ramionami za szyję.

— Na miłość Boga, Ino! Co masz na myśli?

— Jeżeli zabijesz Settera — oni — oni cię powieszą, a wówczas życie dla mnie nie będzie miało żadnej wartości...

— Nie zabiję go i nawet nie spotkam się z nim nigdy — rzekł Ben.

— Przyrzeknij mi — błagała.

— Dla ciebie uczynię wszystko — odparł, tracąc powoli panowanie nad sobą.

Patrzała teraz w jego oczy, rozsuwając leniwie ramiona opasujące jego szyję. Dziecięcy jej uśmiech wzburzył znowu krew w żyłach Bena. Głowę wtulił w fałdy jej sukni i wybuchnął głośnym szlochem:

— Wiem, że nie mam prawa cię widywać. Jakiż głupiec ze mnie! Uczucie powróciło na nowo... Kocham cię, uwielbiam... I to mnie zabija.

Czuł dotknięcie drobnej jej rączki na rozwichrzonych swych włosach.

— Nie powinno cię to martwić — szepnęła drżącym głosem — bo i ja kocham cię, Ben!

— Nie — nie! — szepnął rozpaczliwie.

— Kocham cię bardziej jeszcze, niż kochałam dawniej... Jestem obecnie dojrzałą kobietą i zawsze znajdować się będę przy tobie.

Ben podniósł w górę głowę. Wyraz zmartwienia zniknął z jego twarzy, a na jego miejsce pojawiła się radość, wybuchająca jasnym płomieniem.

— Ty cudowna dziewczyno! — zawołał.

— Dlaczego nie mówisz „moja cudowna dziewczyno”? — rzekła, pochylając się nad nim.

— Bo po prostu nie mogę uwierzyć, nie mogę przyjąć z twej strony takiego poświęcenia. Ino, pomyśl, na miłość Boską! Jestem wygnańcem — i mam być aresztowany. A ty jesteś najpiękniejszą, najsłodszą dziewczyną na świecie! Nie wolno mi cię kompromitować. Nie chcę tego... Cóż mi teraz począć wypada?

— Jeżeli potrzebna ci rada, Benie, naznaczymy sobie spotkanie w Hammell jutro, albo pojutrze.

— W Hammell! Dlaczego? Po cóż ludzie mają podziwiać moje dla ciebie uwielbienie?

— Nie uwielbienie twoje — tylko dumę — zapłoniła się.

— Nie powinienem cię kompromitować, Ino... sam nie wiem teraz, co mówię. Myśli mi się plączą.

— Głuptas jesteś, mój chłopcze... Musimy spotkać się w Hammell, a potem, potem zabierzesz mnie z powrotem tutaj, do swej zagrody... Będę myślała o tobie i walczyć będę z ludzką opinią w twej obronie!

— Ino Blaine! Więc chcesz zostać moją żoną? — Porwał się z miejsca z niesamowitym blaskiem w oczach.

— Powinnam nią być, Ben, oczywiście, jeżeli ty się na to zgodzisz.

— Szalona jesteś! Oboje straciliśmy głowy.

— Masz chyba na myśli tylko siebie, ja bowiem jestem zupełnie przytomna i szczęśliwa — szczęśliwsza nawet, niż byłam dotychczas.

— Szczęśliwa! Więc chcesz zostać moją żoną? Mój Boże! Nigdy nie marzyłem nawet o tym! Hettie pisała mi, żeś się absolutnie nie zmieniła, Marvie mówił, że mnie kochasz, lecz ja nie wierzyłem w to wszystko. A teraz, ty sama mówisz mi...

— To prawda. Marvie miał słuszność. Kocham cię, jak nigdy nie kochałam nikogo.

— Więc Ino, pobierzemy się, gdy...

— W danej chwili, Ben, niema żadnych „gdy", ani „jeżeli" — przerwała wesoło. — Nie wolno ci się zbyt długo namyślać.

— Ino, czy wiesz, czym jest dla mnie twoja propozycja? Uczucie twoje i obietnica pozostania moją żoną wyrwały mnie z dotychczasowej apatii...

— Bardzo się cieszę, ukochany — odparła, opasując znowu ramionami jego szyję i dotykając delikatnie wargami przymkniętych jego oczu. — Jeżeli chcesz, mogę być z tobą już jutro, aby ci być pomocną we wszystkim. Nie zapominaj, że sama ci dałam tę propozycję.

— Torturujesz mnie. Nie wytrzymam już dłużej.

— Och, Benie! — westchnęła i padła w otwarte jego objęcia.

— Słodka! — moja dawna, kochana Ina — szeptał urywanym głosem. — Uratowałaś duszę moją i całe moje życie. Niech cię Bóg błogosławi. Modlić się będę, abym się stał godny takiej, jak ty kobiety.

Usta ich spotkały się, a żar rozchylonych jej warg zdawał się rozpalać młodzieńczą krew, krążącą teraz szybciej w żyłach Bena. Zapłonioną twarzyczkę ukryła na jego piersi. Tulił ją do siebie, patrząc z uśmiechem na rozwichrzone jej włosy, z którymi igrał lekki, nocny wiaterek. Leniwie płynące fale na wpół wyschniętej rzeki odbijały się srebrzystym blaskiem na tle szaro-zielonych szałwiowych pól; wysokie, ciemne drzewa o rozłożystych konarach znaczyły się niesamowitymi sylwetkami na tle pogodnego nieboskłonu. Zdawało się Benowi, że jest znowu małym beztroskim chłopcem i że świat uśmiecha się doń zapowiedzią nieznanego szczęścia.

Ben odprowadził Inę i Marviego do domu, żegnając ich u podnóża niskiego pagórka, wznoszącego się w odległości niecałej mili od obozu Blaine'a. Jasny już był dzień, gdy powrócił nad „Opuszczoną Rzekę". Podjechawszy do ponurej swej chatki, ujrzał Nevadę, śpieszącego na spotkanie.

— Gdzieżeś był, u licha? — wybuchnął cowboy, nie zdradzając ani cienia gniewu.

— Ja? Jeździłem sobie po okolicy — odparł Ben, usiłując stłumić śmiech i starając się naśladować ton Nevady, jakim mówił on przed kilku dniami.

— Tak. Tego rodzaju jazdy po nocy pasują bardzo do twego usposobienia — zauważył tamten z odrobiną ironii. — Ładnie dzisiaj wyglądasz. Sprawiasz wrażenie człowieka, wyjętego z grobu.

— Najlepszym dowodem, że nie jestem wcale zmęczony będzie to, jeżeli ci powiem, że jestem szalenie głodny. A gdzie Modoc?

— Przygotowuje śniadanie — odparł Nevada, obserwując Bena spod pół-przymkniętych powiek. — Dużo bym dał za to, abym cię raz wreszcie mógł dokładnie zrozumieć.

— Mnie? Dlaczego, Nevada? Nie jestem przecież żadnym sfinksem. Naturę mam prostą i absolutnie nieskomplikowaną.

— Byłeś z Iną Blaine.

Ben powstrzymał mimowolny uśmiech.

— Nadzwyczajne, Nevada. Skąd żeś to mógł odgadnąć?... Okazuje się, że jesteś hipokrytą. Znaczy się, że w ogóle wiesz o wszystkim.

— O, nie bardzo, Ben. Opowiedz mi, proszę.

— Byłem z Iną i zaręczyłem się z nią. Boże, jak dziwnie to brzmi..., a jednak to szczera prawda.

Mięśnie na twarzy Nevady pracowały przez chwilę, po czym wzrok jego jasny zawisł na pochylonej głowie przyjaciela. Cowboy podzielał szaloną radość Bena Ide'a.

— Szczęśliwy jestem, pard — rzekł głębokim głosem i uścisnął Bena serdecznie.

— Nevada, przyjacielu, — rzekł Ben, otrząsnąwszy się na chwilę z wrażenia — nie mamy teraz czasu do omawiania tego rodzaju spraw, przed nami bowiem ciężka jeszcze praca. Pragnąłbym dowiedzieć się, czy przystaniesz na wszystko, cokolwiek ci zaproponuję?

— Oczywiście, Ben, — odparł Nevada cicho — mogę ci to przyrzec. Zawsze jestem posłuszny twym rozkazom, z wyjątkiem, o ile chodzi o Lessa Settera, wówczas muszę być sam panem swojej woli.

— All right! — W danym wypadku skłaniam głowę przed twoją energią... Posłuchaj. Setter wezwał oficerów z Redlands, szeryfa Judda i adiutanta jego, Walkera. Obecnie znajdują się oni w obozie Blaine'a. Ina zręcznie dowiedziała się od nich wszystkiego i, jak się okazuje, Setter polecił im, jak powiadają sami, zaaresztować kilku ludzi, grasujących w pobliżu. Nazwisk nie wymienili, ale możemy się domyśleć, że chodzi tu o ciebie i o mnie. Nie mamy więc ani chwili czasu do stracenia. Postanowiłem wysłać Modoca do Hammell dziś jeszcze z listem do Frisbiego. Wiesz o tym, że miał on ochotę na moje konie, każę więc przysłać mu ludzi, ażeby sami zabrali sobie wierzchowce z pastwiska. Pieniądze złoży na mój rachunek w banku w Hammell. Tymczasem my obydwaj zabierzemy najpotrzebniejsze rzeczy i najlepsze konie i wyruszymy do Silver Canyon, aby natrafić na ślad Billa Halla. Z Modocem spotkamy się przy Cedrach i będziemy tam tak długo, dopóki nie uda się nam schwytać Halla. Jak ci się podoba mój plan?

— Jedyne możliwe wyjście z tej sytuacji — odparł Nevada. — Miałbym jednak coś niecoś do zarzucenia.

— Co na przykład?

— W Hammell dostaniemy zaledwie po sto dolarów za konia, wówczas, gdy w Klamath zapłacono by nam z pewnością po dwieście. Po drugie, trudno będzie wyjechać stąd tak prędko. Po trzecie, ułatwimy Setterowi robotę na wybrzeżu „Opuszczonej Rzeki".

— Nie bądź czarnym krukiem, Nevada, Ja, ze swej strony, widzę wszystko w różowych barwach po ostatnim spotkaniu z Iną. Mówiła mi o tym, że ona i Hettie zawsze wierzyły w naszą uczciwość.

— Może istotnie, Ben, przyczyniły się one obydwie do tego, że postępujemy drogą prawą. Nie prowadzi ona jednak do majątku. Weź takiego Settera, na przykład. Wzbogacił się dzięki swym brudnym transakcjom. Ale przyjdzie i na niego kreska.

— Więc jeszcze myślisz o tym? — zdziwił się Ben, porzucił jednak szybko ten temat, nie lubił bowiem, gdy w duszy Nevady rodziła się stłumiona na chwilę żądza zemsty.

— Naturalnie. Jest to obecnie moim jedynym celem. A co będzie, gdy schwytamy Halla, pard?... Będzie to jedyna broń przeciwko Setterowi.

— Posłuchaj, Nevada, — szepnął Ben porywczo — nie przypuszczasz chyba, ażeby Setter miał coś wspólnego z Billem Hallem.

— Wyobraź sobie pard, że, podejrzewałem go o to od dawna, częstokroć nawet śniłem o tym.

— Wielkie nieba! Przecież byłoby to straszne dla ojca Iny i mego... Nevada, to niemożliwe!

— Nie znasz, przyjacielu, handlarzy końmi w tej nowej krainie. Robota Settera przypomina mi sztuczki fakirskie w wędrownym cyrku. Zastanawia mnie głównie to, że Setter postanowił za wszelką cenę zdobyć tutejsze wybrzeże.

— Biedni rancherzy. Mego ojca i mr Blaine'a pieniądze doprowadziły do szaleństwa. Podobno Setter stara się o względy Iny, lecz musi to się skończyć raz na zawsze.

— I za milion lat nie posiądzie tej dziewczyny — zaperzył się Nevada. — Od czego my tu jesteśmy. Obydwaj z Modocem zajmiemy się tym łotrem. Z pewnością niedługo już będzie panem sytuacji.

Następnego dnia przed zachodem słońca, po przejechaniu trzydziestu mil, Ben i Nevada rozbili obóz przy kępce karłowatych drzew cedrowych, od których okolica ta wzięła swą nazwę.

Dolina Cedrów leżała o wiele wyżej od doliny „Opuszczonej Rzeki" i chłód, który panował tutaj, powitany został z radością przez podróżnych, przyzwyczajonych do kalifornijskich upałów. Obawa ich, że susza i tutaj da się we znaki, okazała się najzupełniej płonną, kropelki bowiem wydobywającej się z ziemi wody, widoczne były nawet wśród suchego na pozór piasku, który stanowił wierzchnią warstwę nieurodzajnego gruntu. W oddalonym nieco miejscu od cedrów, woda utworzyła niewielki staw, pokryty zieloną rzęsą; nad wodą tą uganiały się całe stada dzikiego ptactwa z głośnym szczebiotem, jak gdyby uradowane, że susza nie doszła do ich ojczyzny.

— Ani jednego konia nie było tu od bardzo dawna — zauważył Nevada po dokładnym zbadaniu terenów i dokładnym przyjrzeniu się spokojnej tafli prowizorycznego stawu. — Założyłbym się, Ben, że te mądre

zwierzęta wynalazły już sobie okoliczne jakieś źródełko, o którym żaden z ludzi nie ma najmniejszego pojęcia.

— Oczywiście, i ja tak sądzę. Wszystko możliwe w tej dzikiej krainie. Przypuszczam, że stado, którem przewodzi Czerwony Mustang, również posiada nieznane nikomu źródła ożywczej wody.

— Wyobraź sobie, że zupełnie zapomniałem o tym czerwonym szatanie. Nie zdziwiłbym się wcale, gdyby ten czort zjawił się nagle przed nami, a cóż ty na to?

— Na litość Boską! Byłoby to straszne! Bylibyśmy straceni! — zawołał Ben w podnieceniu.

— Nie rozumiem, dlaczego.

— Bo wówczas zrezygnowałbym ze wszystkiego, mając przed sobą możliwość pojmania tego dzikiego konia.

— A ja zupełnie o nim zapomniałem. Uważam, że ważniejsze sprawy mamy teraz na głowie. — W głosie Nevady dźwięczała delikatna wymówka, skierowana w stronę przyjaciela.

Ben, zawstydzony, opuścił głowę na piersi. Sam wiedział doskonale, że w chwili czyhającego na nich niebezpieczeństwa, nie należało mieć na względzie jakichkolwiek kwestii osobistych, zresztą, któż mógłby zrozumieć, co się działo w jego sercu? Wspomnienie Czerwonego Mustanga wzbudzało w duszy jego niespokojne drżenie i wprowadzało go w dziwny stan nieznanej od dawna emocji.

— Powiedz, Ben, — odezwał się Nevada łagodnie — gdyby twoja Ina znajdowała się w tej chwili w jakiejś niebezpiecznej sytuacji i gdyby w tej samej chwili zjawił się tutaj Czerwony Mustang — czy i wówczas miałbyś przede wszystkim na względzie pojmanie tego szatana?

— Oczywiście, że nie, ty głuptasie — zaprotestował Ben gorąco.

— Sądzę, że i w takim wypadku, gdybyś miał poślubić jutro Inę, nie przyszłoby ci na myśl nawet, że należałoby czas ten wyzyskać na polowanie.

Ben milczał przez chwilę, po czym rzekł z tajemniczą miną:

— Jeżeli już mówimy o małżeństwie moim z Iną, to muszę ci powiedzieć, że oboje postanowiliśmy zaczekać z tym do chwili, gdy ty, przyjacielu, będziesz mógł się połączyć z Hettie.

Dziki okrzyk dobył się z piersi Nevady; pragnąc go stłumić w zarodku, cowboy zajął się z wzmożoną energią przygotowaniem posiłku. Ben zauważył, iż słowa jego wyprowadziły na chwilę z równowagi Nevadę. Jeżeli znowu Nevada kochał naprawdę Hettie tak, jak utrzymywała Ina, dlaczego myśl o małżeństwie z nią sprawiała mu taką przykrość? Prawdopodobnie uważał, że jest niegodny tej dziewczyny. Przypuszczenie to zmartwiło Bena, doszedł więc do wniosku, że najlepiej będzie, gdy przestanie wspominać o tym cowboyowi.

Świadomość swobody i chłód kalifornijskiego wieczora wróciły Benowi utracony na chwilę humor, spodziewał się przy tym, że tych parę dni, które postanowili obydwaj przepędzić w Cedrach, przyniosą im cały szereg nieoczekiwanych przeżyć.

— Modoc powinien tu być pojutrze — odezwał się Ben po skończonej kolacji, gdy siedzieli z Nevadą, rozkoszując się ciepłem, płynącym z ogniska.

— Przypuszczam, że wcześniej jeszcze — odparł Nevada. — Wiesz przecie jak Indianie podróżować potrafią.

— Wspomniał mi, że widział koniokradów w tej okolicy i że z łatwością będzie mógł ich odnaleźć — szepnął Ben przyciszonym głosem. — A jeżeli już osiągniemy cel, cóż czynić będziemy dalej?

— Reszta pójdzie z łatwością. Wszyscy trzej napadniemy ich podczas snu i zabierzemy w niewolę.

— Na Boga! Czyż to możliwe? — zadziwił się Ben.

— W danym wypadku możemy w zupełności polegać na Modocu. Łatwiej mu będzie spełnić tę misję, niż załatwić sprawy pieniężne w Hammell. Modoc słynie w okolicy z niezwykłego swego sprytu. Im dłużej myślę o tym wszystkim, dziwię się, Ben, że już dawno nie wpadliśmy na taki pomysł. Banda Billa Halla nie jest wielka, składa się ona zaledwie z czterech, pięciu ludzi, łatwo więc będzie dać sobie z nimi radę.

— Gdyby się nam tak udało pojmać ich wraz ze skradzionym stadem — marzył Ben.

— Zupełnie możliwe. Po co by Hall przybywał tutaj? Modoc twierdzi, że wszystkie kradzione konie ukrywają oni w tutejszych lasach; oczywiście, pochodzą one z okolicznych zagród i żaden z rancherów nie ma już nadziei ujrzenia swych stad kiedyś w życiu. Słowem, Kalifornia jest istnym rajem dla koniokradów.

— Czy niedobrze by było skomunikować się z Strobelem? Mówiła mi Ina, że powędrował w okolice Srebrnej Łąki. Hart Blaine również się tam znajduje.

— Natkniemy się z pewnością na któregoś z nich — oznajmił Nevada. — Obawiam się tylko, że znajdujemy się w danej chwili zbyt daleko na zachód.

— Jeżeli Hall pędzi swe stada z okolic Srebrnej Łąki, powinniśmy odnaleźć jego ślady, które mogłyby zaprowadzić nas do obozu bandy. Wówczas Strobel ułatwiłby nam wyśledzenie drogi, jaką Hall kroczył.

— Bardzo pięknie obmyślane, — przyznał ironicznie Nevada — lecz, niestety, nie da się tego przeprowadzić. Przede wszystkim, szkoda czasu na porozumiewanie się ze Strobelem. Poza tym, nie mam mu nic do zarzucenia i mam wrażenie, że bardzo cię lubi ten szeryf.

— Tak, uczył mnie rybołówstwa, gdy byłem jeszcze dzieckiem — uśmiechnął się Ben. — Niech tak będzie, jak postanowiłeś. Jutro pojedziemy na zwiady. Czyś przywiązał konie?

— Zupełnie niepotrzebne. Nie oddalą się ani na metr od kępki świeżej trawy. Przywiązałem tylko karego, bo uważam go za najdzikszego ze wszystkich.

Podczas gdy Nevada oddalił się na chwilę, aby zajrzeć do koni, Ben dorzucił drzewa do ognia i zajął się wyszukaniem sobie miejsca, odpowiedniego na nocleg. Dawno już Nevada chrapał smacznie, a Ben, owinięty swą derką, leżał ciągle z otwartymi oczami, wpatrzony w pogodne, zawieszone nad nim niebo.

Stawało się coraz chłodniej i Benowi przyszło na myśl, że lato wkrótce minąć musi. Jasna tarcza księżyca płynęła na tle usypanego gwiazdami granatu, niby leniwy, rozkołysany okręt. Do uszu młodego Ide'a dobiegało przyciszone rżenie stojących opodal koni, połączone z szumem gałęzi pobliskich drzew. Młodzieniec zastanawiał się teraz nad tym, czy zależało mu na wyśledzeniu bandy Billa Halla, czy też po prostu przyczyną całej dzisiejszej wyprawy była gorycz, którą wzbudził w jego duszy nienawistny Less Setter.

Rozdział XII

Przed wschodem słońca Ben rozpalił ponownie ogień.

Przebudził się dnia tego wcześnie z powodu dokuczliwego zimna i ze zdziwieniem zauważył cienką powłokę lodu na pobliskim stawie.

— Ładne lato — mruknął, rozcierając zmarznięte dłonie. — Pocieszam się tylko tym, że znajdujemy się dosyć wysoko, a tam w dolinie prawdopodobnie panują nadal upały.

Po ukończeniu pierwszej obozowej pracy postanowił zbudzić Nevadę. Rozespany cowboy zaprotestował cichym mruknięciem, aż wreszcie po chwili otworzył oczy.

— Jak ci się spało, stary? — zawołał wesoło Ben. — Porządnie zimno dzisiaj. Należałoby włożyć grube buty, a ty na noc wcale nie zdejmowałeś swoich. Nigdy już chyba nie będziesz cywilizowanym człowiekiem.

— Pierwszą noc w nich śpię — tłumaczył się zawstydzony Nevada. — Leniwy jestem i wiem, że trudno by mi było myśleć rano o ubraniu. Jak tam ze śniadaniem?

— Wszystko gotowe, a ty się zajmij końmi — odparł Ben.

Nevada powlókł się do zamarzniętego stawu.

— Nie umyję się chyba, mróz taki, że można się zaziębić — szepnął, wciągając kurtę na ramiona.

— Dobrze ci to zrobi — odparł Ben. Zajęty był w tej chwili rozpakowywaniem mięsiwa i gotowaniem kawy w małym, żelaznym kociołku, a gdy słońce ukazało się na horyzoncie, obydwaj siedzieli już na swych wierzchowcach, wspinając się po pochyłości górskiego podnóża.

Ujechawszy kilkaset metrów, znaleźli się na zupełnym pustkowiu, gdzie nie było ani roślin, ani ptactwa. Widocznie jelenie i dzikie konie skryły się gdzieś w głębokich wąwozach. Kraina Srebrnej Łąki roztaczała się bardziej na wschód. Ben i Nevada pragnęli ujrzeć malowniczą tę dolinę przed udaniem się w głąb przepastnych wąwozów. W oddali spoglądała ku nim dolina „Opuszczonej Rzeki", a Tule Lake znaczyło się połyskliwą żółtością na tle szarozielonych szałwiowych pagórków. Rozsłonecznione niebo przysłaniał cień wysokiego szczytu Shasta, spoglądającego urągliwie ku zbliżającym się intruzom.

Uzbrojony w wielką połową lunetę, Ben zwrócił się w pewnej chwili do towarzysza z wyrazem zachwytu w błyszczących oczach.

— Nie tak dużo stad, jak przypuszczałem — szepnął Nevada, wysyłając na zwiady swój orli wzrok. — Widocznie i tutaj susza się dała we znaki.

— Prawdopodobnie wiele koni padło — odparł Ben.

— Albo też ukradziono je — uśmiechnął się Nevada. — To drugie bardziej byłoby możliwe. Ben, jeżeli jeszcze przez czas pewien nie będzie deszczu, wszystkie stada w okolicy powymierają.

— Nie mów tak. Deszcz musi przyjść wreszcie; natura może być okrutna, ale nie jest przecież zbrodniarką... Myślę w tej chwili raczej o tym, czy uda nam się ujrzeć stada Blaine‛a, lub chociażby jego cowboyów.

— Głupstwa pleciesz. Blaine wyruszył bardziej na północ, znajduje się tam bowiem kilka małych zagród na wybrzeżu rzeki. Rzeka tamtejsza nie wygląda tak, jak nasza, koryto jej wyschło zupełnie.

— Czy pojedziemy do Silver Canyon? — spytał Ben.

— Oczywiście, mamy się przecież spotkać z Modocem.

Niestety, Modoc nie przybył o oznaczonej porze, a gdy i następnego dnia również się nie zjawił, Ben począł się o niego poważnie niepokoić. Obydwaj z Nevadą przez cały dzień czekali z wytężonym wzrokiem w stronę, z której spodziewali się przybycia Indianina. Wreszcie o zachodzie słońca nabrali pewności, że coś się musiało stać.

— Posądzam Settera — rzekł Nevada niespokojnie.

— I ja mam takie wrażenie, — oznajmił Ben — choć rzadko ostatnio myślę o nim. Jeżeli spotkał Modoca w Hammell, kazał go prawdopodobnie aresztować.

— Wszystkiego można się po nim spodziewać, lecz wątpię, aby Modoc dał się tak łatwo osaczyć.

Późną już nocą zjawił się wreszcie Modoc i bez słowa wyjaśnienia zeskoczył z siodła.

— Głodny jestem — rzekł z bladym uśmiechem.

— Nareszcie, Modoc. Ogrzej się nieco przy ogniu i opowiedz nam, co się stało.

— Setter zatrzymał mnie w Hammell — odparł Indianin. — Wyłamałem okno szopy, wykradłem konia i oto jestem.

— Nie mówiłem ci, Ben? — szepnął Nevada z błyskiem nienawiści w oczach.

— Więc Setter cię aresztował? I dlaczego?

— Powiedział, że już dawno zamyślał to uczynić.

— Czy długo z nim walczyłeś?

— Walka na ogół trwała krótko. Usiłowali mnie upić, ale ja taki głupi nie jestem.

— Odpowie nam za to — mruknął Nevada. — Zajmę się teraz koniem Modoca, a ty, Ben, przygotuj mu coś do jedzenia.

— Czyś widział Frisbiego, Modoc? — zapytał Ben, przypominając sobie nagle ważną misję, którą powierzył przed kilku dniami Indianinowi.

— Tak. Bardzo jest zadowolony i przyśle oddział cowboyów po konie.

— Bardzo dobrze. Cieszę się, żeś załatwił... A teraz, Modoc, mamy jeszcze przed sobą wiele pracy. Jutro musisz nas zaprowadzić do miejsca, gdzie spodziewasz się natknąć na bandę Halla. Jeżeli odnajdziemy ich, plany nasze zostaną urzeczywistnione.

Po długim dniu poszukiwań trzej nasi bohaterowie natknęli się istotnie na słynną bandę kalifornijskich koniokradów. W pewnej chwili Ben stanął

oko w oko z niskim, niepozornym mężczyzną, dość otyłym, którego twarz trudno dojrzeć było spod szerokiego ronda czarnego kapelusza. Przyjaciele nasi jednak nie zostali dostrzeżeni przez bandę Billa Halla, którą zaniepokoiły jedynie dziwne szmery w pobliżu rozbitego obozu.

— Hej, Bill — zawołał słabym głosem ktoś od ogniska, wytężając wzrok, jakby chciał przebić panujące ciemności. — Słyszałem dziwne szmery tuż obok.

— Coś takiego mógł słyszeć? — uśmiechnął się Hall, zajęty czyszczeniem broni.

— Zdawało mi się, że ktoś wolno stąpa, a potem, jak gdyby czyjś szept... — odparł tamten.

Nagle Nevada wyłonił się z mroków nocy i stanowczą jego twarz oświetlił blask ogniska.

— Ręce do góry! — wykrzyknął chrapliwym głosem.

Odpowiedzią Halla był raptowny strzał, po czym zniknął gdzieś za wyłomem najbliższej pieczary. Kula utkwiła w gałęzi, tuż ponad głową Bena, a echo strzału rozniosło się po głuchym lesie. Nevada począł strzelać raz po raz dzięki niezwykłej sprawności swego winchestera; zluzował go Modoc, władając niezgorzej ciężkim swym karabinem. Rytmiczne strzały wrogów biegły z głębokiego wąwozu. Przerażone konie, zbite w gromadę, tłoczyły się w kierunku małej polanki, stwarzając jeszcze większy chaos i zamieszanie; wreszcie zniknęły w leśnych zaroślach.

Po pewnej chwili strzały ucichły. Nevada ze spokojem zajął się wyjmowaniem nowych nabojów z ładownicy. Stanowczym ruchem nakazał towarzyszom spokój, sam zaś począł pełzać w stronę pieczary, w której ukryli się wrogowie. Wreszcie, wśród ciemności, doszedł Bena matowy jego głos, nie zdradzający ani odrobiny przestrachu:

— Hej, Hall, radzę ci się poddać.

— Kimże, u diabła, jesteś? — zapytał cichy głos z wnętrza pieczary.

— Jestem wysłannikiem szeryfów.

— A cóż chciałeś?

— Żądam, abyś porzucił broń i wyszedł tu, do mnie, z rękami, podniesionymi w górę.

— A jeżeli nie zechcę? — drażnił się głos z pieczary.

— Jest to jedyna twoja szansa — tłumaczył Nevada. — W przeciwnym razie zabiję cię, jak psa.

— Strzelaj, niech cię licho porwie — wycharkotał opryszek, a kilka zagniewanych głosów zawyło zgodnym akompaniamentem.

— Radzę ci się namyśleć i wyjść tu, do mnie, dobrowolnie.

— Możesz strzelać, jeżeli jesteś szeryfem.

— Zauważ, że nawet bez strzelania możemy was zdobyć głodem.

I znów w odpowiedzi rozległo się przeraźliwe wycie. Serce w piersi Bena poczęło bić żywiej. Wycie trwało chwil kilka, po czym ucichło.

— No, i cóż z wami? — indagował po chwili Nevada.

— Zgadzamy się na twą propozycję, drogi bohaterze, — odparł Hall szyderczo — ale prosimy, abyś przyszedł tu po nas.

Rozdział XIII

Nevada zdawał się przyjąć warunki, podane mu przez herszta bandy. Wymownym skinieniem przywołał do siebie Bena.

— Hall jest sprytniejszy, niż przypuszczałem — rzekł. — Musimy teraz naradzić się, co czynić dalej.

— Pilnować ich dokładnie i wszystko pozostawić czasowi — odparł Ben w zamyśleniu.

— Tak. Jeden z nas musi mieć na nich oko w dzień i w nocy.

— Modoc, powiadasz, że pieczara ta ma drugie wejście w głębi?

— Jestem tego pewien, aczkolwiek Hall nie ma o tym pojęcia.

— Dobrze. Zajmiesz się końmi i dostarczaniem nam żywności. Rozbijemy obóz tutaj, w kępce przydrożnych sosen. Musisz zaprowadzić konie do sąsiedniej pieczary, ażeby je napoić, a potem przywiążesz je w miejscu, gdzie rośnie największa trawa.

Bez słowa odpowiedzi Indianin usłuchał rozkazu.

— Ben, czy mamy trochę gwoździ? — zapytał Nevada.

— Oczywiście. Zresztą można by ewentualnie użyć do tego hufnali z podków końskich.

— Doskonale. Musimy zbudować coś w rodzaju zapory w miejscu, gdzie droga najbardziej się zwęża, Hall bowiem może niepostrzeżenie wyślizgnąć się nam wśród nocy.

— Gzy sądzisz, że plan nasz się uda?

— Jestem tego pewien — odparł Nevada. — Hall będzie chciał nas przetrzymać i okaże niezwykłą cierpliwość. Jest pewien, że nie ujdzie z życiem z chwilą, gdy wytknie głowę z pieczary.

— Przypuszczam, że Modoc nie myli się, twierdząc, że jest tam inne jeszcze wejście — szepnął Ben, jak gdyby pragnąc zapewnić samego siebie o zwycięstwie.

— Możemy polegać na Indianinie, Ben — rzekł Nevada z przekonaniem. — Mamy teraz wszelką pewność, że szczęście nam sprzyja.

— Musimy zwyciężyć, Nevada. Będzie to dla nas wszystkim.

— Ojciec twój i Iny upewniają się w tej chwili w swoich podejrzeniach — szepnął cowboy z szelmowskim uśmiechem. — A co zrobi biedny Setter?

— Nawet Judd nic nam nie zrobi, gdyby nawet odnalazł nas tutaj.

— Mam nadzieję, pchniemy go bowiem, aby zaaresztował tam tych.

— Mógłby wejść przez to drugie wejście, o którym mówi Modoc.

— Do Indianina możemy mieć zaufanie, zresztą sami przekonamy się rychło.

— Przypuszczam, że Modoc zatarasuje ich tak zręcznie, aby nic nam nie zrobili złego.

Niepokój Bena znikał powoli.

— W danej chwili wszystko zależy od naszej zręczności — szepnął. — Musimy tylko mieć tych łotrów na oku.

— Co do mnie, to z łatwością mogę leżeć tutaj w ciągu dwudziestu czterech godzin i nie zmrużyć oka. Zawsze we dwóch musimy stać na straży, gdy tymczasem trzeci z nas prześpi się nieco i napoi konie.

Godziny następnego dnia biegły szybko, a dwie pary oczu utkwione były ustawicznie w wąskie wejście pieczary. O zachodzie słońca przyjaciele nasi poczuli, wydzielającą się z pieczary, woń dymu, doszli więc do wniosku, że banda Halla rozgospodarowała się w pieczarze na dobre.

Noc zapadła, a Ben i Nevada trwali wciąż na swym posterunku. W pewnej chwili uszu cowboya dobiegły niepokojące jakieś szmery. Strzelił kilkakrotnie w kierunku czarnej czeluści jaskini; w odpowiedzi usłyszeli parę następujących po sobie strzałów, a potem znowu nastała cisza.

— Dziwnie dużo mają zapasów amunicji — zauważył Ben, a niepokój znowu wkradł się do jego duszy.

— I tego im zabraknie — odparł Nevada. — Zobaczymy, kto kogo przetrzyma...

Następne dwa tygodnie minęły bez żadnego rezultatu. Całe dnie i noce przepędzali przyjaciele nasi bezczynnie, obserwując jedynie tajemniczą pieczarę, kryjącą znienawidzonych wrogów. Jesień zbliżała się powoli, a wraz z nią nastawały wieczorne chłody i nocne przymrozki, które przyśpieszały powolne opadanie liści z wznoszących się ponad doliną wysokich, potężnych dębów. Pewnego dnia Modoc przyniósł wiadomość, że w jednej z pobliskich pieczar, w której dotychczas zwykł był poić konie, zauważył cienką powłokę lodu. Dowodem zbliżającej się jesieni były również coraz częstsze ukazywania się spragnionych napoju górskich jeleni, które przybywały gromadnie do źródełek, ukrytych w pobliskich pieczarach. Jeden z jeleni padł którejś nocy ofiarą kuli Modoca. Ben widział jelenie coraz częściej i co noc prawie słyszał lekkie ich kroki tuż w pobliżu ogniska. Widocznie zwierzęta znały dokładnie drogę do pieczary, w której ukryli się teraz podwładni Halla.

Pewnego popołudnia Modoc wrócił od koni z dziwnie zmartwioną miną.

— Cóż ci się stało, chłopcze? — zagadnął Nevada.

Ben spojrzał na Indianina z zaciekawieniem.

— Źle — odparł Modoc szeptem prawie. — Trudno mi nawet powiedzieć.

— Nie ukrywaj nic przed nami — rzekł Ben.

— Czerwony Mustang przychodzi do naszej pieczary.

— Czerwony Mustang? — zawołał Ben, porywając się z miejsca.

— Tak.

— Ach, ty przeklęty Indianinie, po coś o tym wspominał? — syknął Nevada zagniewany.

— Powinienem wam zawsze mówić o wszystkim — tłumaczył się Modoc.

— Tak, ale nie w obecnej chwili, gdy ważniejsze rzeczy mamy na względzie — rzekł Nevada niechętnie.

Wsparty na łokciu Ben patrzał z zapartym oddechem w zmieszaną twarz Indianina. Myśl, że Czerwony Mustang znowu zjawił się na ich drodze, nie dawała mu spokoju. Wiedział, że w obecnej sytuacji należało wybrać jedno z dwojga, albo pojmanie dzikiego wierzchowca, albo też wytrwanie na posterunku aż do urzeczywistnienia planów i zwycięstwa nad bandą koniokradów.

— Modoc, weź siekierę i zniszcz tę tamę — rzekł chrapliwie, po czym bez słowa usiadł na dawnym miejscu, wpatrzony znowu w wejście do pieczary.

— Woda prawie zniknęła z jaskini, w której poiłem konie — odparł Modoc. — Czerwony Mustang na pewno obierze sobie inne miejsce na czas zimy.

Ani Nevada, ani Ben nie dali żadnej odpowiedzi. W duszy młodego Ide'a wrzała teraz walka, wiedział bowiem, że nie miał prawa myśleć o pojmaniu Czerwonego Mustanga. Przed oczami jego wyobraźni zamajaczyła słodka twarzyczka Iny Blaine, która zawisła w pewnej chwili nad pieczarą, kryjącą w sobie bandę Billa Halla.

Gdy pewnego ranka Ben zjawił się na posterunku, aby zluzować zmęczonego czuwaniem Modoca, Nevada szepnął doń tajemniczo:

— Wiesz, pard, słyszałem kroki.

Zanim Ben zdążył jeszcze odpowiedzieć, z głębi pieczary doszedł chrapliwy głos:

— Hej, jest tam kto?

— Dzień dobry, Bill — odparł Nevada, ściskając w dłoni nabity rewolwer.

— Jeszcze tam jesteście?

— Zawsze gotowi. Czekamy, dopóki wam się nie sprzykrzy.

— Niech was diabli porwą — zagłodziliście nas. Podajcie swoje warunki.

— Nie mamy warunków, Bill. Wyjdźcie z pieczary i pozwólcie się rozbroić.

— A strzelać nie będziecie? — zagadnął znów chrapliwy głos.

— Chyba że sami nas będziecie prowokować — odparł Nevada krótko.

— All right... Macie coś do jedzenia?

— Naturalnie, że mamy. Wędzoną słoninę, suchary i czarną kawę.

— Przestań już wyliczać, miły południowcze — wykrzyknął Hall zirytowany. — Poddajemy się.

Ben dostrzegł poruszający się cień tuż przy pieczarze. Bill Hall postępował w ich kierunku z rewolwerem, zwisającym u pasa. Gdy stanął

przed Nevadą i Benem, rzucił broń na ziemię. Był niezwykle wychudzony i brudny. Snadź ostatnie dwa tygodnie wyryły na jego twarzy swe piętno.

— Doskonale, Bill — zawołał Nevada. — Podnieś na chwilę ręce w górę, abym mógł przeszukać kieszenie... A teraz zawołaj tu swych ludzi.

— Pójdźcie, chłopcy, tu za mną — zacharkotał herszt.

Kilku wysokich drabów wyłoniło się z ciemności i porzuciwszy trzymaną broń, stanęło tuż przy Hallu. Ostatni z nich podszedł wolnym krokiem, starając się zamanifestować postrzeloną swą nogę.

— Gdzie masz broń? — zapytał Nevada, patrząc bacznym wzrokiem, któremu nic ujść nie mogło.

— Została w pieczarze — odparł Hall.

— Ben — zwrócił się Nevada do przyjaciela. — Każ Modocowi odprowadzić więźniów i związać im ręce i nogi.

W kilkanaście minut potem pięciu opryszków siedziało na ziemi z mocno związanymi nogami. Co za straszny widok. Przygarbieni i wynędzniali z rozwichrzonymi włosami zdawali się pożerać wzrokiem wszystko, co wydawało im się możliwe do zjedzenia.

— Więc tylko jest was trzech? — zapytał zdziwiony Hall, rozglądając się wokoło.

— Naturalnie. A ilu byś chciał? — uśmiechnął się Nevada. — Posiłki mają dopiero przybyć. Ten oto młodzieniec jest synem farmera, którego stada znajdują się w waszym posiadaniu w Silver Canyon.

— Więc wy jesteście Ben Ide? — zapytał Hall, zawisnąwszy inteligentnym spojrzeniem na twarzy Bena.

Ben skinął potakująco głową bez cienia entuzjazmu, przyszło mu bowiem na myśl, że Hall musiał słyszeć coś o nim.

— Dobrze, a teraz, kiedy już nas macie, co zamierzacie z nami uczynić? — nalegał Hall, zwracając się do Nevady.

— Przede wszystkim, Bill, musisz pójść do obozu Harta Blaine'a i stanąć oko w oko z człowiekiem, zwanym Less Setter. Czyś kiedykolwiek spotkał go w życiu?

— Nie mówmy lepiej teraz o tym — odparł Hall.

— Aha. Zresztą, nie mamy się czego śpieszyć. Sam nie lubię zbyt prędko mówić o wszystkim.

— All right. Dajcie nam coś do jedzenia.

— Więc przez ostatnie dni nie mieliście zupełnie zapasów, Hall?

— Najwyżej pięć, czy sześć dni, ale jesteśmy szalenie głodni.

— Należałoby być ostrożnym przy jedzeniu. Zupełne nasycenie się może was przyprawić o śmierć. Słyszałem o ludziach zagłodzonych...

— W danym wypadku zgadzam się zaryzykować własne życie. Dajcie nam coś z tych smakołyków, o których mówiliście.

— Ale my nie możemy ryzykować — oznajmił Nevada. Nakarmimy was trochę. Dzisiaj tylko trzy razy, jutro więcej, aż wreszcie dojdziecie do normalnych porcji.

Nevada zajął się przygotowaniem jadła, Modoc zaś poszedł napoić konie. Siedzący przy ogniu Ben, czuł na sobie natarczywy wzrok Billa Halla.

Wrażenia ostatnich kilku godzin zdawały się dla Bena mijać tak szybko, że zupełnie nie orientował się w czasie, ani też w porze dnia... Dopiero, gdy znalazł się w siodle, począł zastanawiać się nad zwycięstwem, jakie odnieśli obydwaj z Nevadą, jeńcy bowiem byli dlań zasadniczo wybawieniem z dotychczasowych, ciężkich warunków i obecnością swą mieli położyć koniec wszystkim łotrowskim posądzeniom. Z westchnieniem ulgi Ben spojrzał ku niebu; wydało mu się ono czystsze jakoś dzisiaj, jak gdyby uśmiechnięte. W wyobraźni ukazała mu się znów Ina i serdeczny jej pocałunek, jako nagroda za bohaterski czyn młodzieńca. A satysfakcja zwycięstwa nad Setterem. Otworzenie oczu mr Blaine'owi, spotkanie z własnym ojcem i widok zawstydzonej jego twarzy. Spełnienie obietnicy, danej matce. Te wszystkie myśli były niezwykle miłe i podniecały Bena bardziej jeszcze. Kłębiły się one w rozpalonej jego głowie, niby syczące owady, podczas gdy mijał głębokie wąwozy i zarośla młodych zagajników. W rzadkich tylko chwilach orientował się, że obowiązkiem jego było pilnować pięciu skrępowanych jeńców.

Na czele kawalkady jechał Nevada, przejęty swą misją i wydający co chwila nowy jakiś rozkaz. Benowi sprawiało przyjemność posłuszeństwo i wykonywanie poleceń przyjaciela.

— Odpoczniemy trochę i zjemy coś na skraju lasu — zadecydował Nevada. — Należy nakarmić konie i napełnić na nowo worki wodą. Ułatwi to nam dalszą podróż. O wschodzie słońca powinniśmy przybyć nad brzegi „Opuszczonej Rzeki".

Po zapadnięciu zmierzchu podróż stała się mniej uciążliwa ze względu na przyjemny chłód, który zapobiegał zmęczeniu ludzi i koni.

Hall, herszt bandy koniokradów, zdawał się być dziwnie ożywiony i sprawiał wrażenie, jak gdyby pragnął ze wszelką cenę pomówić na osobności z Benem. Ben również chętnie dowiedziałby się od niego czegośkolwiek, lecz postanowił zaczekać cierpliwie do spotkania z Setterem, miał bowiem wrażenie, że coś ciekawego musi wyniknąć.

Noc stawała się coraz chłodniejsza; biały szron połyskiwał w świetle mrugających na niebie gwiazd. Przy zetknięciu się kopyt końskich z małymi kamyczkami, rozrzuconymi na drodze, rozlegał się suchy trzask i pojawiały się iskry. Modoc wyprzedził kawalkadę, prowadząc na przedzie parę objuczonych koni. Nevada jechał tuż przed jeńcami, z bronią, przytroczoną do siodła, i co pewien czas odwracał się, aby spojrzeć uważnie poza siebie. Zamykał kawalkadę, również uzbrojony, Ben. Młodzieniec pocieszał się myślą szybkiego powrotu do swej zagrody i rychłego zobaczenia się z Iną.

W dali, w srebrzystej poświacie księżyca połyskiwało Mule Deer Lake, którego ciche wody ściął już pierwszy lód. Widok nadchodzącej zimy zaniepokoił Bena, myślał bowiem o tym, co się stanie z wynędzniałymi z powodu suszy stadami.

Na horyzoncie poczęły blednąc gwiazdy i po stronie wschodu niebo zaróżowiło się dziewiczym rumieńcem oczekiwania. Nadchodził świt. Jakże straszliwie zimno! Posuwano się naprzód coraz wolniej ze względu na szalone osłabienie jeńców i dopiero koło południa kawalkada dotarła do zagrody Bena. Minęli puste pastwisko i zamarzniętą odnogę rzeki. Drzwi chaty i wrota szopy zastali otwarte. Przecież Frisbie nie uczyniłby tego. Ben począł zastanawiać się nad tym, gdy w pewnym momencie ujrzał, cwałującego w stroną chaty, Modoca. Zaniepokojony młodzieniec wybiegł na spotkanie sługi.

— Co się stało? — zapytał.

— Dziki czerwony rumak — tam, na lodzie, — odparł Indianin z zapartym oddechem.

— Czerwony Mustang... Na lodzie? — zawołał Ben.—

— W czepku się urodziłeś, pard — szepnął Nevada, pochylając się na siodle. — Ściągnęło z nim tylko sześć koni. Jezioro zamarznięte dookoła, oprócz małego krążka w samym środku. Przygnało je tam pragnienie. Spójrz.

— Nie — szepnął Ben, aczkolwiek wewnętrzne jakieś pożądanie zrodziło się w duszy jego, ażeby spojrzeć w stronę, gdzie znajdował się upragniony Czerwony Mustang. Wild Goose Lake znaczyło się bielą świeżego lodu, na którym, niby czarne punkciki, poruszały się leniwie sylwetki kilku dzikich koni. Czerwony Mustang stał przy samym brzegu z podniesioną w górę głową.

— Pilnuj Halla, Nevada — rzekł Ben, dobywając z siodła połową lunetę; ręce mu drżały. Wzrok jego skierował się na Czerwonego Mustanga.

Czerwony, jak płomień. Dzikszy od wszystkiego, co go otaczało. Ben widział go dokładnie na tle białej powłoki lodu; zdawał się obserwować swe stado, pijące z chciwością wodę.

Młody Ide pochylił się na siodle. Tę jedną chwilę należało wyzyskać. Szczęśliwe zrządzenie losu.

— Powiadam ci, pard, żeś się w czepku urodził — powtórzył Nevada. — Czerwony Mustang na lodzie. Marzyliśmy zawsze o tym, ażeby zastać go gdziekolwiek nad wodą.

— Możemy go łatwo schwytać — wykrzyknął Ben chrapliwie.

— Nie. Nie możemy — odparł posępnie Nevada.

Jednym skokiem młody Ide znalazł się na ziemi oko w oko z Nevadą.

— Mamy przecież tutaj czterech ludzi, co z nami stanowi siedmiu.

— Ach, Boże. Ben, nie chcesz przecież...

— Owszem, chcę, syknął Ben. — Muszę mieć tego czerwonego szatana. Przyrzeknij, że mi pomożesz.

— Niech mnie diabli porwą — zaklął Nevada, a twarz jego zapłonęła.

— Nigdy nie wspominałem ci o tym, ile mi winien jesteś — rzekł Ben obcym jakimś głosem. — Przypominam ci o tym teraz.

— Tak, masz słuszność, — wycharkotał Nevada — skoro ujmujesz to w ten sposób, jesteś skończonym idiotą — nigdy ci tego nie zapomnę.

— Przygotować konie, odwiązać lasso — rozkazał Ben, po czym, dobywszy noża, otworzył go i przybliżył się do Halla. Pchała go jakaś siła, której nie znał dotychczas. W duszy jego płonął żywy ogień.

— Hall. Tam, na lodzie znajduje się dziki rumak, o którym marzę od wielu lat. Czy pomożesz mi schwytać go, jeżeli przyrzeknę tobie i ludziom twoim wolność?

Hall pochylił głowę w kierunku twarzy Bena, jak gdyby chcąc słyszeć dokładnie wszystko, co młody Ide doń mówił.

— Dobrze, pomogę — mruknął.

Bez słowa zwrócił się Ben do reszty opryszków; wszyscy przystali na jego propozycję. Ben zajął się rozwiązywaniem pęt na nogach jeńców.

— Śpieszcie się — dyszał. — Nevada weźmie dwóch ludzi i ruszą na lewo. A ja z Hallem i jeszcze jednym z jego pomocników przetniemy rzekę.

Modoc zostanie tutaj, dopóki wszyscy nie ukażemy się na brzegu. Potem wolno przybliżać się będzie ku naszej ofierze... Mam nadzieję, że reszta pójdzie łatwo.

Posłuszni rozkazom Bena rozstawili się odpowiednio i wszyscy wyruszyli w kierunku zamarzniętego jeziora.

Wątła powłoka lodu trzeszczała pod kopytami koni, lecz wytrzymywała ich ciężar. Ben skierował jeźdźców śmiałym galopem w kierunku zachodnim, nie spuszczając z oka stada dzikich koni. Dotarłszy prawie do samych brzegów jeziora, zatrzymał się na niewielkim, falistym wzniesieniu. Ujrzał w oddali Nevadę w towarzystwie dwóch jeźdźców, przedzierających się również w tę stronę, Modoc przybliżał się od strony ujścia rzeki.

Czerwony Mustang, oddalony o milę od brzegu, szedł wprost w kierunku Bena powolnym krokiem, prawie truchcikiem. Płomienna jego sierść i gęsta grzywa powiewały na wietrze. Sześć innych koni posuwało się tuż za nim.

Ujrzawszy Bena, Czerwony Mustang zarżał niespokojnie. W pewnej chwili poślizgnął się na lodzie i upadł, nie mogąc w żaden sposób się podnieść.

— Cudny mój — zawołał Ben dziko drżącym ze wzruszenia głosem. — Nie ulega wątpliwości, że należysz już do mnie, — jesteś moją własnością.

Reszta dzikich koni spoglądała przez chwilę, jak gdyby z litością na swego wodza, po czym wszystkie odwróciły się od rumaka, leżącego bezradnie na lodzie. Czerwony Mustang uniósł głowę na chwilę, zwracając wzrok ku swemu stadu. Zdawało się, że orientował się doskonale w przykrej swej sytuacji, przy każdym bowiem śmielszym ruchu kopyta ślizgały się po gładkiej powłoce lodu. Wymownym gestem stłumił Ben okrzyki radości swych pomocników; wszyscy oni skierowali swe wierzchowce poprzez piaszczyste pagórki w stronę zamarzniętego jeziora. Po chwili znów jeden z dzikich rumaków potknął się mimo woli, a za nim drugi; wstać już żaden z nich nie mógł. Na nieskażonej bieli lodu czarnymi plamami odznaczały się nieruchome ciała leżących koni.

Tymczasem Ben skierował swego wierzchowca szybko w stronę jeziora, oddalając się tym samem od swych pomocników, którzy z dzikimi okrzykami rzucili się za nim. Najprzeraźliwszy był rozradowany głos Halla, w którego duszy odezwał się dziki instynkt wytrawnego łowcy. Pierwszy dotarł do lodu Ben. Ostre podkowy jego wierzchowca pozwalały koniowi

utrzymać się na nogach. Ben zatrzymał, się na chwilę w oczekiwaniu na resztę jeźdźców, którzy według danego uprzednio polecenia mieli utworzyć wraz z nim zwarty półokrąg. Nevada był jeszcze bardzo daleko i starał się niepostrzeżenie przybliżyć ku reszcie towarzyszy. Ośmiu jeźdźców stanęło wkrótce w rozstawnym łuku, ogradzającym większą część zamarzniętego jeziora.

Czerwony Mustang odwrócił się w stronę, skąd przybliżał się Nevada. Z przeciwnej strony Modoc zamykał odwrót reszcie dzikich koni. Zwierzęta, widząc zasadzkę, poczęły przebiegać w panicznym strachu z miejsca na miejsce, aż wreszcie zdawały się rezygnować z dotychczasowej swobody. Po dłuższej chwili cichej walki cztery dzikie rumaki wydostały się na wolność. Dwa konie, leżące na lodzie, pozostały wraz z swym wodzem, który zdawał się niepokoić z każdą chwilą bardziej. Jeźdźcy się zbliżali. W pewnej chwili Nevada znalazł się między Czerwonym Mustangiem i niewielką, niezamarzniętą przestrzenią jeziora.

— Bliżej, tylko wolno — rozkazał Ben, przygotowując pętlę swego lassa.

Chwila była niesamowita ze względu na szybkie postępowanie akcji. Ileż niepewności! Wtem Czerwony Rumak zebrał ostatki sił, usiłując umknąć. Momentu tego oczekiwał Ben, w takiej właśnie chwili najłatwiej mu było ująć wymarzonego konia.

Młodzieniec podkradał się wolniutko, to znowu cofał się parę kroków ze spojrzeniem, utkwionym ustawicznie w ciemnej plamie, odznaczającej się na lodzie, niby krwawy płomień. Powaga chwili wytrąciła go zupełnie z równowagi, nozdrza mu drżały, a twarz pokrywała śmiertelna bladość.

— Dalej. Od tamtej strony, Modoc — krzyknął Ben. — Wszyscy za mną! Nevada ze strony przeciwnej. Otoczyć go jak najbardziej zwartym kołem... A teraz, chłopcy, za mną! Z jak najgłośniejszym krzykiem! Oblężyć go, gdy będzie chciał umknąć.

Nagle Czerwony Mustang zebrał ostatki sił. Jakże wspaniale skoczył! Całe ciało wygięło się dziwnie, a zręczne nogi usuwały się ciągle po szklistej powłoce. Szedł znowu wprost na Bena z rozdętymi nozdrzami i z trzaskiem kopyt, który przypominał suchy odgłos rewolwerowych strzałów. Widocznie pragnienie swobody silniejsze było od niebezpieczeństwa, w jakim się znajdował. Trzymał się mocno na nogach aż do chwili, gdy padł pierwszy strzał, który bardziej go przeraził, niż ranił.

Zwierzę padło na lód, a gdy obróciło się na lśniący grzbiet z kopytami, podniesionymi ku górze, lasso Bena zacisnęło się dokoła jego szyi. W głuchej chwili tragicznego wyczekiwania Czerwony Mustang uczuł pęta, wiążące mu przednie nogi. Z piersi jego wydarł się dziki ryk. Czerwony Mustang wpadł w zasadzkę. Ben spiął wierzchowca ostrogami, ażeby przyjrzeć się swej ofierze z bliska. Grube liny opasywały szyję i nogi zwierzęcia; o ucieczce nie mogło być mowy. A gdy w pewnej chwili piękny rumak podniósł głowę, zarzucone zręcznie lasso Indianina zacisnęło się mocniej jeszcze dokoła jego szyi. Nevada przybliżył się wolno, twarz jego dziwnie pobladła.

— Ten szatan doprowadził nas do ruiny, lecz wart był tego zachodu — zawołał.

Ben rozkoszował się w tej chwili widokiem pokonanego zwierzęcia. Czerwony Mustang leżał bezbronny, obrabowany z największego swego skarbu — złotej, nieskrępowanej wolności. Każde drżenie jego ciała przemawiało do rozradowanej duszy Bena.

— Winszuję, Ide — wymamrotał Bill Hall, kładąc dłoń na ramieniu Bena. — Jestem bardzo zadowolony, że udało wam się schwytać taki piękny okaz... Doskonały z was łowca. Powinniście ćwiczyć się dalej... Gdybym miał więcej czasu, opowiedziałbym wam coś, lecz widzę zbliżających się w kierunku jeziora jeźdźców, muszę umykać wraz z swymi ludźmi.



Rozdział XIV

Dni mijały za dniami bez specjalnych zdarzeń w obozie Blaine'a; Ina po cichu modliła się w duszy o szczęśliwy powrót ojca, lękała się bowiem, że Setter przyjedzie z Hammell jeszcze przed przybyciem mr Blaine'a i zastanie ją samą, zajętą sporządzaniem handlowych bilansów. Zasadniczo nie uczuwała przed nim lęku, który istniał w jej duszy dawniej, wolała jednak nie spotykać się z nim sam na sam, chociażby ze względu na to, że pragnęła oszczędzić sobie przykrych z nim rozmów.

Dwaj cowboye Blaine'a przybyli pewnego dnia po świeże zapasy żywności i opowiadać zaczęli o tym, co się działo nad „Opuszczoną Rzeką", — wspominając przy tym o niezwykłym przygnębieniu mr Blaine'a. Sprytny Marvie złowił mimo woli kilka słów cowboyów, że Strobel zadzierał dziwnie ze służbą ojca Iny.

W niedzielę w południe przyjechał Setter; oczywiście, wieść o tym przyniósł Inie Marvie. Obydwoje z siostrą utworzyli pewnego rodzaju spisek przeciwko Lessowi Setterowi, spisek ten miał na celu obronę Bena Ide'a przed opinją publiczną.

Ina postanowiła manifestacyjnie wystąpić przeciwko wspólnikowi swego ojca; miała wprawdzie popleczników w matce swej i Marviem, lecz jednak nie zawsze znajdowali się oni przy niej, Marvie bowiem ustawicznie zajęty był swym rybołówstwem i ujeżdżaniem nieoswojonych jeszcze koni, a odciągnięcie od tych zajęć na pewno sprawiłoby mu przykrość. Dwukrotnie już powrócił z nad „Opuszczonej Rzeki", przywożąc z sobą obfitą zdobycz w postaci ogromnych pstrągów i obszerny temat do opowiadania na dni kilka.

Owej niedzieli od samego rana Ina obserwowała przez lunetę oddalone od jej namiotu budynki obozowe. Widziała wyraźnie Settera, spacerującego manifestacyjnie w towarzystwie szeryfa Judda i adiutanta jego, Walkera. Miss Blaine utwierdziła się bardziej jeszcze w przekonaniu, że nienawidzi tego człowieka, który był dla niej uosobieniem najgorszych intryg.

Oczywiście, była pewna, że prędzej, czy później musi się z nim spotkać i wdzięczna mu była podświadomie, że sam nie szukał już tego spotkania zaraz po powrocie. Marvie, zajęty czymś tuż koło szałasu Settera, utrudniał mu oczywiście zetknięcie się z Iną. Przy okazji starał się jednocześnie podsłuchać rozmowę Settera z oficerami, lecz, niestety, mówili tak cicho, że nic prawie usłyszeć nie zdołał. W dziecięcym swym sprycie Marvie doszedł do wniosku, że musieli omawiać nieczyste jakieś sprawy, skoro krępowali się jego obecnością.

Następnego ranka, gdy Ina ubierała się jeszcze, Marvie zapukał do jej namiotu.

— Cóż tak wcześnie, ty zapalony rybaku? — zawołała, wychylając głowę. — Czy masz już przygotowane robaki?

— Ach, głupstwo — odparł z jasnym uśmiechem. — Posłuchaj, siostrzyczko, Judd i Walker udali się z zapasami żywności do „Opuszczonej Rzeki”.

Istotnie, z pośród kłębów, unoszącego się na drodze, kurzu wyłoniły się cztery postacie jeźdźców, zdążających najkrótszą drogą w stronę zagrody młodego Ide’a.

— Po cóż oni tam jadą? — zdziwiła się Ina.

— Po Bena — mruknął Marvie posępnie. — Chcą widocznie zdemolować jego zagrodę, nim jeszcze zdołają pojmać jego samego... Ino, jeżeli uda ci się wykręcić mnie jakoś przed ojcem, pojadę za nim i inną drogą i zobaczę, co ten Judd zamierza.

— Dobrze, Marvie. Powiem ojcu, że sama cię wysłałam i bronić cię przed nim będę — odparła Ina rezolutnie. — Weź moją lunetę i śledź każdy ich ruch.

W godzinę po śniadaniu, jak zwykła to czynić zawsze podczas nieobecności ojca, Ina udała się do codziennej swej pracy w biurze. Sama twierdziła, że biuro było dla niej najprzyjemniejszym miejscem, bo mogła tam myśleć swobodnie. Siedząc przy biurku swego ojca nad otwartą, buchalteryjną księgą, ujrzała wchodzącego do pokoju Settera.

— Dzień dobry, kochanie — rzekł czule.

Bez słowa odpowiedzi Ina pisała dalej.

Zaśmiał się głośno, a śmiech jego chrapliwy sprawił dziewczynie dziwną przykrość; w oczach jej zakręciły się łzy oburzenia. Zajął miejsce przy biurku, tuż przy niej.

— Ino, czyż nie ma pani zamiaru powiedzieć mi „dzień dobry”? — zapytał uprzejmie.

— Oczywiście, że nie — odparła, patrząc mu prosto w oczy. Twarz jego zmieniła się dziwnie jakoś od czasu, gdy go widziała po raz ostatni; wyraz okrucieństwa znaczył się na niej obecnie wyraźniej jeszcze, co wzbudzało w duszy Iny niewymowny wstręt do tego człowieka. Poufałość, z jaką zwracał się do córki swego wspólnika, zdawała się być dlań czymś zupełnie zwykłym, pewien był bowiem, że wszystko, czegokolwiek zapragnie, stać się musi. Z drugiej znów strony słodkie słówka Settera wzbudzały w duszy Iny dziwną ochotę walki z nim i dodawały jej bodźca do uzewnętrznienia, tlącego w niej od dawna, buntu.

— Mr Setter, czy zechce pan łaskawie opuścić biuro? — rzekła zimno. — Mam dużo roboty, do której niezdolna jestem w pańskiej obecności.

— Dlaczego pani dla mnie taka niedobra? — szepnął, siląc się na subtelność.

— Nic mnie do pana nie przekona.

— Dziwnie pani rezolutna dzisiaj — mruknął, obrzucając ją wyrafinowanym spojrzeniem. — Cóż się pani stało?

— Sprawy moje nie powinny pana interesować — zapłonęła Ina. — Czy pan wreszcie stąd wyjdzie?

— Nie. A pani nie ma prawa mnie stąd wypraszać — odparł, mniej już grzecznie. — Jeżeli mam być szczery, biuro to należy więcej do mnie, niż do Harta Blaine'a.

Odpowiedź jego nie zdawała się być dla Iny niespodzianką, przygotowana była na takie powiedzenie od dawna. Zdawała sobie dokładnie sprawę, że uczynienie afrontu Setterowi mogło pociągnąć za sobą przykre dla niej konsekwencje, lecz jednocześnie pragnęła nade wszystko dowiedzieć się od niego o tym, co ją interesowało obecnie najbardziej.

— Istotnie? — rzekła, siląc się na obojętność. — Mam wrażenie, że pan kłamie.

— To nie jest kłamstwo — odparł głośniej, a ciemna, oliwkowa jego twarz stała się w tej chwili sina. — Przejąłem wszystkie dokumenty pani ojca, a mr Adam odpadł zupełnie. Nawet Amos Ide odmówił wreszcie swego udziału. W banku w Hammell zatrzymano papiery Blaine'a na sumę dwustu tysięcy dolarów. Postanowili go ukarać. Farma zostanie sprzedana na licytacji, a wszystkie stada staną się moją własnością.

— Jeżeli założymy, że to wszystko prawda, cóż wtedy? — spytała wyzywająco Ina.

— Zostanie pani moją żoną, lub też ojca pani doprowadzę do zupełnej ruiny — wybełkotał Setter, pochylając się nad nią.

— Czy jeszcze dąży pan do tego, mr Setter? — zdziwienie drżało w jej głosie.

— Do czego? — podchwycił.

— Do małżeństwa. Ależ to śmieszne. Nigdy bym nie została pańską żoną.

— Powiadam raz jeszcze, że ojca doprowadzę do ruiny — wykrzyknął Setter gniewnie. — Zostanie żebrakiem.

— Proszę, niech pan to uczyni — zapłonęła namiętnym gniewem. — Nie zmartwi to na pewno nikogo. Matka moja i ja powitamy z radością nędzę, nienawidzimy bowiem bogactwa. Tak samo zresztą, jak bogactwo doprowadziło ojca mego do zupełnej moralnej ruiny, zmuszając go do przebywania z takimi ludźmi, jak pan.

— Zapamiętam to sobie, miss Ino Blaine — syknął Setter. Widoczne było, że zdrowy pogląd dziewczyny zaskoczył go niespodziewanie i spotęgował jeszcze tlący w nim gniew.

— Nie dbam o to, co pan sobie zapamięta, — ciągnęła dalej Ina — lecz proszę opuścić ten pokój, albo też — pozwolić mi wyjść stąd.

— Musi pani zaczekać, aż skończę — wybuchnął, wpijając w twarz jej świdrujące swe oczka. — Nie powiedziałem pani jeszcze, że mogę ojca wtrącić do więzienia za komunikowanie się jego ze złoczyńcami. Z łatwością mogę to uczynić.

Wyraz jego twarzy świadczył o tym, że mówił prawdę, aczkolwiek czynił to bardzo rzadko. Postanowił raz wreszcie zdemaskować się i wyjawić przed Iną najgłębszą swą tajemnicę, tym bowiem sposobem usiłował zmusić ją do przystania na jego propozycję Wiedział, że myśl o uwięzieniu ojca doprowadzi Inę do ostatecznej rezygnacji, z której on, oczywiście, skorzysta. Omylił się jednak, po krótkiej bowiem chwili

słabości Ina odzyskała znowu równowagę, aczkolwiek to, co mówił Setter, wydało jej się czymś kompletnie potwornym.

— O, wiem — rzekła, cedząc słowa przez zęby. — Niedawno temu jeszcze biedny Ben Ide był również wspólnikiem opryszków, teraz znów został nim mój ojciec... Sądzę więc, że ojca mego i Bena Ide'a uważa pan za wspólników zbrodni.

— Bena Ide'a wygnam z kraju, lub też wtrącę go do więzienia — syknął Setter.

— Nie uczyni pan tego.

— Ho, ho. Więc pani zależy tak na Benie? Okazuje się, że bardziej, niż na ojcu. Mam wrażenie, że znalazłem wreszcie ten najważniejszy sęk.

— Jeżeli ojciec mój był takim głupcem, takim strasznym głupcem, że pozwolił się tak haniebnie oszukać, zasługuje on na wszystko najgorsze, nawet na więzienie — oznajmiła Ina z zapałem. — Ben Ide jest czysty, jak złoto. Wygnano go z domu, ale on jest uczciwy i nigdy nie kłamie. Zna pan przysłowie, że prawda zawsze na wierzchu się ukaże. Insynuacje pańskie i pańskie kłamliwe oskarżenia sprawiedliwość musi ukarać... To właśnie pan, Less Setter, powinien być wygnany z kraju, ja zaś stać będę zawsze przy boku Bena Ide'a, dopóki nie zostanie on zrehabilitowany.

— Głupstwa pani plecie — wykrzyknął Setter, chwytając ją za ramię. — Czym jest Ben Ide dla pani?

— Mnie to pan pozostaw! Nie pański interes. Zresztą, jeżeli pan tak bardzo chce wiedzieć, — zawołała, starając się wyswobodzić z uścisków kleszczowych jego palców — powiem panu, że kocham Bena Ide'a, zaręczona z nim jestem i zamierzam zostać jego żoną.

— Żoną Bena Ide'a... Ty, biała kotko — dyszał chrapliwie wściekły ze zdziwienia i zawstydzony porażką. Z siłą opętańczą przyciągnął ją ku sobie. — Więc niechaj Ben Ide dostanie to, co ja zostawię.

Pod wpływem gorących jego pocałunków i namiętnych objęć w Inie zrodziła się nieznana jakaś siła. Bez zastanowienia okładała teraz zaciśniętymi kułakami jego twarz, usiłując trafić w nabiegłe krwią oczy. Widocznie broń ta nie zawiodła, napastnik bowiem wypuścił z ramion swą ofiarę i odskoczył od niej z dzikim pomrukiem. Oburzona dziewczyna popchnęła go tak silnie, że padł ciężko na najbliżej stojące krzesło. Skorzystawszy z chwili jego słabości, Ina wybiegła z pokoju, pozostawiając za sobą drzwi otwarte i śpiesznym krokiem skierowała się w stronę namiotu. W myśli przysięgała, że, jeżeli kiedykolwiek jeszcze Setter będzie ją napastować, zabije go, jak psa.

Marvie wrócił dopiero późnym wieczorem. Przez lunetę Iny obserwował dokładnie Judda i Walkera aż do chwili, gdy weszli obydwaj do chatki Bena; zdaniem jego nie zanosiło się na to, aby mieli zamiar wyjść stamtąd wkrótce. Widział, jak wchodzili do wnętrza z ciężkim jakimś workiem. Obejrzeli również szopę i wszędzie drzwi pozostawiali otwarte.

— Widocznie mają tam zamiar pozostać, dopóki Ben nie wróci — kończył opowiadanie swe Marvie.

— Ben prawdopodobnie wróci niezadługo — zauważyła Ina.

— Dokąd pojechał?

— Marvie, nie wolno ci o tym mówić nikomu. Ben udał się, aby schwytać przy robocie bandę koniokradów.

— Bandę Billa Halla? Cowboye twierdzą, że Ben jest z nim w zmowie... Śmieszne, że Ben wyjechał teraz właśnie, gdy chcą go aresztować. Na litość Boga, jakże mógł się odważyć wystąpić przeciwko bandzie, mając dwóch ludzi do pomocy tylko?

W danej chwili Ina podzielała zupełnie zdanie młodszego brata, jednakże wiara w Bena dodawała jej otuchy, a naw et pewności, że młody Ide zwycięży. Postanowiła nie myśleć o tym, doszła bowiem do wniosku, że są na świecie rzeczy, których dziewczęta zrozumieć nie potrafią. Widziała przed sobą cały szereg obowiązków do spełnienia, od których zależała przyszłość Bena Ide'a.

Następnego ranka, ku wielkiemu zdziwieniu Iny, Setter wyruszył z obozu, wiodąc za sobą dwa objuczone wierzchowce. Oczywiście, skierował się również w stronę „Opuszczonej Rzeki". Czyżby zamierzał połączyć się z oficerami z Redlands, czy też wyruszał na spotkanie mr Blaine'a? O obydwa te zamiary Ina podejrzewała znienawidzonego wroga. Od chwili wyjazdu Settera z obozu ustawiczne rozmowy o Benie Ide przycichły znowu i zapanował ogólny spokój.

W pierwszych dniach sierpnia poranki i wieczory stały się nieco chłodniejsze. Dni mijały za dniami, a Ina z trudem już orientowała się, kiedy właściwie mieli wrócić do farmy w Tule Lake. Długie godziny samotności przepędzała na codziennych zajęciach w biurze i zabawie z młodszą siostrzyczką. Najbardziej radowała ją myśl, że Hettie Ide odłożyła swą zapowiedzianą wizytę na później, cóżby bowiem Ina powiedziała teraz Hettie o Benie i czy mogłaby jej wspomnieć o miłości Nevady.

Dopiero pierwszy krzyk dzikich gęsi zwrócił uwagę Iny, że lato mija powoli, krzyk ten powtarzał się coraz częściej każdego wieczora nad brzegami wyschniętego jeziora i wzbijał się zawodzącym echem ku przestworzom.

W pierwszych dniach września do obozu wrócił mr Blaine w towarzystwie cowboyów i Settera.

Inę zaniepokoił przygnębiony wygląd ojca, który zmienił się bardziej jeszcze od chwili wyjazdu z obozu. Wiedziona wrodzoną, kobiecą intuicją dziewczyna postanowiła nie wspominać o zajściach, które miały miejsce podczas nieobecności ojca, będąc pewną, że sam się o tym prędzej, czy później dowie. Widywała mr Blaine'a prawie tylko podczas obiadów, unikając poza tym wszelkich z nim spotkań. Przez szereg dni trawiła ją ciekawość, co mógł Less Setter opowiedzieć o niej mr Blaine'owi, ojciec bowiem zdawał się obecnie nie obdarzać jej tym samym zaufaniem, co dawniej.

Wraz z powrotem mr Blaine'a i Settera do obozu między cowboyami poczęły krążyć nowe plotki, które Marvie przynosił każdego dnia Inie.

Podobno Judd i Walker znaleźli kompromitujące jakieś poszlaki w zagrodzie Bena i udali się teraz za nim w góry. Stada Amosa Ide'a,

przebywające na pastwiskach w okolicy Srebrnej Łąki, zostały częściowo wykradzione, częściowo zaś padły z powodu ustawicznie trwającej suszy. Szeryf Strobel zjawił się pewnego dnia w obozie Blaine'a, z którym odbył potajemną jakąś konferencję. Zdaniem cowboyów, musiał on namawiać Blaine'a do czegoś, jak się okazało bowiem, po rozmowie z szeryfem, plany Blaine'a uległy pewnej zmianie. Przybycie Settera do zagrody wytrąciło zupełnie ojca Iny z równowagi, wprowadzając go w pewien stan apatycznego spleenu.

Mrs Blaine również ostatnio zaniemogła i Ina z Dall zmuszone były pielęgnować ją, oprócz spełniania wszystkich obowiązków, związanych z kobiecym gospodarstwem.

— Wracajmy do domu, ojcze — prosiła Ina, korzystając z pierwszej sposobności znalezienia się sam na sam z mr Blainem. Stanowczo tu za zimno dla matki. Noce bywają tak wietrzne, że wiatr wciska się nawet do namiotów.

— Powinienem był już od dawna wrócić do Tule Lake, Ino — odparł apatycznie. — Lecz bardzo być może, że nie należy już ono do mnie, tak przynajmniej twierdzi Setter. Obóz ten jest wszystkim, co mi pozostało.

— Czyż to możliwe, ojcze? — zawołała Ina.

— Nie wiem. Jestem zupełnie oszołomiony. Powtarzam tylko słowa Settera. Skłania on mnie teraz do tego, abym zmusił cię do małżeństwa z nim. Ja jednak, z mojej strony, nie pozwoliłbym nigdy na to, gdybyś ty nawet chciała.

— Dziękuję ci, ojcze — odrzekła z rozjaśnioną twarzą. — Nie powinieneś decydować się teraz na żadne przedsięwzięcie, a tylko czekać.

— Czekać? Tak, dziecko, obudziłem się zbyt późno i teraz, z konieczności, mogę tylko czekać.

Wrzesień przyniósł z sobą pierwsze przymrozki i resztki niewyschłego jeziora pokryły się dość grubą powłoką siwego lodu. Jesienne dni przedstawiały się imponująco na tle błękitnego nieba, urozmaiconego delikatnymi obłoczkami i zaczerwienioną tarczą słoneczną, od której wierzchołki okolicznych gór zdawały się rumienić i uśmiechać ostatnim wspomnieniem lata.

Pewnego ranka było tak pięknie, że Ina, przepojona roztaczającym się wkoło niej cudem przyrody, zapomniała na chwilę o wszystkich troskach, panujących ostatnio w obozie. Dostrzegła zbliżającego się szybko Marviego.

— Judd i Walker wrócili — wybuchnął z zapartym oddechem. — Czekają teraz na ojca z bardzo poważnymi minami.

Ina pobiegła do namiotu matki, która przed paru dniami podniosła się już z posłania i, oczywiście, zastała tam ojca. Zauważyła, że ostatnio największą ilość wolnego czasu mr Blaine poświęcał żonie.

— Ojcze, wrócili oficerowie z Redlands i pragną się z tobą widzieć — zameldowała Ina.

— Dobrze, bardzo jestem zadowolony — szepnął zmęczonym głosem. — Ach, gdyby zechcieli oni przyczynić się do wyświetlenia tej zagadki.

Ująwszy mr Blaine'a pod ramię, Ina wyszła wraz z nim z namiotu, spoglądając z tkliwością na zmienioną jego twarz.

— Czy zechcesz mnie wysłuchać, ojcze? — szepnęła z powagą.
— Oczywiście, moje dziecko.
— Powinnam być wysłuchana — ciągnęła dalej z zapałem. — Nie mogę patrzeć na tę krzywdę. Rada moja powinna ci pomóc.
— Zstąpiłem na błędną drogę, a teraz chętnie posłucham twoich rad, dziewczyno.
— Długo to tworzyło się w moim umyśle — mówiła Ina spokojnie. — Setter zamierza doprowadzić cię do ruiny, a wraz z tobą biednego Bena Ide'a Nie zostałabym nigdy żoną Settera, nawet gdybyście się obydwaj z Benem zgodzili na to... Ojcze, ten człowiek zwyciężyć nie może. Coś się stać musi, aczkolwiek nie potrafiłabym wytłumaczyć dziwnych moich przeczuć... Błagam cię, nie wchodź w żadne układy z oficerami. Nie czyń nic. Czekaj po prostu.
— Niestety. Czyniłem tak, jak chciał Setter, a przez cały ten czas nie słuchałem tylko rad twoich i matki — szepnął mr Blaine. — Najwyższy już czas, abym o tym pomyślał.
Zbliżali się do budynku, w którym mieściło się biuro. W samym środku obozu gromadka cowboyów snuła się leniwie tam i na powrót. Osiodłane konie z głowami, opuszczonymi na dół, zdawały się oczekiwać wyruszenia w daleką jakąś drogę. Wewnątrz budynku stał Setter, zajęty ożywioną rozmową z Juddem i Walkerem. Ina weszła do biura tuż za ojcem, nie mogąc uniknąć wyzywającego spojrzenia Settera.
— Dzień dobry, panowie — rzekł Blaine chłodno. — Czym mogę wam służyć?
— Dzień dobry, mr Blaine — odparł Judd donośnym swym głosem. — Osiągnęliśmy pewne rezultaty, z których radzi byśmy zdać relację. W zagrodzie Bena Ide'a znaleźliśmy poszlaki, które świadczą o należeniu jego do bandy koniokradów. Ruszyliśmy w poszukiwaniu za nim i znaleźliśmy obóz jego wśród gór. Widocznie wyczuł nasze zbliżanie się, umknął bowiem z obozu poprzedniej nocy. Pozostawił tam zapasy żywności, ubranie i czarnego, dzikiego rumaka, którego prawdopodobnie niedawno udało mu się ukraść. Zgubiliśmy wszelki ślad, a jednak posuwaliśmy się wolno dalej, aż w końcu natrafiliśmy na ślady przechodzącego stada. Znaleźliśmy stado, złożone z około dwustu pięćdziesięciu sztuk. Większa część tegoż stada należała niegdyś do Amosa Ide'a, jak również było tam kilka koni, które ukradziono panu, mr Blaine.
— Widocznie stado to zabłądziło w drodze, — zauważył Blaine. — Jakim sposobem doszliście do wniosku, że jest to stado Bena Ide'a?
— Zaraz to panu wyjaśnię — odparł Judd z udaną uprzejmością. — W obozie jego znaleźliśmy wiele rzeczy, które musiały mieć coś wspólnego ze znajdującym się w pobliżu stadem!
— Żaden sąd nie opierałby się na tym — rzekł ojciec Iny. — Nie znaczy to nic, że Ben opuścił swój obóz w pośpiechu; jest on przecież łowcą dzikich koni. Jakież macie panowie jeszcze dowody?
W tej samej chwili Setter wysunął się naprzód z triumfalną miną.
— Resztę wiadomości zachowamy do chwili aresztowania Ide'a. Mam wrażenie, że pan staje teraz w jego obronie.
— Zupełnie słusznie — oznajmił Blaine.

— Właściwie, mógłbym pana zmusić do posłuszeństwa. Jesteś pan moim wspólnikiem, a on kradł nasze stada.

— Setter. Jeżeli pójdę do więzienia, będzie to dla mnie większym ciosem, niż u trata kilku sztuk bydła — szepnął Blaine z bladym uśmiechem.

— Doprowadzę do tego, ażeby własny ojciec Ide'a wystąpił przeciwko niemu — wykrzyknął Setter, siniejąc z gniewu.

— Stanowczo byłby to już za stary kawał — zauważył Blaine obojętnie na pozór.

Setter zdawał się nie posiadać z wściekłości. Obserwująca go uważnie Ina doszła do wniosku, że jednakże stanowisko jego w stosunku do ojca i Bena nie było takie, jakiego się spodziewała. Widocznie łotr nie czuł się jeszcze zupełnie pewny.

Poczęto rozkładać przed Blainem najrozmaitsze drobnostki, znalezione w opuszczonym przez Bena obozie. Powątpiewanie zniknęło, gdy Ina ujrzała przed sobą litery Bena, wypalane na skórze siodeł. Serce jej drżeć poczęło. Widocznie wszystko sprzysięgało się na niekorzyść jej ukochanego. Jedyną pociechą była manifestacyjna nienawiść ojca, z jaką się odnosił do argumentów Judda i planów Settera. Zresztą, sposób odnoszenia się mr Blaine'a zadziwił również Settera, który przyzwyczajony był do nieugiętego swego autorytetu; bardziej jeszcze pewien był posłuszeństwa wspólnika w obecności dwóch obcych oficerów.

— Czy pośle pan, mr Blaine, cowboyów, ażeby przygnali z powrotem skradzione stado? — zapytał Judd.

— Jakże jest tam z paszą i wodą?

— Stanowczo lepiej, niż tutaj.

— A zatem, lepiej będzie pozostawić stada na miejscu i zaczekać na decyzję Amosa Ide'a — zadecydował Blaine.

— Zamierzamy wysłać umyślnego, który by zakomunikował o wszystkim mr Ide'owi i jednocześnie zaprosił go, aby tu przybył — dodał Judd, porozumiewając się wymownym spojrzeniem z Setterem.

— Doskonały pomysł — wtrącił Setter. — Ide jest również mocno w to zaangażowany.

Nie mogąc dłużej przysłuchiwać się rozmowie, Ina wyszła z biura, kierując się w stronę namiotów. Rozmyślała teraz o dziwnym stanowisku ojca i o tym wszystkim, co dziać się mogło w tej chwili z Benem. Czyżby miała zwątpić w jego uczciwość? Na samą myśl o tym spłonęła purpurowym rumieńcem.

Reszta dnia wlokła się powoli, jak gdyby minuty były godzinami, a godziny wiekami. Monotonia popołudnia działała gorzej jeszcze na roztrzęsione nerwy Iny. Przeczucie jej mówiło, że należało oczekiwać czegoś niespodziewanego, co mogło nastąpić w każdej chwili. Wreszcie nastał wieczór i Ina z uczuciem ulgi udała się na spoczynek. Obudziła się o świcie, dosłyszawszy u wejścia do namiotu przyciszony głos Marviego:

— Ino, zbudź się, na miłość Boską.

— Hallo, Marvie. Co się stało? — zapytała, podnosząc się z posłania.

— Bardzo mi przykro, naprawdę, Ino, że musiałem cię obudzić. Słońce jeszcze nie wzeszło, a zimno straszliwe.

— Czyż to były te rewelacyjne wiadomości? Po coś mnie zbudził? Czyżby ojciec... a może ktoś... Co się stało?

— Nic takiego. Wszystko w zupełnym porządku, bo przecież wszyscy śpią w obozie. Obudziłem cię, siostrzyczko, tylko dlatego, że musiałem się z tobą podzielić tym, co sam widziałem.

— Głuptas z ciebie, Marvie — wybuchła Ina na poły z gniewem, na poły z ciekawością.

— Ino, jezioro zamarzło zupełnie i dzikie konie po nim spacerują. Aż siedem sztuk. Są bardzo blisko od zagrody Bena.

— Czy prawdę mówisz, Marvie? — zapytała Ina z drżeniem w głosie.

— Daję ci na to słowo.

— Wstanę więc, nie zważając na zimno. Przynieś mi trochę gorącej wody, a ja dam ci zaraz moją lunetę.

Nim jeszcze Ina zdążyła na siebie włożyć coś ciepłego, Marvie ukazał się z gorącą wodą. Podała mu polową lunetę i po chwili zapomniała już zupełnie o nim, gdy doszły ją zachwycone jego okrzyki:

— O Boże! O Boże!

— Marvie, co ci się stało? — zawołała, wychylając głowę z namiotu.

— O Boże! o Boże! — wołał głosem, w którym mieszała się radość i przerażenie.

Tego było stanowczo dla Iny za wiele. Uporawszy się ze swą toaletą i narzuciwszy na siebie ciepły płaszcz, wybiegła z namiotu. Marvie siedział tuż przed namiotem z lunetą, skierowaną w stronę jeziora. Bystry wzrok Iny poszybował również w tym kierunku. Jakże przecudowny był widok. Pośrodku zamarzniętego jeziora dostrzegła kilka sztuk koni, znaczących się czarnymi sylwetkami na tle siwego lodu. Sprawiały raczej wrażenie drobnych punkcików, lecz Ina dokładnie zaobserwować mogła ich ruchy.

— Więc to są dzikie konie — wyszeptała. — Jaka szkoda, że nie ma Bena.

— O Boże! — mruczał pod nosem Marvie.

— Głuptas jesteś! Czyżbyś zachorował tak samo, jak Ben?

— Ino, spójrz, spójrz, ten rumak na czele — zawołał chłopak, porywając się na równe nogi i przykładając lunetę do jej oczu.

W soczewce lunety dojrzała Ina majestatycznego konia, czerwonego, jak płomień i tak dzikiego, jakiego Ina jeszcze nigdy nie widziała w życiu.

— Och, Marvie. Czerwony Rumak!... Czy i tyś go widział? Och, jakiż piękny.

— Czy to wszystko, co widzisz? — ironicznie zagadnął Marvie. — To Czerwony Rumak.

— Tak, widzę.

— Czy dobrze widzisz?

— Doskonale, czegóż chcesz ode mnie, chłopcze?

— Boć to przecież Czerwony Mustang — dziki rumak, o którym tak marzy Ben — oznajmił chłopak impulsywnie.

Ina omal nie wypuściła z rąk lunety, po chwili jednak odzyskała znów utraconą równowagę i zapatrzyła się w niezwykły okaz wierzchowca.

— Teraz nie lękam się już o Bena — wyszeptała nagle.

— Dziecko jesteś — mruknął Marvie niechętnie.

— Cóż widzisz takiego?

— Widzę cowboyów — oznajmiła Ina. — Zobacz Marvie... oni również dostrzegli dzikie konie i zbliżają się wolno ku nim.

— Śmieszne. Szkoda, że zauważyli Czerwonego Mustanga na lodzie. Mogą schwytać go bardzo łatwo. Nikt, oprócz Bena, nie powinien tego uczynić — mruczał Marvie, zapatrzony w jezioro. Na Boga. Ileż tam tych dzikich koni... Siostrzyczko, pozwól mi lunetę.

Wyrwał jej z rąk szkła i po chwili zawołał:

— Jeźdźcy wkraczają już na lód. Ino, oni schwytają Czerwonego Mustanga.

— O, pozwól mi spojrzeć, Marvie.

— Jedną chwileczkę... Trzej jeźdźcy po tej stronie, a dwaj zbliżają się od strony rzeki. Trzej inni znowu jadą wprost... Kimże mogą być, u licha? Założę się, że Ben znalazł jakichś pomocników. O Boże! To Ben przecież. Jedzie na swoim siwku... Spójrz, Ino. Jest już na lodzie.

Ina wydarła bratu lunetę i, w chwili, gdy kierowała ją na jezioro, dosłyszała dzikie okrzyki cowboyów, a potem, dzikszy jeszcze ryk schwytanych koni. Istotnie w jednym z łowców poznała Bena Ide’a. Serce jej zabiło mocniej.

Dzikie konie poczęły tłoczyć się w tę i tam tą stronę, widocznie przerażała je przestrzeń. Wszystkie one, oprócz Czerwonego Mustanga, znaczyły się idealną czernią na tle lodu. Ina z trudnością utrzymywała lunetę w dłoni. Emocja była tak silna, że dziewczyna upadła ciężko na wilgotną murawę, wspierając dłonie na kolanach. Każdy moment polowania śledziła teraz z zapartym oddechem.

Czerwony Mustang usiłował umknąć, cofnął się o kilka kroków w tył, aż wreszcie bezsilnie upadł na lód. Wszelkie jego usiłowania podniesienia się na nogi były bezskuteczne. Jeźdźcy się zbliżali. Wzrok Iny odróżniał teraz wyraźnie małego, siwego wierzchowca, wskazanego jej przez Marvie i, aczkolwiek nie zdawała sobie z niczego sprawy, wierzyła święcie, że oczyma duszy rozpoznaje wyraźnie jeźdźca. Wytężyła wzrok. Ta smukła postać i szerokie ramiona należały do Bena Ide’a. Z trudnością obejmowała lunetą postać ukochanego i wijącego się na lodzie Czerwonego Mustanga. W reszcie postanowiła zatrzymać spojrzenie na tym ostatnim.

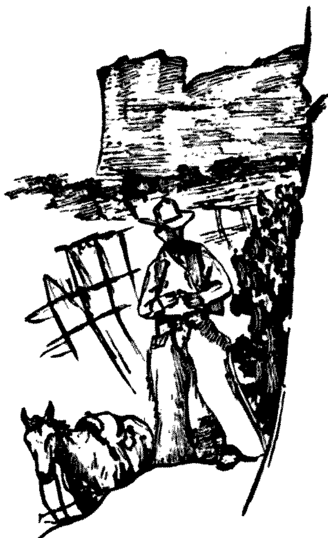
Dziwnie zachowywał się ten dziki rumak. Czemuż nie uciekał. Gdyby był królem dzikich koni, na pewno znalazłby choć odrobinę sił do ucieczki. Ina nade wszystko w tej chwili pragnęła, aby odzyskał swobodę, choć jednocześnie wiedziała, jaką radość przyniesie Benowi schwytanie upragnionego rumaka. Czerwony Mustang leżał wciąż na lodzie bez ruchu. Jeźdźcy zbliżali się coraz bardziej ku niemu, aż wreszcie na płomiennej, cudnie wygiętej jego szyi zacisnęła się pętla lassa. W soczewce lunety ukazał się mały, siwy wierzchowiec. Jeździec zsunął się z siodła. Towarzysze jego obstąpili ofiarę.

— O, Marvie, Ben go schwytał — zawołała Ina.

— Daj mi lunetę — wykrzyknął Marvie. — Tak, tak, już go ma. Wierzchowiec Bena cofa się... Jakiś inny jeździec się zbliża...

Ina zauważyła, że Marvie wpatruje się w lunetę z pewnego rodzaju przerażeniem. Gołym okiem dostrzegła, że jeźdźcy poczynają oddalać się galopem z pola bitwy.

— Ach, Boże — jęknął chłopak. — Spójrz, Ino... Judd i Walker zbliżają się, aby zaaresztować Bena.



Rozdział XV

Poranek ten był dla Iny okresem niepewności i złych przeczuć. Kilka godzin przepędziła w swym namiocie, przykrywszy głowę kołdrą, zdawało jej się bowiem, że każdy promień słońca, wciskającego się przez szpary w płótnie, razi jej oczy i sprawia dotkliwy ból.

Około południa Marvie, któremu starsza siostra wydała uprzednio odpowiednie instrukcje, zjawił się u wejścia do namiotu.

— Wrócili, Ino — rzekł posępnie.

— Czy — czy jest z nimi Ben? — zapytała, wychylając głowę spod kołdry.

— Tak. Są jeszcze dość daleko od obozu, ale obserwowałem ich przez lunetę. Jest z nimi Ben i Indianin.

— Idę już. Muszę być tam przecież — bąkała Ina, podnosząc się leniwie z posłania.

— Sądzę, że jest to twoją powinnością — rezonował Marvie. — Nie powinniśmy czekać triumfu Settera i patrzeć na to, jak ten łotr zacierać będzie dłonie z radością.

Rezolutna uwaga Marviego dodała Inie otuchy; serce poczęło jej bić żywiej w piersi, a dawna energia wróciła z wzmożoną siłą. Narzuciwszy na siebie ciepły płaszcz, wyszła z Marvie z namiotu.

Gdy uszli parę kroków, chłopak zwrócił się do siostry z wyrazem zaufania w oczach.

— Pójdź prędzej. Nie wolno nam ominąć niczego — rzekł, ujmując ją za rękę. — Matka jest w biurze, Setter bowiem i ojciec przysłali po nią, aby podpisała dokumenty. Oczywiście, nie chciała. Wówczas Setter wpadł w furię, a ojciec oszalał zupełnie. Przykry będą mieli koniec, gdy mr Ide tu przybędzie.

— Ojciec Bena? — zawołała Ina.

— Tak. Jeżeli mam być szczery, to nawet już jest w obozie. Wygląda zupełnie, jak stara sowa, ale przybycie jego położyło koniec wszystkim łajdactwom Settera. Zabrał on mr Ide'a do swego szałasu, gdzie siedzą dotychczas. Ojciec wyrzucił mnie z biura, lecz ja, nie taki głupi, słuchałem wszystkiego pod drzwiami. Słyszałem, jak ojciec mówił matce, że bardzo jest zadowolony, że nie chciała podpisać dokumentów; wymyślał przy tym ogromnie na Settera... a potem matka rzekła: Oszustwa jego nie powinny być dla ciebie nowością... Na to ojciec: Tak, ale teraz za późno. Nic na to wszystko nie poradzę. Wtrącą mnie do więzienia razem z Benem Idem. Najbardziej mnie boli, że ten łotr Setter uwziął się na biednego chłopca.

— Marvie, czy naprawdę ojciec tak powiedział? — szepnęła Ina, darząc brata serdecznym uściskiem. — Czyś słyszał jeszcze coś więcej?

— Nie. Któryś z cowboyów szepnął mi, że Judd jest w pobliżu. Zaniechałem więc dalszego podsłuchiwania i pobiegłem po ciebie.

— Czyś widział już Bena?

— Tak. Tam, na drodze. Spójrz przez lunetę.

— Nie. — Ina opuściła lunetę na dół. Nie mogła patrzeć na zbliżającą się postać ukochanego, prowadzonego przez okrutnych żandarmów.

Wkrótce obydwoje z Marvie przeszli niewielką przestrzeń i dotarli do pierwszych budynków obozu. Kwadratowy plac przed szałasami zapełniony był kilkunastu osiodłanymi końmi i gromadką cowboyów, zajętych ożywioną pogawędką. Panująca zazwyczaj w obozie Blaine'a chorobliwa atmosfera lenistwa pierzchła jakoś zupełnie.

— Cowboye są w pogotowiu — szepnął Marvie. — Bill Sneed stoi po stronie Bena, a za nim, oczywiście, i reszta chłopców. Powiadam ci, siostrzyczko, że zanosi się na gorącą jakąś rozprawę.

Gdy podeszli bliżej, Ina dostrzegła ojca, kręcącego się wśród cowboyów. Po chwili mr Blaine wszedł z powrotem do biura; za nim weszła Ina, zastając tam również matkę.

— Ino, mr Setter opowiada straszne jakieś rzeczy o twym ojcu — wybuchła pani Blaine przez łzy. — Jeżeli ja nie zechcę podpisać dokumentów i jeżeli ty go nie poślubisz...

— Mamo droga! Nie powinno cię to martwić — przerwała Ina. — Słyszałam już o wielu podłościach mr Settera. W najgorszym razie wszyscy razem pójdziemy do więzienia.

— Ależ, to byłoby straszne.

— Zupełnie słusznie, lecz nigdy do tego nie dojdzie — oznajmiła Ina poważnie.

— Dziecko, zbliża się szeryf z Benem Idem — zawołał mr Blaine, który stał dotychczas przy oknie.

— Wiem. Marvie mówił mi już o tym.

— Amos Ide jest już tutaj. Dla niego jest to najtragiczniejsze, Setter zabrał go z sobą.

Ina podbiegła do ojca i, zarzuciwszy mu ramiona na szyję, szepnęła:

— Ojcze. Raz jeden w życiu — teraz — pomyśl, że ja tu jestem przy tobie. Nie opuszczaj głowy, bo wszakże ten obóz do ciebie należy. Nie pozwól Setterowi rządzić się zbytnio, nie pozwól mu wygadywać głupstw. I... bądź dobry dla Bena Ide'a, bo — ja go kocham!

Ina przypuszczała, że ojciec wpadnie znowu w furię, myliła się jednak, mr Blaine bowiem podniósł się z krzesła i miękkim spojrzeniem objął postać córki.

— Przykro mi dziecko, że już dawno nie domyśliłem się tego — rzekł łagodnie. — Marvie szeptał mi coś niecoś o tym, lecz ja nigdy nie brałem słów jego na serio... Więc kochasz Bena Ide'a?

— Tak, ojcze — odparła z dumą.

— Szkoda, żeś nie powiedziała mi o tym dawniej... Teraz jest już za późno. Uczynią z Bena opryszka, chociażby nim nie był. Lecz...

— Ojcze! — zawołał Marvie, uchylając drzwi — oni już są tutaj.

Spokojnym krokiem wyszedł Hart Blaine z biura, za nim postępowały żona i córka. Na obszerny plac przed szałasem wjechali czterej jeźdźcy.

Przed wychodzącym mr Blainem rozstąpili się zalęknieni cowboye. Ina słyszała głuchy pomruk stojącego przy niej Marviego, lecz nie mogła zrozumieć dokładnie jego słów. Tłum cowboyów począł tłoczyć się na placu, a Ina zaciekawionym wzrokiem błądziła po przybyłych, wychylając się spoza pleców jednego ze sług ojca.

Tuż przed nimi Judd zatrzymał wierzchowca. Twarz mu pałała podnieceniem; rękę podniósł w górę, jak gdyby nakazując wszystkim milczenie.

Wśród tłumu, przed oczami Iny mignęła postać Bena Ide'a. Zmęczoną jego twarz pokrywała śmiertelna bladość; ręce miał skute kajdanami, a tuż za nim, również w kajdanach, jechał młody Indianin o ciemnooliwkowej cerze. Smutną kawalkadę zamykał Walker na małym, siwym wierzchowcu. Przerażone spojrzenie Iny zawisło na twarzy Bena. Serce jej biło jak młotem i zdało się wyrywać z piersi. Dlaczegóż on tak dziwnie wyglądał. W oczach jego majaczył cień okrucieństwa. Czyżby sytuacja wydawała mu się beznadziejna? Czyż nie miał już nic na swoje usprawiedliwienie?

— Tu jest ten człowiek, mr Blaine — zawołał Judd pompatycznie. — Obiecałem panu, że go schwytamy. Wraz z nim wpadł nam w ręce ten czerwonoskóry niewolnik.

— Za pozwoleniem, mr Judd — przerwał Blaine chłodno. — Pragnę zaznaczyć, że nie mam nic wspólnego z aresztowaniem tego młodzieńca.

— Lecz wspólnik pański, mr Setter, wyraźnie żądał tego — tłumaczył się Judd, zmieszany nieco. Mam wrażenie, że to na jedno wychodzi.

— Myli się pan. Setter i ja nie jesteśmy wspólnikami. Czy pan rozumie?

— Dziwne byłoby, gdybym pojmował pańskie słowa — wykrzyknął Judd, zaczynając tracić cierpliwość. — Setter twierdził, że występuje w pańskim imieniu i że ofiarował pan tysiąc dolarów nagrody...

— Milczeć — zawołał Blaine groźnym głosem, który odezwał się dziwnym echem w duszy Iny. — Pozwólcie mi dojść do słowa... Nie ofiarowałem żadnej nagrody i ani centa płacić nie będę.

Dziwny pomruk dobył się z krtani Judda. Zamilkł nagle i ze zdziwieniem spojrzał manifestacyjnie w stronę Settera.

Blaine przedarł się przez tłum stłoczonych cowboyów i, podszedłszy do siedzącego na siodle Bena, położył dłoń na jego kolanach.

— Ide, bardzo mi przykro, że was tu widzę — rzekł ostro z odcieniem dobroduszności.

Ben zdawał się być zdziwiony i przesłał ojcu Iny spojrzenie, pełne wdzięczności.

— Dzięki, mr Blaine — rzekł. — Nie może pan sobie wyobrazić, jak mi jest przykro.

— Ojciec wasz jest tu z Setterem.

Wychudła twarz Bena pokryła się rumieńcem.

— Tak, sir, spodziewałem się tego — odparł urywanym głosem.

— Chłopcze, czy zdobędziesz się jeszcze na trochę odwagi? — zapytał Blaine.

— Tak. Odważny jestem, jak piekło — wykrztusił Ben namiętnie. — Lecz byłem szalony i postradałem głowę zupełnie. Nigdy nie przypuszczałem, że taki będzie mój koniec.

Cała ta scena zbyt silna była dla Iny i dziewczyna poczęła się chwiać na nogach. Wiedziona ostatkiem świadomości, patrzała ustawicznie na Bena Ide'a. Czytała dokładnie w twarzy jego okropne męki, jakie przechodził w tej chwili. Ostatnie jego słowa dźwięczały w jej uszach dzikiem, niesamowitym echem. Odważny, jak piekło. A jednak, w jej obecności okazywał całą swoją słabość i nierówność charakteru. Tęskniła teraz za tym, aby móc podbiec do niego i stać przy jego boku bez względu na to, jak wielką była jego wina.

— Widzisz, Ide, — usłyszała znowu głos ojca — wątpię, czy mógłbym ci w czymś pomóc.

Dziwne jakieś poruszenie zapanowało w gromadce cowboyów, stojących tuż obok Iny. W przeciągu sekundy chłopcy stanęli zwartym szpalerem, na którego końcu pojaw ił się Setter, blady i z błyszczącymi oczami. Amos Ide szedł tuż za nim, lecz, zorientowawszy się w sytuacji, przystanął gdzieś na stronie.

— Więc macie tylko dwóch, Judd? — zawołał Setter władczym tonem. — Widzę tylko Ide'a i Indianina, a gdzie ten trzeci? Ten trzeci, którego nazywają Nevada?

— Umknął — odparł Judd.

— Co takiego? Pozwoliliście mu umknąć? Ładny z was szeryf! — wykrzyknął Setter gniewnie.

— Wysłuchaj pan przedtem, zanim mnie pan potępisz — wyszeptał Judd zmieszany. — Ten Nevada musi być człowiekiem ogromnie energicznym i, gdy zauważył kajdany w ręku Walkera, zapytał: Czy macie zamiar i mnie w to ubrać? Walker usiłował go również zakuć; wówczas Nevada podciął konia i umknął nam. Strzelałem za nim trzykrotnie, lecz chybiłem. Pogalopował za bandą Billa Halla.

Zdawało się Inie, że na dźwięk imienia herszta koniokradów spazm jakiś wykrzywił, chłodną zazwyczaj, twarz Settera.

— Bill Hall!... Co mówicie? — Ten Nevada połączył się z Bill Hallem?

— To właśnie miałem na myśli — odparł Judd. Banda Billa Halla znajdowała się razem z Idem. Zajęci byli chwytaniem Czerwonego Mustanga i, oczywiście, schwytali go.

— Bill Hall z Idem na polowaniu na dzikie konie? — zawołał Setter, jak gdyby źle rozumiejąc słowa szeryfa.

— Powiedzcie, mr Setter — zauważył Judd z ironicznym uśmiechem. — Czyż nie spodziewaliście się zastać Billa Halla z Ben Idem?

— Ale nie w takiej sytuacji — odparł Setter, usiłując zapanować nad sobą. — On — ja — mniejsza z tym... Jeżeli znów Hall był tam, dlaczego go nie aresztowaliście?

— Cha, cha, cha — zarechotał chrapliwie szeryf.

Śmiech ten wydał się Inie niesamowitym głosem, pochodzącym z królestwa szatanów. W tej chwili Marvie dotknął jej ramienia i po chwili zniknął pośród gromadki cowboyów.

— Blaine — zwrócił się Setter do wspólnika. — Pojmaliśmy dwóch opryszków, co pomoże nam do wyświetlenia sytuacji. Czy stanie pan w sądzie przeciwko nim?

— Nie, Setter. Stanowczo się na to nie zgadzam — odparł Blaine uprzejmie.

— All right. Stanie więc pan w sądzie z innego powodu — syknął Setter.

Tuż za jego plecami ukazała się wysoka postać Amosa Ide'a. Pomarszczona jego twarz nosiła teraz na sobie piętno goryczy. Wysunął się, aby spojrzeć w oczy synowi. W tej samej chwili ucichły ożywione szepty cowboyów. Wszyscy stali bez ruchu. Zdawało się, że nawet konie wyczuwały zbliżającą się katastrofę.

— Ben, doszedłeś do tego, co ci przepowiadałem — odezwał się stary Ide.

— Tak, przy twojej pomocy, ojcze — odparł Ben.

— Niewdzięczny synu. Łowco dzikich koni. Wiele to ma wspólnego z życiem zwykłego złoczyńcy... Zostaniesz teraz uwięziony w własnym swoim kraju. Zbrodniarzu.

— To ostatnie jest wierutnym kłamstwem — zawołał Ben namiętnie.

— Nie zaprzeczaj. Lepiej byłoby, gdybyś się przyznał do winy. I tak już dość wstydu przyniosłeś rodzinie, a teraz mieć będzie ona syna i brata w więzieniu.

Blada dotychczas twarz Bena stała się bledszą jeszcze; usiłował powiedzieć coś, lecz głos odmówił mu posłuszeństwa, uczynił więc wymowny gest ręką na znak protestu.

— Nic takiego nie uczyniłem, co by miało się sprzeciwiać prawu — zdobył się wreszcie na odpowiedź.

— Nie zaprzedawaj diabłu swej duszy. Nie kłam przed ojcem.

— Nie kłamałbym przed tobą, ojcze, nawet wówczas, gdyby chodziło o życie — odparł Ben, a wargi jego nabrały barwy popiołu.

— Dawno już przyznawałeś się do winy, dlaczegóż więc przeczysz teraz? Powiadam ci, że całkowita skrucha mogłaby cię jeszcze uratować, a nawet uratowałaby nas wszystkich.

— Bóg jeden wie, że winien jestem, ale wina moja nie jest taka, o jakiej myślisz ty, ojcze.

— Czy zaprzeczasz, żeś kradł stada?

— Zaprzeczam. Czy w ogóle powinienem zaprzeczać temu przed własnym swoim ojcem? — W oczach Bena zapaliły się niesamowite błyski.

— Sądzę, że tak. Ale, czy zaprzeczasz temu?

— Tak! wybuchnął Ben, a twarz jego zdała się teraz czernieć z każdą chwilą.

— Czy zaprzeczysz również, że towarzyszami twymi byli indiańscy złoczyńcy?

— Nie. Lecz uczyniłem z nich uczciwych ludzi.

— Czy zaprzeczasz, że wspólnikiem twoim był Nevada, którego poszukuje sprawiedliwość?

— Nie mogę temu zaprzeczyć, nic bowiem nie wiem o tym. On sam nigdy mi nic nie mówił. Był moim przyjacielem i robił dla mnie więcej, niż wy wszyscy.

— Jak wytłumaczysz znalezienie resztek zabitego bydła na strychu twojej chaty?

Ben objął ojca zdziwionym spojrzeniem.

— Tak, znaleziono je. Sam widziałem — ciągnął stary Ide, który zdawał się w tej chwili zupełnie nie panować nad sobą. — Wiemy wszyscy, z jakiego to pochodziło stada i ty wiesz również. Złowiłeś bydło, aby je zjeść tak, jak czynią wszyscy tutejsi złoczyńcy.

— Więc powiadacie, że ja to uczyniłem? — zapytał Ben przyciszonym głosem.

— Tak, znaleziono je bowiem u ciebie na strychu.

Nagle z pośród cowboyów wysunął się Marvie i stanął oko w oko z Amos Idem. Chłopak był blady i oddychał z trudnością.

— Mr Ide! — zawołał oburzony. — Żadnego worka nie było na strychu Bena. Wiem o tym doskonale, zostawiałem bowiem tam zwykle swoją wędkę. Strych był zupełnie pusty.

Setter porwał Marvie za ramię, starając się wypchnąć go z widowni.

— Precz stąd — syknął.

— Pójdź tu, chłopcze — zawołał Blaine. — Jeżeli wiesz cośkolwiek, możesz podzielić się ze mną wszystkim.

— Ojcze — wybuchnął Marvie. — Nadszedł wreszcie czas, aby powiedzieć im całą prawdę.

— Zamknijcie gębę temu smarkaczowi, Blaine — rozkazał Setter, a ton jego był tak groźny, że Marvie mimo woli schował się za plecami ojca.

— Mr Ide! — zwrócił się Setter, siląc się na pozorny spokój. — Ten mały Marvie Blaine jest kłamcą! Z własnym ojcem nawet się nie liczy. Po prostu kradnie mu konie z szopy. Uważają go ogólnie za wyrzutka społeczeństwa.

— Wkracza w ślady mego syna — odparł Ide z goryczą. — I wy, Harcie Blaine, będziecie cierpieć tak kiedyś, jak ja cierpię teraz. Syn wasz zostanie łowcą dzikich koni i złoczyńcą zarazem.

— Jakikolwiek by był, nigdy nie wyrzucę go z domu — oznajmił Blaine szyderczo.

Ignorując uwagę sąsiada, Amos Ide postanowił kontynuować egzaminowanie Bena, dla którego ojciec był w tej chwili gorzej, niż katem.

— Czyś pędził stada do Srebrnej Łąki? — zapytał.

— Nie.

Oficerowie ci znaleźli obóz twój w pobliżu Srebrnej Łąki.

— Wierutne kłamstwo. Było to o kilkadziesiąt mil od tego miejsca.

— Ho, ho, ho — zarechotał Judd, pochylając się na siodle. Przecież widział pan sam, mr Ide, wiele rzeczy, któreśmy stamtąd przywieźli. Nawet stada znaleźliśmy w obozie. Jeżeli żądacie innych dowodów, jedźcie z nami.

— Psy jesteście! — wykrzyknął Ben, lecz po chwili zamilkł znowu.

Amos Ide pokiwał bezradnie głową i wzniósł w górę wskazujący palec prawej ręki.

— Kradłeś moje stada.

— O, mój Boże, ojcze, jakże możesz w to wierzyć?

— Oszalałeś chyba. Widzisz przecież dowody. Najlepiej byłoby, abyś wyznał całą prawdę...

— Dowody? To nie są dowody, a kłamstwa — zawołał Ben złamanym głosem. — Posłuchaj, proszę, posłuchaj, na litość Boską. Ojcze, nie odwracaj się ode mnie. Wysłuchaj mnie... Jestem zupełnie niewinny. Nie kradłem nigdy. Nie dbam teraz o to, co ze mną uczynią, ale musisz mi uwierzyć, że nie kradłem twych stad! Jestem niewinny. Posłuchaj, ojcze... Nevada, ja i Modoc udaliśmy się, ażeby pochwycić bandę Billa Halla przy robocie. Modoc prowadził nas. Skradzione stada zastaliśmy w Silver Canyon, wypłaszając stamtąd jednocześnie Halla. Wreszcie, obiegliśmy go w jednej z pieczar lodowych! Walka trwała parę tygodni i, oczywiście, wróg poddał się, zmuszony głodem do kapitulacji. Związaliśmy jeńców i wróciliśmy do mojej zagrody. Pragnieniem moim było udowodnić Hartowi Blaine’owi, że jestem uczciwy... Tego samego dnia nad brzegami „Opuszczonej Rzeki‟ Indianin mój dostrzegł Czerwonego Mustanga, spacerującego po lodzie. Boże, jakież to było dla mnie straszne. O rumaku tym marzyłem od kilku lat, a teraz nadarzała mi się okazja schwytania go... Było nas tytko trzech, poprosiłem więc Halla, aby nam pomógł, ofiarując w zamian jemu i jego ludziom swobodę... Zgodzili się. Czerwony Mustang został pojmany. Cała ta historia wydała mi się tylko snem... Ujrzawszy zbliżających się oficerów, Hall umknął bez jednego strzału... I to jest wszystko, ojcze. Bóg niech zaświadczy, że mówię prawdę!

Amos Ide stał jak osłupiały, przejęty tragiczną opowieścią Bena.

— Synu mój! I cóż wypada mi począć dalej? — wyszeptał złamanym głosem.

— Przez wzgląd na matkę i Hettie powiedz mi tylko, ojcze, czy wierzysz w moje słowa? — wtrącił Ben. — Reszta mnie nie obchodzi. Mogą mnie nawet wtrącić do więzienia.

Serce Amosa Ide’a biło przyśpieszonym tętnem, aczkolwiek w duszy jego odzywał się ciągle jeszcze bunt przeciwko marnotrawnemu synowi, który przyniósł mu tyle rozczarowania.

— Dziwna ta twoje historia, tak, jak dziwne jest całe twoje życie — odparł mr Ide z goryczą.

Ina zauważyła nową bladość na twarzy Bena i głowę jego, skłonioną ku dołowi. Prosił tylko o tę odrobinę wiary i przebaczenia, które przecież należało mu się od własnego, rodzonego ojca. Zasadniczo sam przygotowany był na wszystko. Gdyby Ina silniejsza była nieco, podbiegłaby teraz ku niemu i zapewniła go o swej gorącej, niezmiennej miłości. Nie wyobrażała sobie jednak możności poruszenia się w tej chwili z miejsca. Przez chwilę wątpiła w prawdziwość słów Bena, a teraz wyrzucała samej sobie tę chwilową słabość. Za późno! Odpowiedni moment minął. Nawet gdyby podeszła doń teraz, aby dodać mu otuchy, czyż wyraz jej oczu byłby tak szczery, jak przed kilku dniami? Stanowczo źle postąpiła, nie stając przy jego boku w momencie, w którym rozgrywały się ich wspólne losy. Nagle uczuła czyjeś pieszczotliwe ramiona na swojej szyi. Za nią stał Marvie, drżąc na całym ciele i nie mogąc wymówić ani

słowa. W milczeniu wymownym ruchem pokazywał jej, oddaloną o kilkaset kroków, drogę. Spojrzenie pobiegło we wskazanym kierunku i dziewczyna ujrzała galopującego w ich stronę jeźdźca, który sprawiał wrażenie jednego z tutejszych cowboyów. Któż to mógł być ten, który tak szybko zbliżał się do obozu? Ujrzała długie, czarne włosy, rozwiane na wietrze. Nevada! Po chwili wierzchowiec zatrzymał się na placu.

Padły dwa, następujące po sobie strzały. Judd zachwiał się na siodle i zarył twarzą w suchy piasek. Walker jęknął boleśnie.

— Nie ruszać się z miejsca — zawołał Nevada rozkazującym tonem. Dymiący jego rewolwer zwisał teraz bezwładnie na siodle.

— Wy! — zaklął Setter, obrzucając przybysza wściekłem spojrzeniem. — Przez cały czas byliście wspólnikiem Bena Ide'a.

— Oczywiście. Spójrz teraz, łotrze, na Judda i Walkera.

Twarz Settera powlekła się śmiertelną bladością.

— Boże dopomóż.

— Spójrzcie, Setter, na drogę — ciągnął dalej Nevada. — Zobaczycie, kto przybywa. Oddział jeźdźców, nieprawdaż?.. Jedzie Strobel, adiutant jego i Bill Hall. Dopomogłem Strobelowi schwytać tę bandę i przywiodłem ich tutaj... Wkrótce Hall opowie mr Blaine'owi i mr Ide'owi, kim jesteście.

Przerażenie odmalowało się na twarzy Settera. Oczy jego zabłysły niesamowicie. Był teraz zupełnie przekonany, że Nevada wie o wszystkim. Bez zastanowienia porwał za broń.

I znowu padły dwa strzały... Znowu przemówił rewolwer Nevady, a kule utkwiły w piasku daleko za Setterem. Przebiły one jego ciało. Zachwiał się, posyłając ostatnie spojrzenie wściekłości i upadł lekko, niby wypróżniony worek.

Nevada oglądał teraz uważnie dymiącą lufę rewolweru. Z piersi jego dobył się dziki okrzyk. Zatoczył koniem, nie patrząc na Inę, jak gdyby specjalnie unikał jej wzroku. W przelocie zatrzymał tylko spojrzenie na twarzy Bena i dobrotliwy uśmiech rozjaśnił jego kredowo-bladą twarz. Spiął konia ostrogami.

— Bądź zdrów, pard! Będziesz miał teraz spokój — zawołał. — Wstąpię jeszcze do domu, aby popatrzeć po raz ostatni na Czerwonego Mustanga.

Wypadł przez bramę i pognał w kierunku zbliżających się jeźdźców. Kłęby kurzu, unoszące się spod kopyt jego wierzchowca, zasłoniły całą jego postać. Nie oglądając się więcej poza siebie, zniknął wkrótce Nevada na zakręcie ubitego traktu.

Rozdział XVI

Ben odwrócił się na siodle ze wzrokiem, utkwionym w znikającą w oddali sylwetkę Nevady. — Bądź zdrów, pard! Będziesz miał teraz spokój! — Ostatnie pożegnanie przyjaciela dźwięczało teraz w jego uszach. Nevada go uratował, lecz za jaką cenę to uczynił! Pierwszym odruchem Bena było pognać za nim i poświęcić wszystko dla człowieka, który kochał go prawdziwie.

Wtem uczuł delikatne czyjeś dotknięcie. Ujrzał tuż przy swym wierzchowcu Marviego z wzniesionym w górę spojrzeniem. Z drugiej strony ktoś ciepło ujął go za rękę. Ina! Szlochała teraz, przylgnąwszy do niego całym ciałem. Tuż poza dziewczyną stał Bill Sneed z odkrytą głową.

— Miss Ino, należy uwolnić jego ręce — szeptał chłopak, powstrzymując tłoczące się do oczu łzy. — Klucz znajdziemy u Judda w kieszeni...

— Dzięki, chłopcze — wyszeptał Ben, rozprostowując zmęczone ramiona. Pochylił się nad płaczącą Iną, która nieznacznie przylgnęła wargami do oswobodzonych jego rąk. Tłum się przybliżał, a Inę odprowadziła matka na stronę.

— Rozejść się! — zagrzmiał tuż przy nich donośny głos Strobela.

Ben dostrzegł szeryfa, zbliżającego się na czele oddziału jeźdźców. Rozstępujący się tłum cowboyów odsłonił trzy, leżące na placu, trupy.

— Do diabła! — wykrzyknął Strobel, podnosząc bezwiednie dłoń do czapki.

— Stało się to nie z mojej winy, szeryfie — odparł Blaine. — Ten dziki cowboy przyjechał tu, niby wicher, i położył wszystkich trzech trupem na miejscu.

Strobel pochylił się nad zastygłem ciałem Settera

— Dwie kule przeszły na wylot — szepnął. — Doskonały strzelec! Czy cowboyem tym nie był Nevada?

— Nikt z nas nie wie. Przypuszczam, że młody Ide również — odparł Blaine. — Jeden Setter znał go widocznie i spotkanie to przypłacił śmiercią.

— Tak, sir, to był Nevada, którego spotkaliśmy. Z wyglądu jego domyśliłem się, że zaszło tutaj coś złego.

— Jeżeli o mnie chodzi, to śmierć Settera mnie wybawiła — oznajmił Blaine nieśmiało.

— A kto są ci dwaj, Judd i Walker? — zapytał Strobel.

— Szeryf i adiutant jego z Redlands.

— Hm! Nigdy nie słyszałem o nich. Widocznie od niedawna dopiero służą, byłem bowiem w Redlands ostatniej zimy.

— Czy to prawda, Strobel, że ujęliście Billa Halla ?

— Spójrzcie tam... Ten potężny mężczyzna o rozwichrzonych włosach, to Hall. A tam znów to jego banda... Wyjątkowe szczęście mieliśmy, Hart.

— Tak, tak, to prawda — rzekł Blaine, głęboko wzdychając. — Pozwólcie teraz, że doprowadzę wszystko do porządku.

Wydał odpowiednie instrukcje cowboyom, aby przykryć natychmiast, leżące na placu, trupy.

— Proszę do mego biura, mr Ide — ciągnął po chwili. — Zabierzcie ze sobą Halla Strobela i kogo jeszcze chcecie. Marvie idzie ze mną, a i Ben będzie również potrzebny.

Najdziwniejsza chwila tego strasznego dnia nastała, gdy Ben znalazł się w biurze Blaine'a. Wystarczyło mu jedno spojrzenie, wysłane w kierunku siedzącego opodal ojca, aby zauważyć, że gorycz mr Ide'a, granicząca z nienawiścią, zniknęła bezpowrotnie.

— Panowie — odezwał się Blaine, zajmując miejsce przy biurku, — pozwolicie, że zajmę głos pierwszy, aczkolwiek przemowa moja będzie zupełnie krótka. Setter jest odpowiedzialny za te wszystkie podłości, jakie wyszły na jaw w ostatnim czasie, ja bowiem nigdy nie byłem nieuczciwy. Zbudziłem się, niestety, za późno. Teraz, pragnę tylko uratować farmę Tule Lake, wątpię jednak, czy dokumenty Settera, złożone w banku, nie zaważą na szali.

— Cieszę się, że mogę panu powiedzieć, mr Blaine, że wszystkie dokumenty, podpisane przez Settera, nie mają żadnego znaczenia — wtrącił Strobel.

— A zatem, jestem znowu szczęśliwym człowiekiem — zawołał radośnie Blaine. — Amos, a co wy na to?

— Muszę tylko stwierdzić, że śmierć Settera uratowała mnie od ruiny — odparł Amos Ide uroczyście.

— A ja myślałem, że jestem jedynym głupcem w Tule Lake — mruknął Blaine. — A teraz, Strobel, podzielcie się z nami swymi spostrzeżeniami.

— Muszę przyznać, mr Blaine, że obecnie mam więcej danych, niż przedtem! — odparł szeryf z szczerością. — Wszystkie kradzieże koni, które miały miejsce w ciągu ostatnich kilku lat, można określić jednym tylko mianem: Bill Hall! Mamy go tutaj i przyznaje on się do wszystkiego... W odległości kilku mil od „Opuszczonej Rzeki" — spotkałem Nevadę. Gnał, jak wicher i przyszło mi na myśl, że musi być pijany. Myliłem się jednak, cowboy bowiem zatrzymał się tuż przede mną prawie i rzekł bez tchu: w pobliżu znajduje się Bill Hall ze swoją bandą. Wszyscy są zupełnie rozbrojeni... Pomyślałem znowu, że Nevada oszalał, lecz wkrótce doszedłem do przekonania, że mówi prawdę. Bez jednego strzału, przy pomocy dzielnego cowboya, pojmaliśmy całą bandę. To wszystko, co wam chciałem powiedzieć. Resztę wyświetli sam Hall.

Twarz mr Blaine'a bardziej jeszcze pobladła.

— Przybliżcie się, Hall — zwrócił się do zakutego w kajdany koniokrada, który stał opodal pod ścianą.

Ciężkim krokiem podszedł herszt bandy do biurka Blaine'a. W oczach jego lśniła odwaga i niezwykła szczerość.

— Hall, staniecie wkrótce przed sądem, a teraz, zaklinam was na wszystko, abyście mówili nam całą prawdę — domagał się Blaine.

— Przyrzekam — wyraźnym głosem odparł koniokrad.

— W zamian otrzymujecie naszą obietnicę, że, o ile możności, będziemy bronić was przed sądem i kara, jaką wam wyznaczą, nie będzie zbyt ciężka. Co możecie powiedzieć o Benie Idzie?

— Wszystko jest kłamstwem — odparł Hall, nie ruszając się z miejsca. — Wszystko to było robotą Settera.

— Robotą Settera? — wykrzyknął Blaine. — Więc on był złoczyńcą?

— Oczywiście, jeżeli jego nazywacie w ten sposób. Pracowaliśmy razem. Ja kradłem stada, a on je sprzedawał. Przed pięciu laty pracowaliśmy w Arizonie, lecz, niestety, zbyt dobrze go już tam znano. Przeniósł się do Nevady, a potem wyemigrował do Kalifornii, skąd przysłał po mnie.

— Jak dawno temu?

— Zdaje się, że przed trzema laty.

— Czy jakieś inne bandy grasują również w okolicy Srebrnej Łąki?

— Nie. Moja była jedyną. Pracowaliśmy jednak tak, jakby nas była niezliczona ilość, zresztą, był to pomysł Settera. Ukradzione stada pędziliśmy przez Silver Canyon w kierunku południowym, tak że zagarnęliśmy całą Nevadę.

— Kim byli Judd i Walker?

— Właściwie nie wiem — oznajmił Hall. — Zupełnie to zresztą zrozumiałe, ostatnio bowiem rzadziej widywałem Settera ze względu na to, że był ciągle zajęty wielkimi swymi transakcjami. Wyznał mi tylko, że pragnie pognębić młodego Ide'a i w tym celu uplanowaliśmy wykradzenie stad staremu Ide'owi. Judd i Walker dzielnie nam w tym pomagali. Istotnie, Judd był przez pewien czas szeryfem, ale urząd ten piastował bardzo krótko. Późniejszy tytuł jego był również pomysłem Settera.

Hart Blaine przesłał porozumiewawcze spojrzenie sąsiadowi swemu, Ide'owi, po czym pochylił się nad stojącym tuż przy nim, Marviem:

— Chłopcze, sądzę że teraz ty nam coś powiesz — wyrzekł łagodnie. — Niewielkie słowa twoje mają dla nas znaczenie, ale radzi byśmy usłyszeć, co wiesz o całej tej sprawie.

— Wykradłem z szopy wierzchowca i pognałem, aby obserwować Judda i Walkera — zaczął Marvie po chwili bojaźliwego wahania. — Uzbrojony w lunetę Iny pognałem na zachód jeziora i ukryłem się w szałwiowych zaroślach, skąd mogłem dokładnie widzieć chatkę Bena. Ujrzałem Judda i Walkera, wnoszących ciężki worek na strych chatki Bena. Gdy zeszli stamtąd, worka już nie widziałem.

— Strobel, — przerwał opowiadanie chłopca mr Blaine — to widocznie ten worek, o którym mówił Judd, że znaleźli go na strychu Bena. Przywiózł go nawet tutaj, aby nam pokazać, jako dowód.

— Ojcze, worka tego tam nie było, dopóki Judd go tam nie położył — wybuchnął Marvie. — Zazwyczaj stawiałem na strych moją wędkę i nigdy nie dostrzegłem tam żadnego worka.

Blaine objął syna rozjaśnionym spojrzeniem.

— Marvie, z tego wszystkiego wnoszę, że dużo już razy musiałeś z szopy wykradać wierzchowca, aby jechać nad brzeg „Opuszczonej Rzeki".

— T-t-tak, ojcze — zająknął się Marvie.

W milczeniu przytulił Hart Blaine syna do piersi.
— Od dzisiaj dostajesz własnego wierzchowca — rzekł. — Możesz go używać kiedykolwiek tylko zechcesz. Postaramy się do spółki z Amosem Idem, abyśmy byli lepszymi, niż dotychczas, ojcami.
Majestatycznie podniósł się z miejsca.
— Strobel, przypuszczam, że konferencja nasza skończona — zwrócił się do szeryfa. — Służę wam cowboyami i końmi aż do samego Hammell... Do widzenia, Billu Hall. Dziwię się, żeście zostali złodziejem, przypuszczam jednak, że nadejdzie czas, gdy wstąpicie na prawą drogę.
Podszedł do okna, przy którem stał Ben i wyciągnął ku niemu dłoń serdecznie.
— Sądzę, że pozostaniesz u nas na obiedzie, zanim wyruszysz z powrotem do „Opuszczonej Rzeki” i swego „Czerwonego Rumaka”.
Ben uścisnął mu dłoń serdecznie.
— Dziękuję panu, mr Blaine. Zupełnie w tej chwili zapomniałem o Czerwonym Mustangu.
— Czy pamiętasz, że ofiarowałem za niego dziesięć tysięcy dolarów?
— Nie. I o tym zupełnie zapomniałem. Ale teraz, mr Blaine, nie mogę za niego przyjąć pieniędzy.
— Dlaczego? Zarobiłeś je sobie uczciwie razem z Nevadą.
— Nie, nie! — zaprotestował Ben pośpiesznie! — Nie mógłbym się rozstać z Czerwonym Mustangiem.
— I tak przyjąć musisz pieniądze — odparł Blaine z tajemniczym uśmiechem. — Przypuszczam bowiem, że i ty, i Czerwony Mustang, zostaniecie w rodzinie.
Serce mocniej zabiło w piersi Bena. Nie oglądając się na nikogo z obecnych, bez słowa ruszył ku drzwiom.
— Benjamin! — zawołał jego ojciec, tonem, którego Ben dotychczas nigdy nie słyszał. Nie zatrzymało go to jednak.
— Ben.
Lecz Ben głuchy był na wszelkie wołania.
Spiesznym krokiem wyszedł z biura i skierował się w stronę zabudowań obozu. Po drodze dopadł go Marvie.
— Czy mogę pojechać z wami, aby zobaczyć Czerwonego Mustanga — prosił chłopiec.
— Oczywiście, jeżeli ci tylko ojciec pozwoli — odparł Ben.
— O, teraz to wszystko głupstwo. Ojciec nabrał do was i do Iny przekonania.
— I mnie się tak zdaje — szepnął Ben, idąc dalej obok chłopaka.
— Ojciec jest zupełnie przekonany — paplał dalej Marvie z wyrazem najwyższej radości. — Czy zauważyliście, jak wyglądał wasz ojciec?
— Nie, Marvie, nic nie widziałem — wyszeptał Ben.
— Na litość Boską! Jakże mogliście nie zauważyć?
Wyglądał strasznie... Ale wy przemówicie do niego, nieprawdaż?
— Nie, Marvie, zaraz wyjeżdżam.
— Nie uczynicie tego, Ben — przekładał Marvie z powagą. — Przecież to wasz ojciec, mimo wszystko. Z ojcami różnie bywa... Słyszeliście, jak

mój papa obiecał podarować mi wierzchowca? Jakże pragnąłbym, żeby Ina była przy tym! Jestem pewien, że doda to również bodźca waszemu ojcu.

— Bardzo być może — odrzekł Ben ze śmiechem.

— Tam, w hamaku, leży Ina — rzekł Marvie po chwili. — Płacze pewno.

Zbliżyli się do wysokiego krzew u jałowca, na którym zaczepiony wisiał hamak. Przed oczami Bena zamajaczyła słodka twarzyczka i oczy, napełnione łzami:

— Ina.

Marvie odwrócił się plecami.

— Pozostawię was samych na chwilę — zawołał z niezręczną szczerością.

Ben podbiegł do dziewczyny i ujął obydwie jej dłonie.

— Wiem, Ino, że straszne to było dla ciebie — zawołał, — straszne do zniesienia, a potem — ten Nevada... Musisz jednak zapomnieć o całej tej scenie, musisz pomyśleć...

— Ben, ty mnie źle rozumiesz — szlochała Ina. — Nie z tego powodu płaczę, a płaczę dlatego, że śmiałam na chwilę zwątpić o tobie.

Serce Bena zamarło. Pochylił się do jej kolan.

— Co takiego? — wyszeptał, nie wierząc własnym uszom.

— Zwątpiłam o tobie, ale zaraz potem znowu wróciła dawna moja wiara.

— Ale kochałaś mnie! — wybuchnął Ben.

— Zdawało mi się wówczas, że cię nie kocham...

— A teraz, czy kochasz mnie?

— Benie Ide... kocham cię bardziej jeszcze, niż przedtem i chętnie umarłabym teraz u nóg twoich, błagając przebaczenia.

Padł do jej nóg i porwał ją w ramiona. Przyszło mu na myśl, że nic droższego ponad nią nie miał na świecie.

— Ojciec powiedział, że dziesięć tysięcy dolarów, ty i Czerwony Mustang, wszystko pozostanie w rodzinie, czyż to możliwe? — pytała Ina, gdy Ben opowiedział jej całe zajście, które miało miejsce w biurze jej ojca.

— Wyobraź sobie, że tak, a nawet zaprosił mnie na obiad. Niestety, zostać nie mogę, musimy bowiem obydwaj z Modocem spieszyć do Czerwonego Mustanga. Pozostawiliśmy go spętanego w szopie.

— Zbyt to jest miłe, ażeby mogło być prawdą — wyszeptała Ina. — Całe to zajście nauczy wreszcie ojca ostrożności. A co z mr Idem? Czyś mówił z nim?

— Nie mówiłem — Ben opuścił głowę na piersi. — Nie patrzałem nań nawet wówczas, gdy stał koło mnie i gdy mnie wołał.

— Wołał cię? O, Ben, dlaczegoś do niego nie podszedł? Przecież on już stary, a tyś był jedyną jego pociechą... Wybaczyłeś mi przed chwilą, a teraz, wybacz jemu.

— Obawiam się, że nigdy się na to nie zdobędę.

— Ben! Niepodobne to do ciebie. Przemawia przez ciebie w danej chwili gorycz. Powinieneś być tak wielkim, jakim był Nevada.

— Nie mów mi o nim — wyszeptał Ben.

— O, najdroższy, przebacz mi — błagała Ina. — Zbyt wiele wymagam od ciebie może... Praca na pewno cię uspokoi i pomyślisz wówczas o

pogodzeniu się z ojcem. Razem wywołamy życie do walki... Wszystko to, co ty czynić będziesz, postaram się ukochać.

— Znaczy się, że postanowione, Ino. Zostajesz zatem moją żoną?

— Oczywiście — odparła miękko.

— Kiedy?

— Kiedy tylko przybędziesz po mnie. Ojciec zaznaczył, że natychmiast wrócimy do Tule Lake. Natychmiast po powrocie pójdę odwiedzić matkę twoją i Hettie. Wyobraź sobie ich radość. Szczęśliwa jestem, że ja im tę wiadomość zaniosę... Na ciebie czekać będę w domu.

— Aniele — wyszeptał Ben, po czym podniósł się z miejsca, a w oczach jego ukazał się błysk powracającej energii. — Muszę śpieszyć do Czerwonego Mustanga. Mając ciebie i jego — jestem najbogatszym człowiekiem na świecie... Poza tym, przypomniałem sobie w tej chwili, że w banku Hammell posiadam dwanaście tysięcy dolarów, pozostałych ze sprzedaży dzikich koni... Muszę pokazać rachunek twemu ojcu, ażeby nie pomyślał, że córka jego wychodzi za nędzarza. Jak tylko uporam się z Czerwonym Mustangiem, przyjadę natychmiast do ciebie, Ino... Muszę go zaprezentować twemu ojcu, lecz nie sprzedam go za nic w świecie.

— Przypuszczam , że nie, przecież należy on do mnie — odparła Ina z kokieteryjnym uśmieszkiem.

— Naturalnie, masz słuszność; a ty znowu należysz do mnie — zawołał Ben z radosną dumą. — A teraz muszę już iść, Ino. Widzę Marviego i Modoca, czekających na mnie z końmi.

Ze wszystkich dzikich koni, które do tej pory ujeżdżał Ben, Czerwony Mustang okazał się najbardziej podatnym materiałem, pracy więc z nim było niewiele. Widocznie król dzikich koni zrezygnował ze swych stepów, zaimponowała mu bowiem niezwykła zręczność młodego łowcy.

Po paru tygodniach, dzięki żelaznej dłoni Bena, Czerwony Mustang był już zupełnie oswojonym zwierzęciem i okazywał niezwykłe przywiązanie dla swego władcy i pana.

Pewnego słonecznego dnia, gdy okoliczne, szałwiowe pagórki pokryły się dziewiczą purpurą złocistych, jesiennych, słonecznych płomieni, Ben wyruszył na Czerwonym Mustangu do rodzinnej swej farmy, z której przed laty wygnany został, a teraz, powracał jako bohater.

Dziwnym zbiegiem okoliczności, zaraz przy wjeździe do miasteczka Hammell, Ben spotkał Inę, Marviego i Hettie. Młody Blaine zawył formalnie z radości, Hettie jęknęła, a Ina klasnęła w dłonie.

— Najdroższy, nie spodziewaliśmy się twego przybycia — wyszeptała Ina, podając mu dłoń na powitanie.

— Spotkanie to jest dla nas wróżbą szczęścia — odparł, kłoniąc przed nią głowę. Weźmy ślub dzisiaj jeszcze. Marvie i Hettie będą naszymi świadkami.

— Och, Ben, tak nagle — wyszeptała. — Wiem, że przyrzekłam i powinnam dotrzymać słowa. Ale nie jestem ubrana... i co powiedzą na to w domu?

— Wyobraź sobie, że przyjadę do mr Blaine’a i powiem: oto jest moja żona.

— A czy będziesz szczęśliwy? — rzekła z przekorą.

— Nie umiem ci odpowiedzieć na to. Pójdź, Ino, pójdź! Co za różnica jakiego dnia to się stanie?

Twarzyczka Iny była teraz blada, a oczy jej gorzały, niby dwa węgle.

— Co powiem ojcu memu i matce? A czy potem, Ben, pojedziesz ze mną do twego ojca? — zapłoniła się.

— Ino! — z krtani jego dobył się okrzyk rozpaczliwego przerażenia. Nie pomyślał zupełnie o tej konieczności. Zapomniał zupełnie o tym groźnym człowieku, który nigdy go nie rozumiał i nigdy mu nie ufał. Paniczny lęk zrodził się w jego duszy.

— Widziałam go — ciągnęła dalej Ina. — Serce jego zmiękło. Zrozumiał wreszcie, że powinien był mieć do ciebie zaufanie... Przyrzeknij mi, Ben, że wybaczysz mu.

Maleńka jej dłoń spoczywała teraz na jego ramieniu, oczy jej błyszczały pewnością zwycięstwa.

— Tak, tak, wybaczę — wybuchnął Ben i widoczne było, że wraz z tymi słowami z duszy jego ustąpiła gorycz.

Pobrali się.

Prosto z kościoła udali się do farmy w Tule Lake, gdzie, zajęci pracą, cowboye spoglądali z podziwem na pięknego wierzchowca Bena. Na spotkanie młodych wybiegł Hart Blaine z radosnym uśmiechem.

— Widziałem was przez okno. A więc to jest Czerwony Mustang? Rozumiem cię teraz doskonale, Ben... Musisz pojechać i pokazać wierzchowca Amosowi Ide’owi.

Marvie zbliżył się nieznacznie do Bena i szepnął mu do ucha:

— Ben, czyś powiedział ojcu już o wszystkim?

Na słowa chłopca młodzi zmieszali się nieco, a Ina spłonęła szkarłatnym rumieńcem.

— Cóż takiego zaszło, Ben — indagował mr Blaine z uśmiechem. — Wyglądasz tak, jakbyś się znalazł niechcąco w kotle rozpalonej smoły.

— Zapomniałem powiedzieć panu — wyszeptał młodzieniec, — że przed godziną wziąłem ślub z Iną w Hammell... Powinienem był powiedzieć panu o tym natychmiast lecz zapomniałem.

— Cha, cha, cha! — zaśmiał się głośno Hart Blaine. — Wygląda to zupełnie, jak raptowne polowanie na dzikie konie... Wejdź, chłopcze, i przywitaj się z matką, a obiecane dziesięć tysięcy dolarów za Czerwonego Mustanga przyjmijcie, jako ślubny prezent ode mnie.

Zachód słońca dnia tego zastał Inę idącą wąską ścieżką w towarzystwie Hettie i Bena. Wszyscy troje szli w kierunku farmy Amosa Ide’a, który zajęty był rąbaniem drzewa przed domem. Nie zauważył zbliżających się i dopiero w ostatniej chwili odwrócił ku nim głowę. Ben szedł na czele, prowadząc z dumą na uzdę Czerwonego Mustanga.

— Hallo, ojcze — zawołał Ben, jak gdyby rozstanie się z domem trwało zaledwie dni kilka.

— Synu mój — wyszeptał Ide.

— Przyprowadziłem ci żonę moją i Czerwonego Mustanga — ciągnął dalej Ben.

— Żonę twoją, Ben? Córkę Harta Blaine'a?... Więc wróciłeś do domu, do twego starego ojca?

— Oczywiście, ojcze. Wróciłem do ciebie i do matki, ale przybyłem tylko z wizytą... Spójrz, ojcze, na moje szczęście, które poczęło mi sprzyjać od dzisiaj i powiedz, co teraz myślisz o swym marnotrawnym synu?

KONIEC